

CO ZROBISZ,
GDY TWOJĄ
NAJWIĘKSZĄ WPADKĘ
ZOBACZY CAŁY ŚWIAT?

WSTYD



HELEN FITZGERALD

HELEN FITZGERALD

WSTYD

Z języka angielskiego przełożyła
Magdalena Grala-Kowalska



Tytuł oryginału: *Viral*

Copyright © 2016 by Helen FitzGerald

Copyright for the Polish edition © 2016

by Burda Publishing Polska Sp. z o.o.

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Tłumaczenie: Magdalena Grala-Kowalska

Redakcja: Anna Stawińska

Korekta: Sylwia Ciuła

Skład i łamanie: TYPO

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt okładki: Faber & Faber

Zdjęcie na okładce: d3sign/Getty Images

ISBN: 978-83-8053-102-4

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Przypisy

1.

W Magaluf obciągnęłam dwunastu facetom.

Jak dotąd dwadzieścia trzy tysiące dziewięćdziesiąt sześć osób widziało, jak to robię.

Wśród nich pewnie mój ojciec, moja matka, moja młodsza siostra, babcia, druga babcia, dziadek, szef, nauczyciel biologii z szóstej klasy i chłopak z sześciotygodniowym stażem, James.

Gdzie jesteś? Esemes od Jamesa, ostatni z dziesiątek innych, które

dostałam. Nie zamierzam mu powiedzieć. Ani jemu, ani w ogóle nikomu.

Dwadzieścia cztery tysiące sto czterdzieści trzy. Mój trener netballu. Kasjer z naszego supermarketu. Barry Craig, syn sąsiadów. „To chyba nie...?” – pomyśli w zaciszu swojego pokoju. „Nie”. Powiększy obraz, zatrzyma. „Czy to...? Ja pierdolę! Tak, to Su!”.

Po incydencie w barze Coconut Lounge łączna liczba moich doświadczeń z seksem oralnym dobiła do dwunastu. Tak jest, nie robiłam tego nigdy wcześniej. Ani z Gregiem Jamiesonem, który dawał mi wymowne znaki podczas wyprawy po nagrodę Księcia Edynburga, ani z Jamesem, który dopiero kilka tygodni temu doszedł do drugiej bazy. To ja, pruderyjna Su. Dziewica. Ta, która zwykle zostaje w domu, żeby się uczyć, a jeśli już wyjdzie na miasto, to głównie po to, żeby rozdawać wodę, kupować frytki i zamawiać dla wszystkich taksówki. Nie potrafię być wulgarna i nie lubię tego u innych, chyba że jest to jedyny właściwy sposób na przekazanie jakiegoś komunikatu (tak jak w pierwszym zdaniu powyżej).

„Czy ja naprawdę mam taki szpiczasty podbródek?”. To chyba nie ja. Nie jestem wyuzdaną ryzykantką, buntowniczką. Ta rola w naszej rodzinie jest zastrzeżona dla Lei. To ona upija się w każdy weekend. To ona używa przekleństw w zdaniach, które byłyby bardziej wymowne bez nich. To ona spała z tuzinem chłopaków i kilkoma dorosłymi mężczyznami. To Lea powinna być na tym filmie.

Podłączyłam telefon na stałe do ładowarki, żeby móc się oglądać ciągle i ciągle od nowa. Zielony top w kwiatki jest z pewnością mój. Moje są włosy, usta, oczy. Podbródek? To ja, nie ma co do tego wątpliwości, a moi rodzice pewnie to już widzieli. Mogą to oglądać w tej chwili.

W pokoju jest chłodno. Mieści się na trzecim piętrze czteropiętrowego, dwugwiazdkowego hotelu na przedmieściach Puerto Pollensa. Jest w nim nieduże, podwójne łóżko, okno, które się nie otwiera, i miniaturowa toaleta z ciekącym sedesem. Na odrapanej tapecie widnieją trzy nieciekawie ułożone, mokre plamy. Łóżko stoi pod oknem. Z drugiej strony wciśnięto rozchybotaną szafkę nocną. Jedynym oświetleniem jest ciemna, zwisająca krzywo na suficie chińska latarnia z energooszczędną żarówką.

Filmik wgrał do sieci o trzeciej dwadzieścia nad ranem niejaki „Xano”, który określa siebie mianem „brytyjskiego reżysera filmowego”. Aparat czy telefon, którym mnie sfilmował, nieustannie się trzęsie, więc chyba chłopak musi jeszcze popracować nad techniką, jeśli chce zasłużyć na ten pseudonim. Xano to w tym filmie jedyna osoba bez twarzy. Pozostałych naliczyłam czterdzieści siedem. Dwunastu facetów stoi wokół mnie w kółku, czekając na swoją kolej. Reszta za nimi, z drinkami w dłoniach, krzyczy coś w moim kierunku. Kilka osób nagrywa mnie telefonami. One nie udostępniły swoich filmików albo może jeszcze nie zdążyły tego zrobić. Pauzuję i powiększam obraz tak długo, aż jestem w stanie rozpoznać pięć twarzy w tłumie. Naganiacz z baru. Zdjął koszulkę, żeby zaprezentować swój lśniący od potu sześciopak i tatuaż na nagiej klatce. To on zwabił nas do środka. („Siema, dziewczyny! Macie ochotę na darmowe drinki? Co powiecie na Jägerbomba?”.), jest też jednym z tych, którzy mnie nagrywają. W którymś momencie wybucha śmiechem, oblewając się drinkiem. Millie i Natasha stoją z tyłu, trzymając między

sobą wiadro niebieskiego alkoholu. Są poważne, trochę jakby wystraszone, ale nie wypuszczają z ust słówek. Nie są na tyle przejęte moją sytuacją, aby odstawić drinki albo zabrać mnie stamtąd. Rozpoznaję buty i szorty jednego z facetów w kółku. Widać go tylko do połowy. Szykuje się. Jest piąty w kolejce i trzepie się gorączkowo, przerażony, że kiedy do niego dojdę, będzie miękki i sflaczały, i – sprawdzmy aktualne statystyki – dwadzieścia cztery tysiące sto siedemdziesiąt jeden osób zobaczy, że mu nie staje. Buty ma białe, sportowe, do kostki, z białymi sznurówkami. Spodnie też są białe, podwinięte na dole. Bokserki szare. Nazywa się Euan. Millie próbowała się z nim przespać trzeciego dnia, ale powiedział jej, że robi coś nie tak. Po Coconut Lounge planowała drugie podejście, o ile nie znajdzie nikogo lepszego. Gdy dochodzę do Euana, jego członek jest nadal oklapły, a moje usta nie są w stanie temu zaradzić. Millie pewnie myśli, że powinna poszukać kogoś lepszego, bo to nasza ostatnia noc w Magaluf, ostatnia szansa na wakacyjny seks bez zobowiązań, więc potrzebuje kogoś ze sprawnym sprzętem. Po tym, jak Euan zapina spodnie i wymyka się z koła, zatrzymuję film. Millie skanuje wzrokiem salę w poszukiwaniu lepszych opcji. Widzę Leę, moją siostrę. Stoi z tyłu, wychylając się zza innych gapiów. Uśmiecha się, bijąc brawo i skandując: „Dawaj, dawaj, dawaj!”.

Proszę, błagam, gdzie jesteście? Kochanie, nic się nie bój. Wszystko będzie dobrze. Daj znać, czy wszystko okej. Esemes od mamy, najnowszy z siedemnastu, które od niej dotąd dostałam, oprócz dwudziestu trzech od taty, trzynastu od Woojina, siedmiu od Jamesa, trzech od Ashleigh, dwóch od Jen oraz żadnego, żadniusieńkiego od Lei, od czasu jak nie pojawiłam się na lotnisku. Zastanawiam się, czy mama pisze do mnie z sądu. Jest szeryfem. Nie takim amerykańskim, w kapeluszu i z rewolwerem, ale sędzią-szeryfem z Zachodniej Szkocji, w todze i peruce. Ludzie tytułują ją „wysoki sędzie”. Mówi tak do niej też Lea, gdy mama zaczyna działać jej na nerwy.

Ale kto wie, może mama została dziś w domu, wzięła sobie dzień wolnego, pierwszy raz od śmierci dziadka pięć lat temu. A może jest na policji? Zgłasza moje zaginięcie? I próbuje namierzyć mój telefon!

Wyciągam z telefonu kartę SIM i baterię i nadeptuję na nie, ale nie zyskuję nic poza obolałą podeszwą. Wyginam kartę, aż pęka na pół, wrzucam ją do sedesu i naciskam na spłuczkę. Moje stopy zalewa kałuża lodowatej wody, gdy patrzę, jak karta znika w rurze odpływowej.

Założę się, że Millie wyrwała wtedy faceta. I Lea, i Natasha też. Gdy obudziłam się na podłodze naszego wynajętego mieszkania, byłam sama. Gdzieś w oddali słyszałam szaleńcze bzyczenie telefonu. Zwymiotowałam kilka razy i poczołgałam się w jego stronę. Po chwili zlokalizowałam go w kuchennym zlewie. Millie.

– Su, siedzisz?

Zostawiłam walizkę i większość swoich rzeczy w mieszkaniu, pobiegłam do najbliższego bankomatu i wypłaciłam niemal całą kwotę z karty turystycznej Thomasa Cooka. Pięćdziesiąt pięć euro wydałam na taksówkę, która zawiozła mnie na drugą stronę wyspy, a resztę na opłacenie pokoju hotelowego do końca tygodnia. Mama zna odpowiednich ludzi. Na pewno już mnie namierzyła. Chwytam torebkę i wybiegam z hotelu.

Nie mam pieniędzy ani pojęcia, dokąd iść. Dwie przecznice od hotelu jest bank, w którym wypłacam ostatnie dwadzieścia euro z karty, ale kiedy dostaję pokwitowanie, widzę, że saldo pokazuje sześćset euro. Kochana mama.

Wypłacam kolejne trzysta euro, kupuję czapeczkę z daszkiem i ciemne okulary, jadę taksówką do portu i kupuję bilet na najbliższy prom do Barcelony, który odpływa za dwadzieścia minut. Wiem, że powinnam zadzwonić do mamy i uspokoić ją, że nic mi nie jest, ale w tej chwili nie jestem w stanie rozmawiać ani z nią, ani z nikim innym. Zauważy, że wypłaciłam pieniądze, więc wie, że nic mi nie jest. Będzie wiedziała, że żyję. Mój plan polega na tym, żeby zaszyć się gdzieś do czasu, aż w internecie pojawi się nowy viral. Taki jak hit roku 2013 z gałęzią w roli głównej. Nastoletni chłopak nagrywał

przyjaciela telefonem. W tle ojciec owego przyjaciela ciął gałąź drzewa, która zaczęła przysłaniać okno ich domu, nową piłą mechaniczną, którą dostał na urodziny. Matka chłopaka przytrzymała ojcu drabinę, ale niezbyt umiejętnie, bo w pewnym momencie mężczyzna stracił równowagę i spadł, a ponieważ przez cały czas ścisnął swoją cenną piłę w dłoni, w locie pozbawił żonę głowy. Ta godna Oskara produkcja zrobiła furorę w sieci. Przyznam, że film z moim udziałem trudno będzie pobić – nie wystarczy słodki kotek skaczący na trampolinie ani gruba dziewczyna tańcząca namiętnie w obcisłych, babcinych majtkach. To musiałoby być coś obrzydliwego, bulwersującego. Ale jestem pewna, że ktoś coś takiego w końcu nakręci, a wtedy spadnę w wynikach wyszukiwania na dół ekranu i jakaś inna nieszczęsna dusza zajmie moje miejsce w tej niekończącej się karuzeli wstydu. Gdy już zniknę z pierwszej strony Google'a, zadzwonię do mamy, wrócę do domu, wyjaśnię wszystko Jamesowi i pójdę na studia. Jestem rozsądną osobą i wiem, że cała ta afera prędzej czy później przycichnie. Jakoś to przetrwam.

W końcu przetrwanie mam we krwi. Dałam sobie radę nawet wtedy, kiedy rodzona matka porzuciła mnie na progu posterunku policji w Seulu. A przecież nie umieściła mnie we względnie bezpiecznym „oknie życia”. Dopiero wiele lat po moich narodzinach pastor Lee Jong-rak ustawił przy drzwiach wejściowych sierocińca Jusaran w Seulu karton w rozmiarze odpowiednim dla przeciętnego noworodka, w którym zhańbione dziewczęta mogły zostawiać owoce swoich życiowych błędów. Kolejnych kilka lat musiało minąć, żeby oburzenie społeczeństwa zmieniło się w powszechne uznanie dla tego pomysłu. Ja nie dostałam kartonu. Zostawiono mnie w lichym, wiklinowym koszyku bez żadnej wyściółki, razem z karteczką od mojej mamy, napisaną po koreańsku: „Nazywa się Su-Jin. Ja mam 17 lat. Proszę, zaopiekujcie się nią”.

Mama i tata dali mi tę karteczkę, kiedy skończyłam sześć lat, tuż po długim wywodzie na temat tego, jaka to jestem wyjątkowa, bo wybrali właśnie mnie. Tak jakbym wcześniej nie zauważała różnic pomiędzy sobą a Leą. Ona jest biała. I ma zwyczajne imię. Przed tą rozmową rodzice używali mojego pełnego imienia, Su-Jin. Zaraz potem kazałam im skrócić je do Su. Od tamtej pory wszyscy tak do mnie mówią, poza siostrą, która po wejściu w fazę nastoletniego buntu zaczęła zwracać się do mnie per Su-Jin, złośliwie kładąc akcent na drugi człon. Kiedy miała trzynaście lat, zaczęła też nazywać mnie „chińszczyzną”, choć ja ani razu nie nazwałam jej „pryszczatą” – a byłoby to uzasadnione. Mamę „chińszczyzna” doprowadzała do szału. Kiedy pierwszy raz to usłyszała, powiedziała:

– Nie używamy takich słów, moja droga! To znieważające określenie wymyślone przez ludzi, którzy czują się zagrożeni, słabi, gorsi. To rasistowska obelga. Zrozumiałaś, Lea? Masz, wydrukowałam tu trochę informacji na temat Korei Północnej i Południowej. Spójrz na mapę, Chiny i Korea to dwa odrębne państwa. Sprawdź w słowniku, co znaczy „znieważający” i „rasistowski”, i nigdy więcej nie używaj tego słowa.

Lea nadal tak na mnie mówiła, ale już nie przy mamie.

Agencja adopcyjna przekazała liścik od mojej biologicznej matki rodzicom, gdy przyjechali mnie odebrać. Był napisany czerwonym długopisem na odwrocie serwetki. Tata oprawił go wraz tłumaczeniem w ramki i powiesił obie wersje obok siebie w moim pokoju. Przez wiele miesięcy, przed pójściem spać, gdy mama i tata mówili mi dobranoc, wyłączali światło i wychodzili z pokoju, włączałam z powrotem lampę, siadałam na łóżku i wpatrywałam się w ramki na ścianie.

Nazywam się Su-Jin.

Moja matka urodziła mnie, gdy miała siedemnaście lat.

Była uprzejmą osobą. „Proszę, zaopiekujcie się nią”, napisała.

Posiadała lub pożyczyła czerwony długopis i miała równy charakter pisma. Serwetka była

kwadratowa, biała (teraz już pożółkła), podobna do tych ze Starbucksa.

Rodzice powiedzieli, że posterunek policji, pod którym mnie zostawiono, znajduje się w Myeong-dong. Często oglądałam go przez Street View. Budynek z czerwonej cegły, z łukowatym wejściem. Wygląda zachęcająco, jak jakaś galeria sztuki. Wokół znajduje się dużo sklepów (i Starbucks), chodzą ludzie w dżinsach. Są neony, stoiska ze ślimakami, naleśnikami i pikantnymi plackami ryżowymi, których niestety nie sprzedają w Szkocji. Wzdłuż ulic biegną ścieżki rowerowe. Próg posterunku to kawałek betonu. I nie ma na nim wiklinowego koszyka z niemowlęciem. Całymi latami myszkowałam wokół tego miejsca, klikając w lewo i w prawo, powiększając obraz, starając się poznać całe otoczenie punktu, w którym moja matka widziała mnie po raz ostatni. Dla kogoś obcego, kto spogląda z góry, Myeong-dong jest szczęśliwym miejscem. Zamiast porzucać dzieci, kobiety sączą tu przez słomkę mohito.

Być może moja matka mieszkała nieopodal. Może szła tędy, w deszczu, bo przecież urodziłam się w środku *jagmy*, pory deszczowej. Na liściku nie ma daty, ale młoda wolontariuszka z sierocińca powiedziała rodzicom, że porzucono mnie kilka godzin po narodzinach, drugiego lipca. Więc jeśli moja matka faktycznie mieszkała niedaleko, przyszła pod posterunek pieszo, w deszczu, a jeśli mieszkała gdzieś dalej, mogła tu przyjechać na rowerze, jedną z tych ścieżek rowerowych, z nosidełkiem na piersi albo z wiklinowym koszykiem w dłoni. Wiem tylko, że niedługo po tym, jak napisała swoją karteczkę, powierzono mnie Ruth Oliphant i Bernardowi Brotheridge'owi (odpowiednio: adwokat i muzyk, z odpowiednio: Glasgow i Oregonu) i przydzielono mi najbardziej anglosaskie, pretensjonalne i koszmarnie do przeliterowania dwuczłonowe nazwisko, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Pozostawienie w kartonie byłoby bardziej szpanerskie niż koszyk. Dlatego dwa razy skłamałam w tym temacie. Historię z pudełkiem opowiedziałam Ashleigh i Jen, w ogrodzie za domem Petera McAllistera, podczas przyjęcia z okazji jego szesnastych urodzin. Były pod wrażeniem i lubiły mnie jeszcze bardziej niż przedtem.

Oprócz oprawienia w ramki liściku od mojej rodzonej matki rodzice zaprzyjaźnili się z innym małżeństwem, które adoptowało dziecko z Korei. Raz w miesiącu zostawialiśmy Leę u babci albo u cioci Louise i jechaliśmy na zalany deszczem plac zabaw albo na plażę, gdzie koreańskie dziecko numer dwa i ja gapiliśmy się na siebie nad babkami z piasku, a nasi rodzice wymieniali się przepisami na pierożki i *gamjatang*. Poza tym, po naszej przełomowej rozmowie, codziennie wieczorem uczyłam się z tatą koreańskiego z płyt Rosetta Stone. Wspólnie powtarzaliśmy: „Nazywam się Su Oliphant-Brotheridge”, „Czy ma pani wodę?”, „Przepraszam, nie rozumiem” oraz „Gdzie jest toaleta?”.

Generalnie wszystkie te wysiłki rodziców miały zagwarantować, że nie dopadną mnie problemy z tożsamością, ponieważ będę wiedziała wszystko o swojej biologicznej matce i rodzimej kulturze, a jeśli kiedyś pojedę do Korei Południowej, to będę potrafiła poprosić o wodę i odnaleźć toaletę, żeby się tej wody pozbyć.

Rodzice adoptowali mnie po latach starań o własne dziecko: kilka poronień, prób in vitro i tak dalej. Podobno byli tym wykończeni. Na regale w dużym pokoju stoi album dokumentujący długi proces mojego przysposobienia. Jest zdjęcie z dnia, w którym rodzice po raz pierwszy zobaczyli mnie w sierocińcu. Ja w pokoju hotelowym. Ja w samolocie do Glasgow. Ja w pokoju, którego urządzenie pochłonęło dużo czasu i pieniędzy, „żebym tylko poczuła się u siebie”. Na jednej ścianie wisiał wielki obraz z flagą Korei. Jako dziecko czułam się przy nim nieswojo – miałam wrażenie, że niebiesko-czerwona fala puszcza do mnie oko, a cztery czarne znaczki wokół niej znaczyły coś, czego nie rozumiałam, coś ponurego. Na drugiej ścianie wisiała mapa Korei. Na trzeciej liścik napisany przez moją biologiczną matkę, a obok jego tłumaczenie, które tata spisał na komputerze i wydrukował, oba w cienkich, czarnych

ramkach. Nad moim łóżkiem wisiał obraz przedstawiający kobiece dłonie o długich na kilka centymetrów paznokciach pomalowanych w grube, kolorowe pasy. Na nadgarstku kobiety tkwiło pawie pióro. (Uwaga do przyszłych rodziców adopcyjnych dzieci koreańskich: jeśli chcecie, aby wasze słoneczko miało koszmary nocne, udekorujcie mu pokój jak wyżej).

Mama odkryła, że jest w ciąży miesiąc po tym, jak przywieźli mnie do Szkocji. Podobno często się tak zdarza. Nagle, gdy para przestaje o tym myśleć, chceć tego, pragnąć, mierzyć temperaturę, liczyć dni i wstrzykiwać sobie hormony – na teście ciążowym pokazują się dwie kreski.

Lea.

Ma niebieskie oczy mamy i ciemne włosy taty, ale nikt nigdy nie mówi tego na głos. Lea ma buzię babci i usta dziadka, i białą skórę, jak każdy Oliphant i każdy Brotheridge z wyjątkiem mnie. Moja skóra jest śniada, choć nie tak bardzo, jakby moja azjatyckość wypłowiła przez lata spędzone w deszczowym klimacie. Jest rozmyta, nijaka. Niby nie kolorowa, ale też nie biała.

A skóra Lei? Gdy byłyśmy małe i kąpałyśmy się razem, przy niej moja skóra wydawała się tak ciemna, jak u rodowitej Koreanki. Pamiętam, że tarłam ją gąbką z całych sił.

Prom odpływa. Czas przekroczyć morze i ukryć się przed światem.

2.

Ruth Oliphant była przyzwyczajona do noszenia peruki. Zwykle była to krótka, siwa peruka z trzema lokami po każdej stronie głowy, która – według danych „Daily Record” – kosztowała dwa tysiące funtów i doskonale komponowała się z czarną, klasyczną spódnicą i togą. Peruka, którą Ruth miała na sobie teraz, była jaskraworóżowym bobem z prostą grzywką, który dopełniał wyciętą, obcisłą, czarną sukienkę oraz różową wstęgę z napisem „Wieczór panieński” opasającą jej piersi i plecy. Jak na swoje pięćdziesiąt dwa lata Ruth prezentowała się wspaniale. Miała gładką skórę dzięki dekadom picia wody i zdrowego trybu życia. Szczupłe, jędrne ciało zawdzięczała organicznej, wegetariańskiej diecie i codziennej trzydziestokilometrowej przejażdżce rowerem z domu w Doon do sądu w Kilbarchie. Wszyscy śmiali się z niej, gdy przyjeżdżała do pracy w lycrach, brała prysznic i wyłaniała się z łazienki już jako „pani szeryf”.

Nie była jedyną uczestniczką wieczoru panieńskiego w wypchanym po brzegi klubie, ale była jedyną powyżej dwudziestego piątego roku życia, jedyną bez stadka co najmniej dziesięciu innych dziewczyn z identyczną wstęgą, i prawdopodobnie jedyną, która zamierzała dosypać narkotyku do drinka jakiegoś obleśnego faceta.

– Chyba pomyliłaś kluby. W bingo grają dwa domy dalej.

– Atrakcyjna czterdziestka cię onieśmiela? – Najbardziej zmysłowo, jak umiała, pociągnęła przez słomkę swój Wielokrotny Orgazm, pochylając się lekko, żeby uwydatnić dekolt.

– A niby skąd wiesz, że jesteś atrakcyjna? – Mówiąc to, mężczyzna nie patrzył jej w oczy, co znaczyło, że trick zadziałał.

– Po prostu wiem.

Namierzenie tego człowieka zajęło Ruth sporo czasu, a proces poszukiwań był równie zmienny, jak jej dalsze plany względem niego.

– Mogę przymierzyć perukę? – Pogłaskał różowe włosy i spojrzał jej w oczy, ale jej nie rozpoznał. Uśmiechnęła się do jego cudownej głupoty i dyskretnie wrzuciła mu tabletkę do piwa.

Nie, nie pozwoli mu przymierzyć peruki.

*

Jej mąż zadzwonił w trakcie popołudniowego posiedzenia. Ubrana w siwą perukę rozpatrzyła trzy sprawy o zakłócenie porządku, w tym jedną awanturę domową, jedną napaść z zamiarem uszkodzenia ciała, jedno włamanie i parę innych, których potem nie była w stanie odtworzyć w pamięci. Pamiętała tylko, że pod koniec sesji była w dobrym humorze. Kilku tych spraw bronił Michael MacDonald, zwany przez nią „Srebrnym Lisem”, który rozbawił ją, odkąd pierwszy raz zobaczyła go w sądzie. To było dwa lata temu, a on bronił wyjątkowo wytwornie ubranego dwudziestolatka. Ruth bacznie przyjrzała się oskarżonemu w jego markowym garniturze, przelamanym tandetnym pierścieniem w kształcie kuli bilardowej. Od tamtej pory nazywała go w myślach „Bilardzistą”.

– Oskarżony dostał spontanicznego i bezprecedensowego ataku furii – mówił MacDonald – gdy wrócił do domu i odkrył, że jego partnerka pocięła jego markowe koszule na drobne kawałki. Jedna z koszul była marki Louis Vuitton i kosztowała czterysta pięćdziesiąt funtów.

Bilardzista dał upust swojej złości, paląc żywcem psa swojej partnerki.

Srebrny Lis nie wyklócał się wówczas długo. Jak większość osób, bardziej od przemocy wobec kobiet gardził okrucieństwem wobec zwierząt i nie rozważał odwoływania się od kary osiemnastomiesięcznego aresztu. Dla Ruth była to pamiętna sprawa, nie tylko dlatego, że po raz pierwszy widziała go w akcji, lecz także ze względu na groźby, jakie Bilardzista rzucał później w jej stronę z celi na tyłach sali. „Dorwę cię, suko”, „Wiem, gdzie mieszkasz”, „Miej się na baczności”.

Sędzia postanowiła zignorować te pogroźki, pewna, że strażnicy wkrótce uciszą mężczyznę, i kontynuowała rozprawę.

Niedługo po tym pierwszym spotkaniu Ruth ze zdziwieniem odkryła, że Srebrny Lis śpiewa w „Piratach z Penzance” wystawianych przez East Kilbride Gilbert and Sullivan Society. Musiała przyznać, że idealnie pasował do roli współczesnego generała. Był niezwykle charyzmatyczny, a dziś rzucało się to w oczy jeszcze bardziej niż zwykle. Ruth nigdy nie uśmiechała się w sądzie, ale było to trudne, gdy słuchała, jak MacDonald opowiada o ostatnim oskarżonym tego popołudnia. Barry Andrew Malone był niskim i przeraźliwie chudym dwudziestoparolatkiem, który mimo to, jakimś cudem, zdołał znaleźć garnitur o trzy rozmiary za mały dla siebie.

– Pan Malone cierpi na tzw. zaburzenia opozycyjno-buntownicze, wysoki sędzie.

Obrońca wskazał na oskarżonego w marynarce, której szare rękawy kończyły się siedem centymetrów powyżej pożółkłych mankietów koszuli, i który wyglądał, jakby miał ochotę przywalić każdemu po kolei prosto z bani.

– To potwierdzona choroba, która sprawia, że pan Malone jest konfliktowy i trudno jest mu się dostosowywać się do próśb innych osób. Mówiąc językiem laika, wysoki sędzie, pan Malone został zdiagnozowany jako osoba chorobliwie nieposłuszna. W dniu zdarzenia objawy choroby doskwierały mu dość mocno, i nie miał ochoty stać w kolejce w piekarni u Greggsa na Queen Street. Tuż przed zdarzeniem oskarżony odczuł silną potrzebę spożycia zapiekanki serowo-cebulowej. Była godzina piętnasta, a on jeszcze nie jadł śniadania ani obiadu. Domniemana ofiara przeciwstawiła mu się, mówiąc... – MacDonald odgarnął kosmyk siwych włosów z twarzy i pochylił się nad aktami sprawy, odczytując: – „Czekaj na swoją kolej, ciulu”.

Podniósł wzrok i kontynuował:

– Wysoki sędzie, obawiam się, że w tym momencie zaburzenia psychologiczne oskarżonego wzięły nad nim górę, na co, jak wyjaśniłem, mój klient nie ma żadnego wpływu. To dlatego, wysoki sędzie, pan Malone za pomocą łokcia odepchnął domniemaną ofiarę, panią Ellen Dunmore, która stała pierwsza w kolejce do kasy z zamiarem nabycia dwóch tart truskawkowych.

Ruth przygryzła wargę, żeby ukryć uśmiech, i zapytała obojętnym tonem, nie podnosząc głowy:

– Czy oskarżony przyznaje się do winy?

– Nie, wysoki sędzie.

Na prośbę szeryf Ruth Oliphant oskarżony wstał, ukazując spodnie od garnituru, które boleśnie opinały mu krocze, i zgrzytał zębami, słuchając, jak protokolantka odczytuje terminy kolejnych rozpraw. Potem wszyscy wstali i spuścili głowy, a Ruth zebrała swoje papiery i wyszła tylnymi drzwiami, chichocząc przez całą drogę do swojego gabinetu.

Na komórce czekały na nią dwie wiadomości od męża. Pierwsza: *Ruth, zadzwoń jak tylko będziesz mogła.* Druga: *Ruth, kochana, jestem na parkingu naprzeciwko sądu, czekam, aż skończysz. Przyjdź najszybciej, jak się da. Musimy porozmawiać. To pilne. Kocham cię.*

Bernard był czułym, dobrym człowiekiem. Odkąd się w sobie zakochali – a było to w Yosemite – często mówił do niej „kochana” i niemal codziennie powtarzał, że ją kocha, ale gdy Ruth odczytała wiadomości, wiedziała, że coś jest nie tak. Jej pierwsza myśl pobiegła do męża. Nigdy nie dbał o siebie tak jak ona,

choć nie był otyły, miał niewątpliwie nadwagę. W listopadzie zeszłego roku skarżył się na skurcze w klatce piersiowej. Jedynym przejawem hippisowskiej filozofii, którą przejął od swoich rodziców, była niechęć do szpitali i leków. Nie chciał iść do lekarza i zamiast tego niemal całkowicie wykluczył tłuszcze i alkohol z diety, kawę zastąpił zieloną herbatą, co rano medytował na macie przy muzyce i starał się wysypiać.

Może Bernie miał łagodny zawał? Czy czeka na nią na parkingu, bo jest zbyt uparty, żeby wezwać karetkę, albo zbyt przestraszony, żeby pojechać sam do szpitala? Ruth rzuciła perukę i togę na podłogę i jak szalona wybiegła z sądu w stronę parkingu, z trudem łapiąc oddech. Już w drodze zaczęła się martwić, że to w ogóle nie chodzi o Bernarda – gdyby miał zawał, nie byłby w stanie przyjechać tu samochodem. „Tylko nie któraś z dziewczynek”, pomyślała. „Błagam, tylko nie któraś z dziewczynek!”.

Gdy Bernard opowiedział jej, co naprawdę się stało – że w sieci furorę robi sprośny filmik z udziałem ich ukochanej, starszej córki, która nie wsiadła z Leą do powrotnego samolotu do domu, Ruth głośno odetchnęła z ulgą.

– Dzięki Bogu – powiedziała.

Bernard był zaskoczony i po raz pierwszy od incydentu w listopadzie podniósł na nią głos.

– Dzięki Bogu?!

– Myślałam, że mi powiesz, że jedna z nich nie żyje – wyjaśniła cicho.

– Wybacz, ale to...! – Spojrzał na telefon w swojej dłoni. Jego oczy były czerwone i opuchnięte od płaczu.

Wzięła od niego telefon.

– Jak łatwo jest znaleźć ten filmik?

Bernard oparł czoło o kierownicę.

– Wystarczy wpisać „Magaluf”.

Przed każdą rozprawą Ruth uważnie zapoznawała się z aktami. Pierwsze czytanie nazywała „skanem emocjonalnym”. Jakie uczucia wzbudzało w niej zdarzenie? W jej pracy łatwo było się znieczulić, więc często powtarzała sobie, że musi pamiętać, co czuła wtedy ofiara: ból, strach, niepokój. Drugie czytanie pozwalało jej sprawdzić, jakie fakty ustalono do tej pory. Jakie zdarzenia miały miejsce? Jakie przepisy zostały rzekomo naruszone? Podczas trzeciego czytania zastanawiała się nad lukami. Jakich pytań dotąd nie zadano? Które pozostawiono bez odpowiedzi?

Siedząc w samochodzie obok męża, po raz pierwszy wcisnęła „Play”, żeby przeprowadzić dokładny skan.

Ekran wypełniają głównie mężczyźni z gołymi klatkami i niemal nagie kobiety, wszyscy z drinkami w dłoniach. Kamera niepewnym ruchem przesuwa się po ich pijanych twarzach, skacząc na boki, w górę i w dół. Jest głośno: rozmowy, śmiech, ohydna muzyka w rodzaju rzępołów, których słucha Lea. Widać ją zresztą z tyłu, w króciutkich, pomarańczowych szortach i błękitnej górze od bikini. Zaśmiewa się z czegoś, wylewając piwo z butelki. Są też Millie i Natasha. Sączą koktajl ze wspólnej, gigantycznej szklanki.

– Imię i nazwisko! – woła mężczyzna po drugiej stronie kamery, kierując obraz w dół, gdzie wydają się skupiać oczy wszystkich.

„To nie Su. Czy to Su?”.

Na podłodze siedzi dziewczyna. Wydaje się, że specjalnie zrobiono dla niej miejsce na parkiecie. Spogląda w górę, na kamerę, i uśmiecha się. Widać rękę kamerzysty, który daje jej znak, żeby wstała i zbliżyła się do niego. Dziewczyna z trudem dźwiga się na nogi i na sekundę przybliży jedno oko do

kamery, a potem odskakuje do tyłu, rozstawiając szeroko ramiona.

– Ta-dam!

Jej zwykle prosty tułów przekrzywia się w bok. Zaczyna poruszać luźno ramionami w rytm muzyki. Jej półprzymknięte oczy podążają za światłami. Obraca się w lewo, potem w prawo, prezentując się mężczyznom, którzy zrobili wokół niej koło. Robi się coraz tłoczniej. Za mężczyznami tworzą się jeszcze dwa rzędy.

– Imię i nazwisko! – pyta kamerzysta.

– Jestem Su Oliphant-Brotheridge!

„Oliphant” wymawia z dodatkowymi samogłoskami, a „Brotheridge” jako jedną sylabę.

Potem wykrzykuje je po raz drugi:

– Jestem Su Oileeeephiant-Bridggge z Dooooon!

– Chcesz darmowego Jägerbomba?

– Tajest!

– Tak?

– Tak!

Okrzyki radości ze strony mężczyzn w kole i skandujący tłum:

– Su Elephant! Su Elephant!

Na moment ekran robi się czarny, taśma się tnie, a potem widać Su na kolanach, przed jednym z mężczyzn w kole. Jego bokserki są spuszczone do kostek. Su bierze do ręki jego oklapłego członka i wkłada sobie do ust.

– Su Elephant z Dooooon! Su Elephant z Dooooon! – Okrzyki przybierają na sile.

– Dawaj, dawaj, dawaj! – drze się Lea, jakby dopingowała drużynę piłkarską.

Su przesuwając usta aż do podstawy penisa, co przy sflaczałych pięciu centymetrach nie jest trudne, i znów je cofa. W przód, w tył, w przód, w tył. Jej czarne włosy są zmierzwiłone i splecione. Kamera przesuwając się za głowę Su. Jeszcze cztery ruchy w przód i w tył, i kolejna para bokserów pojawia się w kadrze. Pięcicentymetrowy, miękki członek wyskakuje z ust Su. Dziewczyna nieco ociężale przesuwając się na kolanach w bok i ściągając bokserki kolejnemu mężczyźnie.

– Dawaj, dawaj, dawaj! – Słychać znów podekscytowane wołanie Lei.

– Pieprzona suka – szepcze kamerzysta, jakby upajał się nienawiścią. – Dzwonka. Ssij, kurwo. Weź go całego, brudna szmato.

Już w połowie pierwszego skanu Ruth była pewna, jakiego rodzaju zdarzenie miało miejsce i jakie wzbudzało w niej uczucia.

Jej najwspanialsza córka została odurzona narkotykami i zbiorowo zgwałcona. Przyczyniło się do tego około pięćdziesięciu osób. A tysiące innych jest współwinnych, bo obejrzało to w sieci. Kobieta poczuła uderzenie gorąca na policzkach, a potem na karku. Zamknęła oczy. W tle nadal słyszała ohydny komentarz:

– Brudna dziwka, szmato...

– Wystarczy.

Bernard zabrał jej telefon i wyłączył filmik. Wybrał numer córki.

– Su, kochanie, tu tata. Oboje wiemy, co się stało, i nie gniewamy się na ciebie. Ani trochę. Wszystko będzie dobrze. Zadzwoń. Kochamy cię.

Wyłączył się.

– Dzwonię na okrągło. Nie odbiera. Albo może wyładowała jej się komórka, albo skończyła jej się karta.

Ojciec Ruth był także wziętym prawnikiem. Któregoś dnia rano został potrącony przez ciężarówkę. Wyszedł po mleko i nigdy nie wrócił. To dość kompromitujący sposób, żeby umrzeć, jak na siedemdziesięciosiedmiolatka, pomyślała wówczas Ruth. Nienawidziła siebie za tę myśl, ale nie mogła się jej pozbyć, nawet dziś. Pewnie szedł zbyt wąskim chodnikiem tuż za rondem Clover i wymachiwał rękami. Pewnie gwizdał sobie pod nosem, bo zawsze to robił, gdy wielka ciężarówka z benzyną zbyt szybko zjechała z ronda, z piskiem hamując obok chodnika, po którym szedł. Podobno jego prawe ramię utknęło w szparze nad kołem. Kierowca zauważył go dopiero, gdy po pięćdziesięciu metrach jakaś kobieta z wózkiem zaczęła mu dawać rozpaczliwe znaki rękami. Cała ulica została zamknięta na kilka godzin, żeby nikt nie widział, jak policja zbiera fragmenty jego ciała.

Teraz Ruth również czuła znajomą mieszaninę rozżalenia i wstydu, który wywoływał w niej podobne poczucie winy.

– Oczywiście. Musimy ją znaleźć. Nie sądzisz chyba, że ona mogłaby... Że ona może...

– Jestem pewien, że nic jej nie będzie.

Bernard był jak zwykle i jak zwykle gotowy, by ją pocieszyć.

– Ukryła się gdzieś. Lea mówiła, że wyszła z klubu sama, przed nimi. I odebrała dziś rano telefon od Millie. Nic jej nie jest. Jest tylko wystraszona.

– Będzie potrzebować pieniędzy. Jedziemy do banku.

Ruth zgodziła się sfinansować wakacje na Majorce, o ile dziewczynki pojedą razem. Myślała, że Su, jako ta rozsądna, będzie się opiekować siostrą. Starsza córka wcale nie miała ochoty jechać – słyszała już o tego typu wyjazdach – ale nie protestowała, zapewne dlatego, że tak jak Ruth miała nadzieję, że wspólny wyjazd pozwoli jej znów się zbliżyć do siostry. Początkowo Lea była wściekła. („To nie pojedę! Nienawidzę cię! Wszystko psujesz!”). Znalazła sobie nawet dorywczą pracę w pralni, w której pracowała Su, żeby samodzielnie łączyć pieniądze na bilet, ale dwa razy zasnęła i została zwolniona, więc ostatecznie się poddała. Pogodziwszy się z decyzją matki, Su powiedziała, że ma dość pieniędzy, żeby samej opłacić sobie podróż (nigdy nie zasypiała do pracy i w ciągu ostatnich trzech lat łączyła na swoim koncie pięć tysięcy funtów), ale Ruth odmówiła przyjęcia od niej pieniędzy, z takim trudem odłożonych na studia. Kazała jej zostawić swoją kartę w domu i wręczyła córkom karty turystyczne Thomasa Cooka. Dla każdej z nich miała też drugą kartę u siebie w portfelu, dzięki czemu w razie potrzeby mogła im przelać dodatkowe pieniądze. Teraz, w najbliższej placówce banku, wpłaciła równowartość sześciuset euro na rachunek Su, a w drodze do domu wysyłała jej kolejne esemesy i próbowała się do niej dodzwonić.

Gdy zamknęła za sobą drzwi domu, zdała sobie sprawę, że ta sytuacja w niczym nie przypomina momentu śmierci jej ojca. Jej córka zaginęła, nie umarła. Zdarzenie jest w toku, nie zostało zamknięte. Ponad dwadzieścia tysięcy odsłon? Tak, dużo więcej. Nie ma kwiatów zostawionych na progu, nagrań na automatycznej sekretarce, odwiedzin sąsiadów z ciastem.

Wykręcając numer do pracy, Ruth zawołała Leę, wściekła, że młodsza córka wsiadła do samolotu bez siostry. Powinna była zostać i jej szukać.

– Lea! Lea?

Żadnej odpowiedzi. Tymczasem po drugiej stronie słuchawki telefon odebrała jej sekretarka.

– Cześć, Anne, przepraszam, że tak wybiegłam...

– Nic nie szkodzi. – W rozmowie z przełożoną Anne Rinaldi zawsze przybierała oficjalny i obojętny ton, ale tym razem sprawiała wrażenie speszzonej, jakby w coś przeszkodziła. – Bill kazał mi przekazać, żeby wzięła pani tyle wolnego, ile pani potrzebuje. Na jutro załatwił na pani miejsce Dunmore’a.

– Rozumiem.

O Boże, wiedzieli wszyscy. No jasne, wiedziały tysiące osób. Jutro będzie wiedział cały świat.

– Dzięki Anne, przedzwonię jutro rano.

Nalatała sobie whisky, znów zawołała Leę. („Chodź tu w tej chwili!!!”) i zadzwoniła na policję.

Bernard wyjął jej szklankę z alkoholem z ręki i zastąpił ją kubkiem herbaty rumiankowej. Przyniósł jej też kanapkę z serem i ogórkiem, którą położył na stoliku z telefonem. To ona zawsze załatwiała różne sprawy i toczyła bitwy. Była w tym dobra, a Bernard nie czuł się przez to zagrożony. Miał swoją własną działkę: zapewnienie jej wsparcia emocjonalnego i pożywienia. Ruth miała poczucie, że mąż potrzebuje od niej jasnych instrukcji. Położył przed nią czysty notatnik i długopis, żeby mogła wszystko zanotować, i miarowym krokiem przemierzał hall, podczas gdy ona rozmawiała z policją.

Odebrał posterunkowy Anstruther. Jakiś miesiąc temu składał u niej w sądzie pokrętne wyjaśnienia. Miał dwadzieścia pięć lat i początki łysiny. Ruth była w stanie przewidzieć, że ma przed sobą długą, pełną sukcesów i silnie skorumpowaną karierę.

– Czy mogłabym rozmawiać z posterunkowym Campbellem? Mówi szeryf Oliphant z sądu w Kilbarchie.

– Już panią łączę. – W głosie mężczyzny wyczuła nutę drwiny.

Davy Campbell był jednym z tych dobrych policjantów. Nigdy nie wątpiła w wyjaśnienia, które składał. Nigdy nie miała wrażenia, że zależy mu na wynikach dla samych wyników. W rejonie był znany z tego, że uczciwie traktował miejscowych cwaniaczków, a przynajmniej nie słyszało się, aby spuszczał komuś łomot na tyłach komisariatu.

– Szeryf Oliphant. Jak się pani trzyma?

Ruth poprosiła go, żeby namierzył komórkę Su i bankomaty, z których wypłaciła pieniądze kartą Thomasa Cooka. Ustaliła też, że Campbell przyjdzie do niej wraz z koleżanką około wpół do ósmej. Wszystkie uzgodnienia zanotowała.

– W jaki sposób usunę to z sieci? Policjant się zawahał.

– Musi pani zgłosić to nagranie do YouTube’a. Jak dobrze pójdzie, niedługo powinni go zdjąć. Ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy będzie pani w stanie nad tym zapanować.

– Ale przecież...

– To nagranie jest wszędzie.

Zazwyczaj Ruth budziła w ludziach zbyt duży przestrah lub szacunek, aby ktoś ważył się jej przerywać. W ciągu ostatnich pięciu minut zdarzyło się jej to już dwa razy.

– To się rozprzestrzenia jak grypa. – W głosie Davy’ego Campbella nie było słycać ani przestradhu, ani szacunku. Mógł rozmawiać z każdym. – Może pani zgłaszać ten filmik do YouTube’a przez całą dobę, a i tak nie powstrzyma pani ludzi przed udostępnianiem go innym. Przykro mi, ale nigdy się pani tego nie pozbędzie. Teraz powinna się pani skupić na znalezieniu córki.

– A wy zajmiecie się mężczyznami?

– Mężczyznami?

– Tymi, którzy to sfilmowali i wgrali do sieci. Tymi, którzy praktycznie dokonali zbiorowego gwałtu...

– O wszystkim porozmawiamy osobiście osobiście, jak przyjadę.

– Wpół do ósmej. Dziękuję. Do widzenia i...

Rozłączył się. Ruth odłożyła telefon i kubek z herbatą na stół. Chwyciła swoją whisky, wypila ją jednym haustem i odwróciła się do Bernarda, który nadal krążył po hallu.

– Włącz komputer i zgłoś każdą stronę, na której dostępne jest nagranie.

– Jak zamierzasz...

W tym domu szeryf Ruth Oliphant była jedyną osobą, której wolno było przerywać.

– Nie wiem! Chryste, Bernard, dowiedz się, co to za strony, zgłoś je, i nie przestawaj ich zgłaszać, dopóki ten filmik nie zniknie z sieci.

– Dobrze. I musimy uprzedzić twoją rodzinę.

Cholera. Miał rację.

– Możesz porozmawiać z Louise i Marie i dopilnować, żeby nie kontaktowały się z prasą?

Poproś je, żeby osobiście powiedziały o wszystkim mamie.

– Jasne.

Ruth wzięła głęboki oddech i poszła na górę do pokoju Lei.

Gdy wspinała się po schodach, czując, jak jej gniew wzmaga się z każdym stopniem, nie przypuszczała, że jej młodsza córka może jeszcze pogorszyć sytuację. Ale udało jej się to. Leżała zwinięta w kłębek pod kołdrą, cała, razem z głową. Zawsze tak robiła, gdy było jej smutno, odkąd była na tyle duża, żeby dostać własne łóżko. Stojąc w drzwiach, Ruth stłumiła w sobie chęć porwania z szafki nocnej Lei jej ukochanego MacBooka i rozbicia go o jej głowę.

– Lea, wyjdź spod kołdry i usiądź. Wyjdź spod kołdry.

Lea! Głowa dziewczyny wychyliła się na chwilę.

– Proszę, nie bądź na nią zła...

MacBook. Głowa. MacBook. Głowa. MacBook. Głowa.

– Zła na Su? – Na dźwięk rozwścieczonego głosu matki oczy Lei otworzyły się szerzej.

– Czy to Su powiedziała: „dawaj”?

Ruth podeszła do łóżka, zawiesiła głos, a potem nieco głośniejszym, nieco groźniejszym głosem powtórzyła drugie słowo wykrzykiwane w Coconut Lounge:

– „Dawaj?”.

Teraz pochyliła się tak, że jej twarz znalazła się o milimetr od twarzy Lei i dokończyła:

– „Dawaj”?

3.

Barcelona! Jaka szkoda, że Lea nie może tego widzieć, myślę, i ta myśl mnie zaskakuje. Przez lata traktowała mnie okropnie, a ja czekałam i czekałam, zdesperowana ofiara nieodwzajemnionej miłości. Ale gdyby była ze mną tu, teraz, u progu nieznanego, kolorowego miasta, szalałaby ze szczęścia, snułaby masę planów i zarażała mnie swoim entuzjazmem. Jestem żalosa.

W dzieciństwie Lea nie dokuczała mi za bardzo. Gdy miałam sześć lat, przeniosłam się do jej pokoju, żeby było jej raźniej spać. To były fajne czasy. Fakt, że gdy kazałam jej kończyć czytać i gasić światło, godzinami drapała w prześcieradło, żebym nie mogła zasnąć. Nigdy nie sądziłam, że może istnieć taki dźwięk, i że może być on tak straszliwy. Pamiętam kłótnie o pluszowe misie (ona dostała różowego, ja niebieskiego, wołałam różowego, a ona za nic nie chciała się zamienić) i o porządek w pokoju (ona była bałaganiarą, ja nie). Ale głównie pamiętam wspólne przebieranki, tańce, wygłupy, że musiałam jej wszystko tłumaczyć, a ona pilnie słuchała. Tata nazywał nas swoimi bliźniaczkami. Mówił, że jesteśmy dwiema połówkami jabłka.

Hormony zatruwały ją stopniowo. Najpierw przestała chodzić razem ze mną do szkoły, potem wyrzuciła mnie ze swojego pokoju, zaczęła spędzać więcej czasu z Millie i Natashą, nie chciała zabierać mnie na zakupy ani doradzać mi, w co się ubrać. Gdy burza hormonów rozpuściła się na dobre, jej nienawiść do mnie przybrała na sile. Początkowo byłam pewna, że do mnie wróci, ale z biegiem lat nadzieja topniała. Na całe szczęście miałam własne przyjaciółki: Ashleigh z drużyny netballowej i Jen z kółka debatowego (czyli „lesbijkę” i „kujonicę”, jak mawiała Lea). W ostatniej klasie szkoły średniej siostra nie przyznawała się już do mnie nawet na korytarzu. Ostatnia rozmowa, jaką odbyliśmy przed wyjazdem do Magaluf, brzmiała mniej więcej tak:

Ja:

– Cześć!

Lea:

– Masz moje skarpetki? Kto ci je, kurwa, pozwolił wziąć! Ciągle kradniesz moje rzeczy! Zdejmuj je! (Próbuje ściągnąć mi lewy but). Oddawaj!

Tata (wchodząc do kuchni, nieświadomy niczego):

– *Guten morgen* i *buongiorno*! Wiecie czego chcę, czego bardzo, bardzo chcę? Wielki kubek... (zaciąga się zapachem otwartej puszki Lavazzy) zielonej herbaty!

Ja (zdejmując but, oddając Lei skarpetki i mówiąc na tyle głośno, żeby tata usłyszał):

– Proszę, weź. Nie wiedziałam, że są twoje. Przepraszam, że cię zdenerwowałam.

Lea (zabierając skarpetki, szeptem):

– Nie zgrywaj takiego niewiniątka, skośnooka suko.

Więc dlaczego nadal brakuje mi Lei, zwłaszcza po tym, co wydarzyło się zeszłej nocy? Bo życie jest nudne, kiedy jej ze mną nie ma? Bo jest moją bliźniaczką, moją drugą połówką?

Nie. Jeśli już, bliźniaczkami w naszej rodzinie są Lea i mama. Śmieją się, mówią, chodzą i wyglądają tak samo. Myślą dokładnie o tym samym w dokładnie tej samej chwili. („W lewo! Nie, w prawo! Kurde! Za dużo soli! Cholera! Zabił ojczym! Masz ci los”). Kłóć się ze sobą tak zaciekle, że aż przechodzą mnie ciarki, i dygoczę jeszcze długo po tym, jak one już o wszystkim zapomną. Mają po pięćdziesiąt

procent wspólnego DNA: prawdziwa matka i córka. W stosunku do taty nigdy nie myślałam o genach. Jako mężczyzna, stonowany, zawsze blisko mnie, dawał mi poczucie, że jestem jego dzieckiem dokładnie w takim samym stopniu, co Lea.

Lea nie chciała mnie w Magaluf, a ja szczególnie chciałam z nią jechać. Czekala mnie przeprowadzka na studia, musiałam się jeszcze spakować i nadrobić zaległe lektury. Moja lista pilnych rzeczy do zrobienia była długa na pięć stron, a ja przebrnęłam dopiero przez połowę pierwszej. Po wielu awanturach z mamą i błagalnych rozmowach z tatą Lea ostatecznie zaakceptowała fakt, że moje towarzystwo podczas wakacji będzie nieuniknione. Przez kilka tygodni jej niechęć do mnie przybrała na sile.

– Rezerwuję ci osobne mieszkanie. Nie myśl, że będziesz za nami łązić.

Początkowo ją ignorowałam, zgodnie ze strategią, którą praktykowałam od sześciu lat, ale gdy na tydzień przed wyjazdem odkryłam, że w samolocie mam siedzieć sama w rzędzie 38., a Lea, Millie i Natasha siedzą razem w rzędzie 3., zagroziłam, że zrezygnuję. To było sprytne z mojej strony. Lea zrozumiała, że musi przynajmniej udawać, że jest dla mnie miła. Ponieważ jestem beznadziejnie żalosna, poczułam wdzięczność – więcej: uniesienie – że siostra przestała unikać mojego wzroku, zmieniła mi miejsce na rząd 4. i anulowała rezerwację osobnego studia na Majorce. W obecności rodziców potrafiła się nawet zdobyć na kulturalną rozmowę ze mną. Przyznaję, jej zachowanie było wymuszone okolicznościami, ale stopniowo nasze stosunki się ocieplały. Zaczęłam mieć nadzieję, że choć może nigdy nie będziemy papużkami nierozłączkami, jej nienawiść do mnie nie będzie trwała wiecznie.

Połąkawszy przynętę, Lea zaczęła pracować nad moim wyglądem i uczyć mnie wakacyjnego savoir-vivre'u. Okulary były zakazane, więc musiałam się przekonać do szkieł kontaktowych. Moje włosy, które, jak się okazało, „miały przedziałek jak u głąba i beznadziejne strąki po bokach”, zostały oddane w ręce Wesley z Vidal Sassoon, która wystrzępiła mi grzywkę, skróciła kosmyki do brody, podkręciła, wystylizowała, dodała karmelowe pasemka i obwieściła: „Czas na selfie! Przejrzyj się w lustrze, kochana! Petarda!”. Moje wygodne džinsy zostały schowane – nigdy nie dowiem się gdzie – i zastąpione kilkoma parami obcisłych szortów. Kostium jednoczęściowy i okularki pływackie – zakazane. Bikini (jedno bez ramiączek, jedno pomarańczowe w kwiaty i jedno w czarne grochy) – dozwolone.

W szortach, wiązanej na szyi bluzce, bez okularów i z drinkiem w ręku siadałam na podłodze w pokoju Lei przy włączonej muzyce, podczas gdy ona nakładała mi na twarz podkład, bazę, puder, róż, eyeliner, tusz do rzęs, konturówkę i błyszczyk, które dobrała specjalnie pod moją ciemną karnację. Co wieczór robiła mi pełny makijaż, zmywała go i kazała mi się malować jeszcze raz, samej.

– Mniej. Jezu, nie tak! Nie to! Mocniej. Tylko nie jak drag queen! O właśnie. Farciara, masz niesamowitą cerę.

Zgodnie z instrukcjami Lei co wieczór słuchałam playlisty Magaluf, patrzyłam, jak moja siostra do niej tańczy, a potem tańczyłam przed nią.

– O matko. Zamknij oczy. Nie pokazuj palcem! Poczuj to, nie czujesz muzyki? Przestań się miotać, wyglądasz, jakbyś miała atak padaczki. Wypij to. I jeszcze jeden.

Ustalono, że najlepiej reaguję na wódkę, którą byłam w stanie tolerować, jeśli była zmieszana z sokiem żurawinowym lub lemoniadą.

Lea udzielała mi także lekcji przeklinania.

– Powtarzaj za mną: kurwa, kurewsko, wkurwić.

Albo szczypała mnie w ramię, ucząc przeklinania w kontekście:

– Auć, kurwa!

Niestety ciągle robiłam to nie tak.

Na dzień przed wylotem moje ciało i twarz zostały poddane całościowemu woskowaniu. Rodzice byli

w teatrze, a Lea w swoim pokoju przeprowadziła mi końcowy egzamin. Jako pilna i ambitna uczennica puściłam playlistę Magaluf, wzięłam łyk wódki z sokiem żurawinowym (i toną lodu), uczesałam się i założyłam dżinsowe szorty i biały top odsłaniający brzuch. Lea obserwowała, jak nakładam na twarz „osiem niezbędników”, które zakupiła dla mnie w drogerii. Trzy drinki później byłam gotowa do tańca w takt piosenki złożonej z trzech słów (w pewnej chwili wydawało mi się, że Lea skrzywiła się z niesmakiem, więc zamknęłam oczy i z całych sił starałam się „poczuć” muzykę).

– Ja pitolę, chyba się udało!

Podeszła do mnie – poruszała się tak swobodnie – jedną ręką wstukując coś w moim telefonie. Potem podała mi go, mówiąc:

– Jest jeszcze jedna, ostatnia rzecz.

Hej, James, napisała za mnie w esemesie. Przyjedź do mnie. Mam dla ciebie niespodziankę.

James należał do szkolnego kółka debatowego. Zaimponowałam mu końcową przemową podczas debaty na temat kary śmierci (argumentowałam za, co nie przyszło mi łatwo, bo prywatnie jestem przeciw, ale wtedy udało mi się przekonać nawet samą siebie). Dzięki mnie nasza szkoła wygrała spotkanie. James podszedł do mnie z gratulacjami, a potem, w czasie przygotowań do końcowych egzaminów, codziennie spotykaliśmy się w miejskiej bibliotece. Nasz pierwszy, suchy pocałunek miał miejsce na dzień przed egzaminami. Drugi, nieco zbyt mokry, po otworzeniu kopert z wynikami. James miał zaklepane warunkowe miejsce na prawie w Oksfordzie, a wyniki egzaminu przypieczętowały jego sukces. Ja dostałam się na medycynę w Edynburgu.

– Nie możesz jechać do Maga oziębła, uwiązana do jakiegoś debila. Musisz być wolna, żeby się rozdziewiczyć z jakimś anonimowym ciachem. Poćwicz co nieco na Jamesie, dopóki starzy nie wrócą, a potem go rzuć.

James, zszokowany moją metamorfozą, zdołał dojść do drugiej bazy, ale tylko dzięki temu, że sama wsunęłam jego dłoń pod swój T-shirt, kładąc ją na swój nowy, różowy stanik. Trzymał ją tam przez siedem krępujących sekund, a potem cofnął. To nie był pierwszy raz, kiedy przeszło mi przez myśl, że może być gejem. Nie rzuciłam go jednak. Gdy wyszedł, Lea była na mieście z koleżankami, a rodzice jeszcze nie wrócili z teatru, zmyłam makijaż, włożyłam piżamę i okulary, włączyłam playlistę Magaluf i zaczęłam porządkować rodzinne zdjęcia, które chciałam przypiąć na ścianie akademika w Edynburgu.

To przykre, że nie ma wielu zdjęć Lei z czasów, gdy była malutka. Zwłaszcza gdy się wie, dlaczego.

4.

Ruth niemal dotykała nosem twarzy Lei. Jak zawsze, jej córka skuliła się w sobie. Jak zawsze, zaczęła płakać. „Trzeba było zostać przy karmieniu piersią”, pomyślała Ruth. Może dzięki temu nie byłoby tych wszystkich fochów i hysterii. Ale to był wtedy taki gorący okres. Wszystko zaczęło się od wizyty pracownicy opieki społecznej, Katie Morrison. Su miała dwa miesiące i od miesiąca mieszkała z Ruth i Bernardem. Zaaklimatyzowała się doskonale i do tej pory cotygodniowe spotkania z kuratorami przebiegały bezproblemowo. Świeżo upieczeni rodzice sprawowali się wyśmienicie. Su była zdrowa i pogodna. Mama, tata, babcia, ciocia Marie i ciocia Louise byli kochający i zapatrzeni w małą. Żadnych problemów.

Ruth nie powiedziała jeszcze nikomu o ciąży, nawet Bernardowi. Gdy miesięczka spóźniła się o tydzień, uznała to za efekt drastycznej zmiany trybu życia i codziennych obowiązków. Po dwóch tygodniach, gdy jej piersi stały się podejrzanie wrażliwe, zrobiła test. Przez kolejne dni czekała na krwawienie, modląc się, żeby tym razem przyszło wcześniej niż przy dwóch ostatnich ciążach, gdy musiała urodzić nieuformowany, martwy płód. Wynik testu zaburzył schemat, jaki przyjęła, żeby żyć z Su. To ją złościło. Czuła się przygnębiona. Zastanawiała się, jak zareagują pracownicy opieki społecznej, którzy ostrzegali ją, żeby się zabezpieczała. Zapomniała wziąć jedną czy dwie pigułki – w końcu życie było ostatnio bardzo chaotyczne, a ona nie była przyzwyczajona do antykoncepcji. Długo się namyślała, aż wreszcie podjęła decyzję, że musi uprzedzić to, co nieuniknione, i przerwać ciążę.

O jedenastej trzydzieści włożyła Su do wózka i udała się na trzydziestominutowy spacer w kierunku kliniki. Mała zawsze zasypiała podczas porannych przechadzek i spała twardo przez trzy godziny. Wchodząc do Kelvingrove Park, Ruth zdała sobie sprawę, że trzęsą jej się nogi. Gdy dotarła do Argyle Street, po jej twarzy płynęły łzy. Przemyślała wszystko dokładnie i wiedziała, że postępuje właściwie. Po co czekać na bolesne i przykre poronienie? Ale mijając galerię sztuki, nie mogła pozbyć się myśli: a co JEŚLI?

A co jeśli nic, odpowiedziała sama sobie, mijając bar Saskia's, który właśnie się otwierał. „A co jeśli tym razem by się udało? Co jeśli mogłabym mieć własne?”. Sama siebie zganiała za tę myśl, sprawdziła, czy Su śpi, zablokowała koła wózka i weszła do baru. Żeby przez to przejść, musiała się napić. Na dworze było ciepło i słonecznie, i barman zostawił drzwi otwarte, więc Ruth mogła usiąść przy wejściu i cały czas obserwować małą. W połowie szklanki whisky pograżyła się w myślach i na chwilę spuściła wózek z oczu. A co JEŚLI?

Kończąc drinka, podjęła decyzję, że pozwoli, aby zadziałała natura. Czując nagłą panikę i poczucie winy, że wypity alkohol może zaszkodzić płodowi, zerwała się od stolika i zrobiła cztery, pięć kroków w stronę wózka przy drzwiach.

– Czy to pani dziecko?

Z drugiej strony wózka stała blondynka, na oko trzydziestoletnia. Przy uchu trzymała telefon. Ruth nie widziała jej ze środka i na razie nie czuła zagrożenia.

– Tak – odpowiedziała spokojnie.

– Chwileczkę, sprawdzę...

Na szyi kobiety dostrzegła identyfikator urzędu miasta Glasgow. Cholera. W tym mieście na ulicy było więcej kuratorów niż niedopałków papierosów.

– Pani Oliphant, zamieszkała przy Park Street 13?

Tak jak niemal każda rzecz należąca do Ruth, wózek opatrzony był etykietą z jej nazwiskiem i adresem.

To był nowoczesny, markowy wózek. Kosztował fortunę. Ruth wszyła etykietę w obicie gondoli w dniu, w którym odebrała go z Mothercare.

– Tak, to ja. Ruth Oliphant. To moje dziecko. Kobieta skierowała wzrok na śniadą twarzyczkę Su.

– Czyżby?

– Adoptowaliśmy ją z Korei Południowej. Miesiąc temu. Może pani... – powstrzymała się przed zasugerowaniem, żeby kobieta sprawdziła tę informację u siebie w biurze. Już to pewnie zrobiła. Cholera, cholera, cholera. Pocałowała śpiące niemowlę w czoło, żeby zademonstrować łączącą je więź. Kobieta spojrzała na dziecko, potem na Ruth, a potem powiedziała do telefonu:

– Dobra, to „mama”. Dzięki. Tak. Na razie. – Rozłączyła się. – Rozumie pani, że ktoś mógł ją zabrać.

– Nie, nie mógł. – Ruth starała się, aby jej głos brzmiał spokojnie. – Widziałam ją przez cały czas. Dlaczego nie zajrzała pani do środka? Siedziałam zaraz przy tym stoliku!

– Czuję od pani alkohol.

– Przykro mi, że panią zaniepokoiłam. I dziękuję za postawę obywatelską.

Odblokowała hamulec i pomaszzerowała w stronę domu. Nogi trzęsły jej się bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Katie Morrison zjawiła się w ich domu dwie godziny później. Towarzyszył jej drugi pracownik, niejaki Samuel Lee, na oko pięćdziesięciolatek. Usiedli przy kuchennym stole, wyciągnęli notatniki i długopisy, podczas gdy Ruth szykowała mleko dla Su.

Katie Morrison poprosiła ją, żeby opowiedziała, co wydarzyło się w barze Saskia's.

– Zaszłam niespodziewanie w ciążę. Byłam w drodze na zabieg aborcji i poczułam, że muszę się napić.

Na twarzach gości pojawiło się przerażenie. Sytuacja była dużo bardziej poważna i skomplikowana, niż się spodziewali. Ruth wyjaśniła, że wypita tylko jednego drinka. To był zły pomysł, który wynikał z konieczności podjęcia ogromnie trudnej decyzji.

Katie Morrison zapytała, dlaczego zostawiła dziecko bez opieki na ulicy. Ruth wyjaśniła, że usiadła przy samym wejściu, a drzwi były otwarte. Gdy zdała sobie sprawę, że urzędnicy mogą jej nie uwierzyć, albo że i tak będą niezadowoleni z jej zachowania, zaczęła płakać. Przyznała, że straciła głowę, że to było zupełnie nie w jej stylu. Że jest jej ogromnie przykro.

Katie poczekała, aż Ruth się uspokoi.

– Czy jest już pani po? Po zabiegu?

Matka Su wzięła głęboki oddech.

– Nie poszłam.

Minęła dłuższa chwila, zanim kuratorka zadała kolejne pytanie:

– Jakie są pani dalsze plany?

– Plany?

W tym momencie rozmowę przejął Samuel Lee. Jego zachowanie sugerowało, że jest przełożonym Katie, albo jako mężczyzna w naturalny sposób przyjmował taką manierę.

– Wie pani, co mamy na myśli.

– Czy chcę utrzymać ciążę? – Ruth pogłaskała się jedną ręką po brzuchu i jednocześnie zdała sobie sprawę, że drugą z całych sił zaciska na butelce z mlekiem. Rozluźniła dłoń. – Pytanie powinno brzmieć: czy ta ciąża będzie chciała się utrzymać?

– Czy pani odpowiedź brzmi: tak?

Mężczyzna uważnie notował każde słowo. Ruth znów odetchnęła głęboko. Musiała być ostrożna, współpracować z nimi.

– Nigdy nie donosiłam żadnej ciąży do końca. Próbowałam sześć razy, wiedzą to państwo z moich akt. Ale jeśli chcemy się zabezpieczyć i rozważyć wszystkie scenariusze, to w porządku, omówmy to po kolei. Wstąpiłam na jednego drinka, żeby zebrać się na odwagę i usunąć ciążę, ale ostatecznie zdecydowałam się tego nie robić. Gdybym nie planowała aborcji, nigdy nie wypiłabym alkoholu. Jeśli donoszę, to ja i Bernard będziemy mieli dwoje dzieci. Wiele osób ma dwoje dzieci. Gdyby in vitro się udało, mielibyśmy ich pewnie co najmniej dwoje. Jak państwo wiedzą, moje małżeństwo jest udane, jesteśmy dobrze sytuowani, mamy piękny dom, nasza rodzina mieszka w pobliżu i nas wspiera. Su świetnie się zaaklimatyzowała, jest zdrowa, wszyscy jesteśmy bardzo szczęśliwi. Jeśli będę potrzebować pomocy albo jeśli państwo uznają, że potrzebuję pomocy, to oczywiście z niej skorzystam.

Samuel Lee uniósł wysoko brwi.

– Jest sporo do omówienia. Zorganizuję posiedzenie interwencyjne.

Zamknął notatnik i skinął na Katie Morrison, do której Ruth nigdy potem nie zwróciła się już po imieniu. Ładne imię, Katie. Odtąd miała być dla niej panią Morrison, a za plecami: „tą kretynką”.

Wszczęto dochodzenie dotyczące podejrzenia zaniedbania dziecka. Zaczęły się przesłuchania na policji i w ośrodku społecznym. Opieka zabrała Su miesiąc później, po dwóch posiedzeniach interwencyjnych w lokalnym ośrodku i jednej rozprawie w sądzie rodzinnym. Fakt, że ostatecznie Ruth nie postawiono żadnych zarzutów, nie zniechęcił kuratorów, którzy utrzymywali, że adopcja dziecka odmiennej rasy od początku budziła ich wątpliwości, że wniosek Ruth i Bernarda był przedmiotem burzliwych dyskusji, a szanse na pozytywną decyzję wątpliwe. W dniu planowanej aborcji Ruth naraziła Su na ryzyko. Ten incydent oraz fakt ciąży przechyliły teraz szalę w drugą stronę. Mówiono, że przy tak małej różnicy wieku para nie poddała obowiązkowi wychowawczym, że adoptowane dzieci wymagają szczególnej troski i niepodzielnej uwagi. Tłumaczono, że kwestie rasy są zawsze newralgiczne, ale obecność w domu białego rodzeństwa w podobnym wieku dodatkowo skomplikuje sytuację. Problemy z tożsamością kulturową skutecznie uniemożliwią wytworzenie więzi rodzinnych. Ostatecznie argumenty pełne urzędowego żargonu wygrały. Zdecydowano, że adopcja przez Ruth i Bernarda nie leży w najlepszym interesie Su, skoro w rodzinie ma pojawić się drugie dziecko o innym kolorze skóry.

„Ta kretynka” zjawiała się po odbiór Su w towarzystwie Samuela Lee i policji. Ruth i Bernie postanowili załatwić to jak najszybciej, żeby nie stresować małej. Oddali ją w ręce funkcjonariuszy przed domem, a potem weszli do środka, nie oglądając się za siebie. Za drzwiami Ruth upadła z płaczem na podłogę. Godzinę później wstała i cały drugi trymestr poświęciła na walkę. Zapisła się na spotkania AA, choć nigdy nie nadużywała alkoholu i w ogóle przestała pić ze względu na ciążę. Czytała branżowe artykuły na temat rasy i adopcji, żeby poznać argumenty, które będzie musiała podważyć. Studiowała ustawy i wszystkie materiały, jakie była w stanie znaleźć na temat podobnych spraw w Wielkiej Brytanii i za granicą. Namierzyła kobietę, która przeszła przez podobny proces w Australii, i wygrała. Zatrudniła ekspertów od adopcji, rasy, relacji między rodzeństwem i teorii więzi, żeby przygotowali odpowiednie opinie i pomogli jej stworzyć plan, który rozwieje przynajmniej część obaw opieki społecznej. Skontaktowała się z prasą i udzieliła okraszonego łzami wywiadu dla Reporting Scotland, w którym błagała, aby jej dziecku pozwolono opuścić trzecią już rodzinę zastępczą i powrócić do domu.

– W jaki sposób w najlepszym interesie mojego dziecka może być zabranie jej od jedynej matki, jedynej rodziny, jaką zna? Nie odesłano jej nawet do Korei Południowej, ale wrzucono do brytyjskiego systemu opiekuńczego. To nie ma w ogóle sensu.

Zrobiła dobre wrażenie, więc inne stacje telewizyjne i większość gazet podchwyciły temat. Wszystkie współczuły parze. W trakcie całej batalii Ruth niemal nie zwracała uwagi na dziecko rosnące w jej

brzuchu, co martwiło Berniego.

– Może powinnaś odpocząć – powiedział, gdy wróciła do domu o dwudziestej trzeciej z wywiadu w Londynie.

Bernard lubił wynajdywać sobie nowe, ciekawe zajęcia, a jego najnowszym hobby było hodowanie warzyw w słoikach z wodą. Tego wieczora zajmował się głąbem sałaty, który uratował z przydomowego kompostownika.

– Może ty powinieneś przestać odpoczywać! – Ruth zwykle doceniała opanowanie męża, ale odpoczynek nie zwróci im Su, a widok sałaty zadziałał na nią jak płachta na byka. – I po co się z tym użerasz? Główka sałaty kosztuje trzydzieści pensów, Bernard!

– Bo nie chcę umrzeć ze stresu. I nie chcę, żeby spotkało to ciebie albo nasze nienarodzone dziecko. Ruth wyrwała mu słoik z rąk i cisnęła go do kosza, razem z wodą i sałatą.

Tym razem nie sprawdzała co kilka godzin, czy na bieliźnie nie ma śladów krwi, jak przy sześciu poprzednich ciążach. Nie biegała do lekarza z każdym skurczem. Nie modliła się, „Boże, Boże, spraw, żeby wszystko było dobrze”. Nie była niezadowolona, tylko rozkojarzona, może nawet popadła w obsesję, ale czy można się jej dziwić?

Wody odeszły jej w chwili, gdy rozmawiała przez telefon z jednym ze swoich prawników. On i Bernie wyszli właśnie z kolejnej rozprawy i mieli dla niej wspaniałe wieści. Skurcz był tak silny, że wypuściła telefon z ręki. Poczowała ogromną irytację, że musi czekać, aż ból zelżeje, żeby do nich oddzwonić. Wygrali sprawę! Su wróci do domu! Do dziś, gdy ktoś pyta Ruth, jak wspomina swój poród, odpowiada, że naprawdę zajebiście.

Su miała dziewięć miesięcy, gdy nowa pracownica opieki społecznej (również kretyńska) przywiozła ją do domu. Wydawała się groteskowo duża w porównaniu do swojej nowo narodzonej siostry, i dużo ciemniejsza, niż Ruth zapamiętała. Gdy przyjechała, Ruth oddała Leę mężowi i pobięła otworzyć drzwi. Wzięła Su na ręce i przez kolejnych kilka tygodni nie chciała jej wypuścić. Spała nawet razem z nią na zapasowym łóżku. Nigdy więcej nie chciała jej stracić.

Walka o powrót Su była tak wyczerpująca, że Ruth nie umiała nawet powiedzieć, czy cierpi na depresję poporodową. Jedyne, czego była pewna, to że jej biała córka nie wydaje się jej wcale potrzebować, i że budzi w niej lęk.

Dziś Ruth nie bała się już Lei. Usiadła wyprostowana na jednym końcu łóżka i wzięła dwa głębokie wdechy. Potrzebowała informacji. Nie mogła zdenerwować świadka.

– Opowiedz dokładnie, co wydarzyło się wczoraj. Od początku, ze szczegółami, zaczynając od południa.

5.

Pensjonat Paula znajduje się w Ramblas, ruchliwej dzielnicy Barcelony. Przyznałabym mu jedną gwiazdkę za lokalizację, gdybym miała ochotę włóczyć się po mieście albo używać życia, i może jeszcze pół za cenę (trzydzieści siedem euro za noc), ale poza tym jest to kompletna rudera. Po wejściu wspomnienie kuszącej fasady ulatnia się w mgnieniu oka: podstarzałe ściany i meble, wielokrotnie łatanie przez (zakładam) podstarzałego właściciela obiektu (imieniem Carlos); chybotliwe schody, które śmierdzą sierścią psa (imieniem Rico); i mój wąski, jednoosobowy pokój, który świetnie nadawałby się na kabinę samolotu, ale gorzej na naziemną sypialnię.

Od godziny próbuję się zdrzemnąć, ale materac jest niewygodny, a poszwa poduszki ma jasnobrązową plamę z jednej strony i brązowoczerwoną z drugiej. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jak wygląda wypełnienie. Choć okno jest zamknięte (i nie można go otworzyć), z zewnątrz dochodzą mnie głosy anglojęzycznych turystów, którzy wymieniają uwagi o pęcherzach, miejscowej komunikacji i godnych polecenia restauracjach. W środku najróżniejsze owady wydają z siebie najróżniejsze dźwięki. Wspólna łazienka znajduje się naprzeciwko mojego pokoju, i niemal widzę cząsteczki kału i moczu przenikające przez krzywą szparę w moich drzwiach z wyłożonego zieloną wykładziną korytarza. Ile bym dała, żeby leżeć teraz w swoim własnym, wielkim łóżku w domu, albo nawet na dole naszego piętrowego łóżka w Magaluf.

Dobrze mi się tam spało. Zwykle wylegiwałam się do południa, ale wczoraj obudziłam się dopiero o drugiej. Lea nie pozwalała mi nastawiać budzika – to była jedna z żelaznych zasad, które przekazała mi w dzień wyjazdu.

Żadnych napojów bezalkoholowych. Pić dokładnie tyle, co reszta. Żadnych rozmów z nudnymi i/lub brzydkimi facetami. Zakaz wracania do mieszkania wcześniej i samej. Zakaz czytania. Zakaz karaoke. Zakaz budzika. Zakaz wrzucania do sieci nieautoryzowanych zdjęć. Zakaz kontaktowania się z Jamesem. Absolutny zakaz targowania się. („Jeśli przyłapię cię na targowaniu się, zostawiam cię samą na resztę wyjazdu”). No i zakaz porannego joggingu. Nazwisko mojej mamy wymuszało na kobietach w naszej rodzinie surowy rygor dbania o sylwetkę. Mama, Lea i ja wiedziałyśmy, że nie można nazywać się Oliphant i mieć nadwagę. Aby zapobiec tej śmiertelnej kombinacji, Lea nie jadła za wiele, a jeśli przeholowała, zmuszała się do wymiotów, a mama i ja ćwiczyłyśmy.

Początkowo w Magaluf brakowało mi mojej dawki fitnessu: w domu codziennie biegałam albo pływałam, trenowałam netball i regularnie startowałam w minitriathlonach i półmaratonach. Szybko jednak poddałam się leniwemu trybowi życia. Trzeciego czy czwartego dnia budziłam się już prawie koło południa, a w następne dni jeszcze później. W pierwszej chwili miałam wyrzuty sumienia, potem pogratulowałam sobie, że nareszcie jestem normalna – rozlazła i skacowana, jak pozostałe dziewczyny, które nigdy nie wstawały przed czternastą i budziły się z siniakami niewiadomego pochodzenia, nieświeżym oddechem, mdłościami, a niejednokrotnie też nagim chłopakiem u swego boku. Dzień wcześniej byłyśmy na imprezie na statku, a potem zrobiliśmy rundę po sześciu najpopularniejszych barach na głównej ulicy (Lea była niemal całkowicie splukana, więc pozwoliła mi złamać zasady i wytargować zniżkę na karnet Maga Club Pass, przez nas, stare wyjadaczki, zwany MCP). Przed łazienką w jednym z klubów jakiś Australijczyk zaproponował mi ekstazy. Tabletką była biała z miniaturowym odciskiem kciuka, co ponoć znaczyło, że jest bezpieczna, podobnie jak żółte z motylkami. Byłam już

zdrowo wstawiona, więc wzięłam ją, nie zastanawiając się wiele i nie mówiąc nic pozostałym.

Pigułka sprawiła, że poczułam ogromny przyływ miłości i natchnienia. Powiedziałam Natashy, że jest mądra najlepszym rodzajem mądrości, bo jest wesoła i dobra. Powiedziałam Millie, że powinna zostać modelką dłoni, bo jej dłonie są po prostu stworzone do głaskania. Wreszcie zrozumiałam, co miała na myśli Lea, mówiąc o „czuciu” muzyki, i „czułam” ją przez wiele, wiele godzin. Ekstazy podobała mi się. Bardzo. Następnego dnia rano już mniej. Lea musiała usłyszeć, jak jęczę z łazienki, bo zawołała:

– Żyjesz?

– Ta... Chyba już. – Mój żołądek pozbył się już wszystkiego, co mógł, ale nadal próbował zaciekle.

– To mogę wejść? Zaraz się posikam.

Zwymiotowałam jeszcze kilka razy do umywalki, a Lea szczebiotała z sedesu obok.

– Nie mogę uwierzyć w to, co zrobiła Natasha. Ale szmata.

– Chodzi ci o tamto na statku?

Natasha zgłosiła się do jednej z obscenicznych gier na pokładzie, wraz kilkoma innymi wstawionymi dziewczynami, obnażając pośladki i przyjmując klapsy od pijanych chłopaków, którzy poprawnie odpowiedzieli na pytanie prowadzącego. W tamtym czasie byłam już po paru drinkach z wódką i uważałam, że to zabawne. Tyłek Natashy był jędrny i nieduży w porównaniu z jej biustem, i chyba dlatego się zgłosiła.

Prostowane blond włosy, wydatne piersi i kolczyk w nosie tworzyły wokół Natashy niezwykłą aurę zblazowania, która urzekła zarówno facetów, jak i kobiety. Wszystkie dziewczyny chciały być tak popularne i wyluzowane, jak ona. Natasha zawsze wiedziała, co powiedzieć, żeby rozładować napięcie, sprytnie zmieniając temat rozmowy tak, żeby utrzymać atmosferę dobrej zabawy. Wszyscy chłopcy chcieli ją zdobyć i choć większości się to udawało, jej reputacja ślicznej, miłej i fajnej laski pozostawała nienaruszona. Od przyjazdu do Magaluf spała z trzema facetami – z dwoma w naszym mieszkaniu, czwartej nocy naszego pobytu (w odstępie siedmiu godzin od siebie), a z trzecim dzień później, u niego w hotelu. Od tamtej pory wszyscy trzej nieustannie zarzucali ją esemesami, a Natasha odpisywała im uprzejmie, ani ich nie splawiając, ani nie zwodząc. Przez trzynaście lat naszej znajomości moje relacje z Natashą nie wyszły poza zdawkową wymianę grzeczności. W Magaluf wreszcie pojęłam, na czym polega jej atrakcyjność. Przebywanie z nią było relaksujące. Nie miała przed niczym oporów i nie rozwodziła się nad tym, co było.

– Wychodzisz już? Szybko, ratunku! Muszę wejść!

Otworzyłam drzwi, ciesząc się, że siostra nie odpowiedziała na moje pytanie i że Natasha nie usłyszała, jak nazwano ją szmatą. Lea w samą porę uskoczyła z sedesu przed strugą wymiocin Natashy.

– Su, Su! Patrz, czy to krew?

Już pierwszej nocy Natasha mianowała mnie kierownikiem medycznym wyprawy, po tym jak napiła się z pękniętej szklanki i skaleczyła w wargę. Od tamtej pory to ja zajmowałam się ugryzieniami owadów (cała nasza czwórka), oparzeniami słonecznymi (wszystkie poza mną, później zmuszałam je do nakładania kremu z filtrem), gumą do żucia we włosach (Millie) i tajemniczym skaleczeniem na kostce (Lea). Pomogłam też Natashy odnaleźć zagubioną prezerwatywę, trzymając ją za rękę i odwracając głowę, gdy leżała na podłodze w łazience. („Nabierz powietrze przez nos i wypuść przez usta. Wyobraź sobie ocean, piękny, błękitny ocean, oddychaj, stopy razem, podsuń je pod pośladki, teraz pozwól, żeby twoje kolana opadły na boki, oddychaj, o tak. Teraz wsuń palec i... Okej, odpoczniemy i spróbujemy jeszcze raz”). Gdy Natasha wreszcie zlokalizowała i usunęła prezerwatywę, poszłam z nią do apteki i dopilnowałam, żeby wzięła „pigułkę po”. Potem zabrałam ją do przychodni na podstawowe testy (dodatni wynik na chlamydie), podałam jej antybiotyk, udzieliłam lekcji na temat rozmiarów prezerwatyw i ich bezpiecznej aplikacji i umieściłam świeże paczki kondomów w torebkach dziewczyn

(których było łącznie dziewięć) oraz w każdej szufladzie naszego mieszkania.

Wymiociny Natashy zawierały kilka niestrawionych frytek i przynajmniej jeden cały krążek cebuli.

– To nie krew, to sos chili. Nic ci nie jest.

Przytrzymałam jej włosy, podczas gdy resztki kebaba i różowa ciecz wypełniały misę sedesu.

– Kurwa, Su, ja cię kocham.

Oderwałam gęsty kawałek żółci zwisający z jej ust i wytarłam jej twarz czystym, wilgotnym ręcznikiem.

– Oho... Ja ciebie też. A teraz wypij tę wodę, całą. O tak.

Przez cały ten czas Lea stała przy lustrze i zmywała makijaż.

– Utyłaś, siostra – powiedziała do mnie. – Twoje nogi wyglądają jak dwie kłody.

– Serio?

Było dość oczywiste, że Lei niezbyt podoba się moja obecność w ich paczce.

Jak zawsze przygotowałam dla wszystkich brunch. Sałatka owocowa, płatki z mlekiem, pełnoziarniste tosty z dżemem i herbata. Potem, jak co dzień, zaczęłyśmy szykować się na basen. Pierwszego dnia byłam zszokowana, że przygotowania mogą zajmować półtorej godziny. W domu, wyjście na basen (pływałam co drugi dzień, po czterdzieści długości) zajmowało mi pięć minut. Kostium, okulary, ręcznik, portfel, klucze – i już mnie nie ma. W Magaluf gotowość basenowa wymagała uważnej aplikacji dziennego make-upu i wodoodpornej maskary. Aha, wyjście na basen nie miało na celu pływanie w nim.

– W żadnym wypadku nie wolno ci zamoczyć głowy ani włosów! – pouczała mnie Lea pierwszego dnia.

Dalej następowała selekcja bikini. Każda z dziewczyn miała ich co najmniej dziesięć. Trzynastego dnia przeżywały katusze, kiedy były zmuszone założyć któreś po raz drugi. Potem przychodziła kolej na szorty, kimona lub bluzki z odkrytym brzuchem. Wreszcie, akcesoria.

Na basen docierałyśmy około siedemnastej, na tyle późno, żeby znaleźć wolne leżaki obok siebie. Wyczuwałam, że Millie jest podekscytowana, widząc Euan opalającego się nieopodal. Głowę miał owiniętą koszulką, a jego klata, ramiona i nogi były boleśnie czerwone. Millie położyła się na leżaku obok i puściła mu z telefonu głośną piosenkę, licząc, że się obudzi.

Wszyscy, w tym Euan, drzemaliśmy w słońcu do dziewiętnastej, dopóki cień i lekki chłód nie kazały nam się zbierać z powrotem. Gdy ruszyliśmy w stronę wyjścia, Euan zawołał za nami:

– Widzimy się dziś w klubie, dziewczyny?

Czekałyśmy na Millie. Wreszcie odpowiedziała, nawet nie oglądając się za siebie:

– Może!

Millie była jedyną koleżanką Lei, która pochodziła z nieszczęśliwej rodziny. Jej rodzice nie cierpieli się nawzajem, a jedyną rzeczą, która ich jednoczyła, była jeszcze silniejsza niechęć do własnej córki. W ostatnim roku siedem razy wyrzucali Millie z domu. Pomieszkiwała wówczas u nas albo u Natashy, ale ostatecznie zawsze wracała do siebie, licząc, że choć jedno z rodziców powita ją z utęsknieniem i skruchą. Trochę się jej bałam – chodziły plotki, że podczas nocnych wyjść w Glasgow zdarzało jej się wdać w bójkę. W Magaluf była zbyt zajęta uprawianiem seksu, żeby mieć czas na bijatyki. Pierwszej nocy dała namówić się na trójkąt z jakimś chłopakiem i jego („tak jakby”) dziewczyną z Leeds.

– No cóż, lesbijką nie jestem – obwieściła, zjawiając się na basenie następnego dnia.

Od tamtej pory codziennie spała z innym facetem. Nigdy nie uczestniczyłam aktywnie w „dyskusjach po” – moje opinie, jako dziewicy, się nie liczyły, a mój osąd moralny nie był mile widziany – ale zwykle przysłuchiwałam się relacjom i detalom, które Mille była w stanie sobie przypomnieć. W jej

opowieściach przewijały się głównie spożyte trunki i narkotyki (zwykle MDMA lub ekstazy, raz kokaina), kształty i rozmiary penisów oraz ich osiągi. Ale wymykały jej się też inne szczegóły, które malowały dość smutny obraz, na przykład: „Wydaje mi się, że zasnęłam w trakcie”; „Po wszystkim kazał mi wyjść, dupek”; „Powiedział, że robię wszystko źle”; „Wcale nie płakałam, to alergię na pyłki”.

Euan był jednym z jej podbojów. Trzeciego dnia trafili do naszego mieszkania. Słyszałam ich z sofy w dużym pokoju.

– Może byłoby inaczej, gdybyś nie cuchnęła rzygami!

– Chcesz, żebyśmy jeszcze raz umyła zęby?

– Eee, nie chodzi o oddech. Zostaw już, bo mi go jeszcze obetrzesz. Kurwa, no daj już spokój.

Teraz, gdy wychodziłyśmy z basenu, Millie była zadowolona ze swojego obojętnego „może”. Szkoda, że nie została przy tym, tylko po kilku sekundach zatrzymała się i odwróciła w stronę chłopaka, który znów założył sobie koszulkę na głowę.

– Hej, Euan, w którym będziesz barze?

Tym razem to on przyjął obojętną pozę i nawet nie zdjął koszulki z twarzy.

– Nie mam pojęcia. Pewnie kupię MCP.

– Może zobaczymy się w Roc, koło dziesiątej?

– Może.

Potem wreszcie odstonił twarz i usiadł na leżaku.

– A ty będziesz? – zapytał.

Czyżby mówił do mnie? Chłopcy zwykle nie zauważali mojej obecności.

– Ja?

– No. Słyszałem, że chcesz się tam czegoś pozbyć...

Millie chwyciła mnie za ramię i odciągnęła na bok.

– Powiedziałaś mu? – wyszeptałam, sama dziwiąc się, jak bardzo mnie to wkurzyło.

Dziewictwo nie było dla mnie jakąś wielką sprawą. W moim odczuciu nie definiowało mnie.

Millie poczerwieniała jak burak, więc Lea postanowiła się wtrącić.

– Wszyscy wiedzą, Su-Jin! Wystarczy na ciebie spojrzeć.

– Przepraszam – powiedziała Millie, puszcżając moje ramię. – Byłam narąbana, musiałam się przez przypadek wygadać.

Od pierwszego dnia szkoły marzyłam o tym, żeby ściągnąć Millie do nas do domu i karmić warzywami. W wieku pięciu lat była niższa i pulchniejsza od reszty dziewczynek w naszej klasie. Pamiętam, że gdy ustawiałyśmy się w pary na boisku przed panią Benson, szlochała. Pamiętam, że jej mama jako jedyna nie uroniła łzy, gdy zniknęłyśmy w drzwiach szkoły.

W McDonalddie każda z nas zamówiła to, co zwykle. Lea i Natasha: cheeseburgery, frytki i colę light. Millie: Big Maca, cebulowe krążki i colę. Ja: sałatkę Cezara z grillowanym kurczakiem i wodę. Była dwudziesta trzydzieści, gdy dotarliśmy z powrotem do mieszkania z dwiema butelkami wódki, które miały nas wprawić w nastrój przed wielkim finałem.

O wpół do jedenastej, przy ryczącej muzyce, po wzajemnej korekcie i aprobacie kreacji oraz wypiciu litra wódki i dwóch litrów lemoniady, Lea otworzyła drugą butelkę. Rozlała czystą wódkę do czterech szklanek, kazała nam ją wypić na raz, i rozpoczęła swój cowieczorny speech motywacyjny. Zwykle adresowany był do Millie i Natashy. („Czy będziemy tańczyć całą noc?” „Taaaak!” „Czy wyrwiemy facetów?” „Taaaak!” „Czy jesteście zajebiste?!” – dziki ryk), ale tym razem był tylko o mnie.

– Tej nocy, dziewczęta, mamy misję do wykonania! Za nami dwanaście wieczorów w Magaluf, a nasza Su wciąż nie zerwała ze swoim aseksualnym brzydalem. Dziś, w tym właśnie miejscu, będziemy

świadcami końca tego związku!

Podczas gdy Lea wystukiwała numer Jamesa na moim telefonie, Natasha i Millie skandowały radośnie:

– Kończ to! Kończ to!

Już od dawna kręciło mi się w głowie od lemoniady z wódką, a szklanka czystej, którą przed chwilą wypita, pograżyła mnie do reszty. Zerwanie z Jamesem wydało mi się doskonałym pomysłem. Nie jestem pewna, czy James naprawdę odebrał, ale wtedy byłam przekonana, że z nim rozmawiam, i że mówię to, co chcę powiedzieć.

– James, ja chcę się bawić. Z tobą nie ma zabawy, Jamesie Franku Morrisonie. To koniec, kończymy. Nie chodzi o ciebie. A nie, właściwie to chodzi o ciebie. Ja z tobą... Co ja z nim robię, Lea?

– Kończysz z nim!

– O właśnie, kończę z tobą. Sorry, jeśli ci przykro, ale muszę ci już powiedzieć „nara”. Nara, James, dzięki za wszystko, i powodzenia w Oksfordzie. Było fajnie, ale czas...

Lea wyrwała mi z ręki telefon i rozłączyła się. Widownia szalała. Wspięłam się na blat kuchenny i kłaniałam się nisko, zbierając gromkie oklaski, dopóki nie spadłam na podłogę, co może wyjaśniać czarno-pomarańczowego siniaka wielkości melona na mojej łydce.

– Cisza na sali! – Lea uderzyła szklanką o szklankę, żeby nas uspokoić. Stłukła przy tym jedną z nich, co nas ogromnie rozbawiło. – To był dopiero krok numer jeden! Krok numer dwa jest naszym głównym celem, dziewczynki. Su-Jin Oliphant-Brotheridge, czas, aby ktoś zebrał... zerwał... jak to się mówi? Zerwał twój kwiat! Czas zakrwawić prześcieradło! Dwanaście dni, a ty się z nikim nawet nie lizałaś. Wstyd!

Nie jestem pewna, czy była to do końca prawda. Dziesiątego dnia poszliśmy do baru Barillo's i jestem niemal pewna, że całowałam się z chłopakiem, który miał w uchu ogromny, ciężki kolczyk. Rozciągnięty płatek jego prawego ucha zwisał co najmniej pięć centymetrów niżej od lewego. Ale nie mam stuprocentowej pewności, bo byłam tak pijana, że przewróciłam się, a potem poczołgałam po parkiecie do łazienki, udając, że demonstruję jakiś nowy rodzaj tańca. Nie mogłam spędzić zbyt dużo czasu z tym chłopakiem, bo w kodeksie Lei zadawanie się z kimś takim jak on było nielegalne, a żadna ilość alkoholu nie była w stanie otępić mnie na tyle, bym ważyła się jej przeciwstawić. Chyba spuściłaby mi lanie.

W Magaluf byłam posłuszna i piłam wszystko, co mi zaordynowała. Początkowo czułam się z tym okropnie, bo nie robiłam tego nigdy wcześniej, i co pewien czas wychodziłam z baru, w którym akurat byliśmy, udając, że chcę „obczaić palaczy”, a tak naprawdę szłam złapać trochę świeżego powietrza i przemycić szklankę wody. Jednak po kilku dniach zaczęło podobać mi się to uczucie odprężenia, tańczenie, zaśmiewanie się z rzeczy, które na trzeźwo nie wydałyby mi się śmieszne, skandowanie niczym cheerleaderka z nowymi przyjaciółkami, które nareszcie mnie polubiły. Nie przeszkadzały mi nawet wymioty, które, jak odkryłam, bardzo zbliżyły. Nigdy nie spodziewałabym się, jak wspaniale jest przytrzymywać innej dziewczynie włosy, zdjąć jej szpilki, zanieść ją do łóżka, ułożyć jej głowę na poduszce, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, zapewnić, że nie wygląda brzydko, lecz zadziwiająco pięknie, zważywszy na okoliczności, i usłyszeć, jak mówi: „Nnnie, nnnie, to ty jesteś piękna, dużo piękniejsza niż inne”.

To Lea tak powiedziała. Szkoda, że tego nie nagrałam, żeby puszczać to sobie teraz na okrągło. Jestem żalosalną idiotką.

Natasha i Millie były dla mnie tak samo miłe i to nie tylko po pijanemu. Nauczyły się polegać na mojej wiedzy medycznej. Chichotały z moich niekonwencjonalnych figur tanecznych (zdaje się, że wynalazłam nie tylko „taniec czołgany”, ale też „taniec nosa” – jest niezły, wiodącą częścią ciała jest w nim nos). Zwierzały mi się, gdy Lea spała albo umawiała się z jakimś chłopakiem. Ojciec Millie bił ją i jej matkę dość często. Jej mama dwa razy trafiła przez niego do szpitala, ale kłamała, gdy pytano ją o przyczyny.

Natasha kochała się w przewodniczącym szkoły imieniem Henry, jedynym mężczyźnie, który nie okazywał jej zainteresowania. Zastanawiała się, czy to przez to, że jest płytka i głupia. Pocieszyłam ją, że to na pewno nie o to chodzi, choć w głębi duszy podejrzewałam co innego. Henry był ogromnie inteligentny. Ten jego speech na temat podatku od wynajmu! Te sumy, które udało mu się łączyć na syryjskich uchodźców!

W Magaluf zaczęłam doceniać zalety bycia płytkim i głupim. Rozmyślanie i czytanie o fizyce czy polityce jest nie tylko ogromnie męczące, ale też niepokojące. Trzeźwy, dobrze poinformowany umysł jest spięty i spanikowany. Generalnie próbuję przez to powiedzieć, że spodobało mi się picie alkoholu.

– Słuchajcie towarzyszek, słuchajcie uważnie! – kontynuowała Lea. – Część pierwsza naszej misji zakończona, musimy więc przejść do defloracji, tak to się fachowo nazywa, naszej Su Oliphant-Brotheridge z Doon. Ten, który zerwie jej kwiat, gdzieś tam na nią czeka! Czy jesteśmy gotowe znaleźć dla tej dziewczyny kutasa?

Millie i Natasha:

– Tak!

– Jeszcze raz! Czy jesteśmy gotowe znaleźć dla Su-Jin kutasa?!

Millie, Natasha i (z oporem) ja:

– Tak!

– Nie słyszę was, siostry! Powiedzcie to słowo, powiedzcie: kutas! – Lea stała teraz na kuchennym blacie. Mogłaby być politykiem albo przywódczynią jakiejś sekty. Czuliśmy ogarniające nas uniesienie – Jesteście gotowe na kutasa?!

Millie, Natasha, Lea i ja:

– TAK! TAK! TAK!

Nie wypowiedziałam słowa na „k”. Ale patrząc wstecz, wydaje mi się, że byłam gotowa.

To nie był nowy plan i nie tylko Lea była jego autorką. Ja też uważałam, że dobrze byłoby przespać się z kimś w Magaluf, z kimś, na kim mogłabym się wprawić i kogo nigdy więcej nie musiałabym widzieć. Przez chwilę tańczyłyśmy w saloniku naszego wynajętego mieszkania, wypiliśmy jeszcze po jednym czy dwóch szotach i wyruszyłyśmy na miasto.

Pamiętam jeden z bar ze ścianą obitą aksamitem, bo spędziłam dłuższy czas na jej głaskaniu. Pamiętam, że widziałyśmy Euana i jego pięciu kumpli z Manchesteru w klubie wypełnionym bańkami mydlanymi, i pamiętam, że zapytałam kogoś, czy te bańki są prawdziwe, ale nie pamiętam odpowiedzi. Pamiętam naganiacza z gołą klatką i tatuażem w kształcie ptaka, który namówił nas i paczkę Euana, żebyśmy przyszedli do Coconut Lounge. Pamiętam, jak Lea przyciągnęła do baru jakiegoś chłopaka, żeby ze mną pogadał.

– To Sam i chciałby zgłosić swoją kandydaturę!

Natasha przedstawiła mnie co najmniej trzem innym facetom:

– To moja koleżanka, czyż nie jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałeś?

Pamiętam, że ociekałam potem. Mokre plamy pod biustem, to musiało być seksowne! Było mi gorąco i byłam wściekła. Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, jest Millie, popychająca kogoś w moją stronę i mówiąca:

– John tutaj mówi, że może cię przelecieć.

Potem wszystkie wspomnienia się rozmywają. Czy z kimś się pokłóciłam? Czy ktoś upadł na plecy? Nie chcę pamiętać.

Uderzam się po głowie.

Nie mogę oddychać w tym pokoju, a co dopiero spać. Mam wrażenie, że leżę tu od wielu godzin, ale nie

mam pojęcia, ile czasu naprawdę minęło.

Wkładam dżinsowe szorty. Zawsze były dla mnie za małe, ale nigdy nie wpijały mi się w krocze. Lea miała rację – utyłam w Magaluf.

Po drugiej stronie ulicy jest kafejka internetowa. Wkładam czapkę z daszkiem i ciemne okulary i ruszam w jej kierunku.

6.

Z głową opartą o framugę łóżka i kolanami podciągniętymi pod brodę Lea z drzeniem czekała, aż matka skończy przeglądać zapiski z ich dotychczasowej rozmowy.

– Więc do Coconut Lounge dotarliście o pierwszej w nocy?

– Nie wiem dokładnie. Chyba tak. Mówiłam ci już, byłam kompletnie pijana. Oglądacz nas zaczepiał, ale wtedy naganiacz z baru go spłoszył.

– Jaki „ogładacz”?

– Handlarz uliczny. „Oglądać, oglądać! Markowy zegarek! Okulary słoneczne! Oglądać, oglądać, nuggetsy!”.

– Nuggetsy?

W Magaluf najwyraźniej nie mówiło się po hiszpańsku.

– Inaczej „biała biedota”. W każdym razie naganiacz, ten facet z tatuażem z nagrania, zatrzymał nas przed wejściem do baru i obiecał darmowe drinki. Weszliśmy. W środku był niezły lans.

– Jak się nazywał ten naganiacz?

– Nie pamiętam. Nie wiem, czy w ogóle nam się przedstawiał.

– Ten Coconut Lounge jest przy głównej ulicy?

Lea skinęła głową, więc Ruth wpisała nazwę baru w wyszukiwarkę w swoim telefonie.

Poczuła ścisk w żołądku, gdy na ekranie wyświetlił się link do filmiku Su.

– Chryste.

Zacisnęła zęby, ale wytrwale szukała adresu.

– Calle de la Punta Ballena. – Zapisała w notesie. – Brałyście narkotyki?

– Nie. – Lea ukryła twarz za kolanami.

– Zapytam Millie.

Ruth знаła numer Millie na pamięć, ale Lea powstrzymała ją, zanim zdążyła się połączyć.

Jej kumpela nie potrafiła kłamać.

– Millie, Natasha i ja brałyśmy ekstazy. Naganiacz sprzedał nam zaraz przy wejściu.

– A Su?

– Nie chciała.

– I ani ty, ani Millie czy Natasha naprawdę nie pamiętacie, czyj to był pomysł? Żeby zrobiła to, co zrobiła?

– Nie, serio. Normalnie cały dzień o niczym innym nie gadałyśmy. Pamiętamy tylko, że tańczyłyśmy, piłyśmy, wzięłyśmy pigułki i potem nagle...

– Potem nagle zagrzewałaś grupę facetów do dzieła... – Ruth urwała. Nie chciała zbyt szybko przejść do swojej mowy końcowej. – I jedyne osoby, które znacie i potraficie zidentyfikować na nagraniu, to naganiacz z tatuażem i jakiś Euan z Manchesteru, który zatrzymał się w Hotelu Brava razem z pięcioma kolegami?

– Tak.

– Nikogo innego? – Ruth znów puściła filmik w swoim telefonie. – Otwórz oczy, spójrz jeszcze raz, tylko uważnie.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie poznajesz żadnych twarzy?

Ruth wielokrotnie w życiu korciło już, żeby spoliczkować Leę. W rzeczywistości zdarzyło jej się to tylko dwa razy, zanim córka ją przerosła. Teraz, gdy na przemian puszczała i pauzowała nagranie, a Lea nieustannie odwracała wzrok od ekranu, z trudem powstrzymywała się przed przywaleniem jej prosto nos.

– Skup się, Lea! Musisz kogoś rozpoznawać. Byłyście tam kilka godzin!

– Nikogo poza Euanem i naganiaczem.

– Spójrz na ekran, przestań wycierać nos. Skup się. Patrz uważnie. – Ruth przytrzymała córkę za podbródek, żeby nie mogła kręcić głową.

– Moment. Zatrzymaj tutaj! Ten gość w czerwonej koszulce to jeden z kolegów Euana. Nie pamiętam, jak miał na imię.

Chłopak, o którym mówiła Lea, stał jako siódmy w kolejce do Su.

– I jeszcze ten w džinsach, też z ich paczki. Reszty nie znam. Słowo, nikogo więcej już nie poznaję.

Po trzech powtórkach Ruth miała pewność, że córka rzetelnie zapoznała się z materiałem dowodowym, więc odłożyła telefon i wróciła do swoich notatek.

– Czy ktoś kupował Su alkohol?

– Nie wiem.

– Czy zazwyczaj pozwalała, żeby ludzie kupowali jej alkohol?

– Wiedziałyśmy, że nie wolno, to była zasada. Chyba nie, nikomu nie pozwoliła, no ale była naprawdę wstawiona.

– Jak wyglądał człowiek, który ją nagrywał?

– Nawet nie wiedziałam, że ktoś to filmuje.

– Czyj to był pomysł?

– Co?

– W internecie piszą, że zrobiła to, żeby dostać darmowego drinka, Jägerbomba. Co to takiego?

– Red bull i Jägermeister. Napój energetyczny z alkoholem.

– Więc zaferowano jej taki drink jako nagrodę? To by znaczyło, że ktoś, kto pracował w klubie, zorganizował i zaplanował to wszystko.

– Miałyśmy karnet na darmowe drinki przez całą noc, więc to nie miałoby sensu.

– Okej, co działo się potem? Po tym, jak kończy się film?

– Nie pamiętam. Nie widziałam jej potem. Bardzo długo tańczyłyśmy z dziewczynami w drugiej części sali. Potem poszłyśmy szukać Su, ale nie mogłyśmy jej znaleźć.

– Nie przyszło wam do głowy, żeby do niej zadzwonić? Napisać esemesa?

– Czekaj... Telefon padł mi dziś rano. Ładuje się. – Lea odłączyła ładowarkę i zaczęła przeglądać wiadomości. – O, jest. Pisałam do niej o 4.13. „Gdzie jesteś? Jak twój kwiat?”. Nie ma odpowiedzi.

– Jaki „kwiat”?

– Nie wiem, o co mi chodziło. Może słownik w komórce coś przekręcił albo byłam taka pijana.

– Więc całą noc po prostu tańczyłyście?

– Nie, po jakimś czasie poszłyśmy do Euana.

– Ty, Millie i Natasha poszłyście do Euana?

– Do niego do hotelu. Millie z nim kręciła. Natasha była z jego kumplem, Johnem.

– Czy John też stał w kółku?

– Nie, on miał brodę. Nie ma go na filmie.

– A ty z kim kręciłaś?

– Nie pamiętam, jak się nazywał.

– Też był kumplem Euana?

– Yhym.

– Jest na filmie?

– Nie.

– Czy ci dwaj koledzy Euana, którzy są na filmie, wrócili do hotelu?

– Chyba nie.

– Ale mogli?

– Nie. Pamiętam tylko nas trzy i ich troje.

– Ich trzech. – Nawet w takiej chwili jak ta Ruth nie mogła się powstrzymać. Co za strata pieniędzy, ta prywatna szkoła dla Lei. – Więc chcesz powiedzieć, że Millie kręciła z jednym z facetów, który wykorzystał seksualnie twoją siostrę, a ty i Natasha kręciłyście z jego kolegami? I że nie zadałyście sobie trudu, żeby odnaleźć Su i sprawdzić, czy nic jej nie jest, wszystkie trzy polazłyście z nimi do hotelu na słodkie bzykanko?

Bernie przerwał przesłuchanie, wchodząc bez pukania.

– Przyszedł posterunkowy Campbell z jakąś drugą, chyba Brown. Mówią, że Su wypłaciła dziś po południu pieniądze z bankomatu w Puerto Pollensa. Żyje. Nic jej nie jest.

Na twarzy Lei pojawiło się przerażenie.

– No jasne, że żyje! – Najwidoczniej aż dotąd nie wyobrażała sobie najgorszego. Spojrzała na ojca, szukając u niego pocieszenia. – Nie myśleliście chyba, że ona... Su nigdy by... Tato?

– A jak ty byś się czuła na jej miejscu?

Szorstka reakcja ojca chyba zaskoczyła Leę. Nie miał tego w zwyczaju.

– To nie ja jestem Su! To nie ja jestem na tym nagraniu! Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób?

– Kocham cię, ale przestań się nad sobą użalać. Tu nie chodzi o ciebie. Policja czeka na dole. Zadzwoń im po Millie i Natashę, będą tu za parę minut. Nastawię wodę.

Gdy Bernie wyszedł, Ruth zamknęła notes i wzięła głęboki oddech, a potem chwyciła Leę za ramiona i posadziła ją pionowo na łóżku. Oderwała jej dłonie od twarzy i przytrzymała je w swoich rękach. Jej uścisk był mocny, bez cienia czułości.

– Lea, dopuściłaś, żeby to się stało. Pozwoliłaś, żeby twoja siostra, która nie jest przyzwyczajona do alkoholu, upiła się. Razem z Millie i Natashą brałyście narkotyki, w związku z czym nie byłyście w stanie zadbać ani o siebie, ani o Su. Nie zauważyłaś, jak ta zabawa, zakład, czy cokolwiek to było, się zaczyna, a później nie zrobiłaś niczego, żeby to powstrzymać. Patrzyłaś, skandowałaś, podkrecałaś atmosferę. Jesteś tak samo winna jak reszta osób na tym filmie, w tym twoje najlepsze przyjaciółki. „Świat jest miejscem niebezpiecznym nie tylko z powodu tych, którzy czynią zło, ale również tych, którzy na to patrzą i nic nie robią” – to Albert Einstein. A teraz Su zapadła się pod ziemię. Oczywiście, że może mieć myśli samobójcze. Mój Boże, Lea, mogłabym teraz... Ja po prostu...

„Po prostu cię nienawidzę”, chciała wykrzyknąć Ruth, ale ze zdziwieniem odkryła, że nadal ma dość przytomności umysłu, żeby zamiast tego powiedzieć:

– ...po prostu jestem w szoku. Śmiałaś się i dopingowałaś, gdy powinnaś była krzyknąć i wrzeszczeć, żeby przestali! Nikt, ani jedna osoba w całym klubie, nie próbował tego zatrzymać. Nie mogę uwierzyć, że nie zrobiła tego nawet jej własna siostra, nawet najlepsze przyjaciółki jej siostry. Patrzyłaś, jak ją wykorzystują, gwałcą, zbiorowo gwałcą, bo w zasadzie tak to można nazwać. Tak jak w „Oskarżonych”, byłaś jednym z tych potworów, którzy się temu przyglądali, i którzy byli równie okropni jak ci, którzy przytrzymywali i gwałcili.

– Gwałcili? O czym ty mówisz!

– Twoja siostra nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Nie potrafiłaby. – Ruth puściła dłonie Lei, które

zaczęły dygotać aż do ramion. – Teraz, od tej chwili, zaczniesz naprawiać to, co zrobiłaś. Ty i twoje tak zwane przyjaciółki powiecie policji wszystko, co jesteście sobie w stanie przypomnieć. I nie myśl, że pozwolę ci wciskać im kit o zaniku pamięci. Tę gadkę słyszę w sądzie co drugi dzień i jest to naprawdę żałosna linia obrony. Masz wyężyć swoje nieliczne komórki mózgowie i przypomnieć sobie wszystkie szczegóły. A jeśli chodzi o karę, no cóż, jak wiesz, mam bogate doświadczenie w tym temacie. Młodociani to trudny przypadek. Nie są ani wystarczająco młodzi, ani dostatecznie dorośli. Co mam z tobą zrobić? Zabrać ci przywileje? MacBooka, telefon, pieniądze, jedzenie, żebyś była zmuszona znaleźć jakąś pracę albo iść na studia, i w końcu zrobić coś sensownego?

Lea poczuła ulgę, słysząc te pomysły, o ile oznaczały, że matka zostawi ją samą i pozwoli jej się wypłakać.

– Nie, ja jestem zdania, że u osób w twoim wieku najlepiej sprawdza się sprawiedliwość naprawcza.

– Co?

– Sprawiedliwość naprawcza. Twoją karą, przynajmniej częściową, będzie pokazanie mi, że rozumiesz, jaką szkodę wyrządziłaś, i wynagrodzisz ją osobie poszkodowanej. Polecisz z powrotem na Majorkę i odnajdziesz Su. Gdy tylko skończymy rozmawiać z policjantami, kupię ci bilet, najlepiej jeszcze na dzisiejszy lot. Ja zostanę w domu, bo mam tu swoje dojścia, które muszę wykorzystać, żeby ochronić Su i wszystko naprawić. Będę cię instruować na bieżąco. Będziesz moim człowiekiem w terenie. Gdy ją odnajdziesz, miejmy nadzieję, całą i zdrową, będziesz błagać ją o przebaczenie, które, jak ją znam, przyjdzie jej zbyt łatwo. Pomożesz jej zmierzyć się z rzeczywistością i wtedy... – W tym momencie głos Ruth się załamał. Z ledwością powstrzymała łzy. – Wtedy przywieziesz ją do domu, do mnie. A teraz wytrzymaj nos, zmyj wczorajszy makijaż, załóż bluzkę, która zakryje ci brzuch, i schodź na dół.

7.

Gdy Ruth i Lea zeszły na dół, Bernard siedział na kanapie naprzeciwko dwójki policjantów. Ruth widziała, że mąż stara się zachować spokój, ale jego twarz była blada, a usta zaciśnięte. Przycupnęła na brzegu sofy obok niego. Lea wtuliła się w niego z drugiej strony. Nawet gdyby Bernie chciał ją pocieszyć, tym razem nie umiałby tego zrobić.

Pierwsze trzy lata swojego związku Ruth i Bernard spędzili na zachodnim wybrzeżu USA. On miał etat w Orkiestrze Symfonicznej Oregonu. Rozwijał skrzydła, kochał swoją pracę i nie byłoby w porządku namawiać go do wyjazdu. Gdy się poznali, Ruth właśnie skończyła studia prawnicze i dostała nieformalną propozycję pracy w swojej wymarzonej kancelarii w Edynburgu: Hallen, Griffin i Wspólnicy, która miała mocną pozycję w sprawach dotyczących wolności obywatelskich i praw człowieka. Wspólnik kancelarii, który zaoferował jej posadę w trakcie suto zakrapianego lunchu, odradzał jej dłuższy wyjazd. Ale ona zarezerwowała już sobie trzymiesięczne wakacje za oceanem i uważała, że może zacząć zmieniać świat, a przynajmniej Szkocję, dopiero po powrocie. Życie, które sobie zaplanowała, miało być spokojne i stateczne. Chciała dać sobie jeszcze szansę na chwilę szaleństwa i zabawy. Niestety, zakochała się. W Stanach jej dyplom z prawa szkockiego był zupełnie bezużyteczny, więc zgłosiła się do udziału w programie wsparcia, który świadczył pomoc ofiarom i świadkom przestępstw, chronił ich prywatność i organizował konferencje sprawiedliwości naprawczej w całym kraju. Pierwszy rok w Portland był najszcześniejszym w jej życiu. Ona i Bernard spacerowali po parkach, chodzili do muzeów, jeździli tramwajem na targ, rozprawiali bez końca o aktualnej sytuacji na świecie, inspirując się wzajemnie wspólnymi wartościami i błyskotliwą inteligencją. Uczyła się w sypialni ich nowoczesnego mieszkania, z zatyczkami w uszach, podczas gdy on ćwiczył w salonie. Widząc go na scenie, często płakała. Na skrzypcach grał tak, jak ją kochał – szczerze i z pasją. Życie było niemal perfekcyjne.

Gdyby tylko instynkt macierzyński nie zaczął się dawać jej we znaki! Nie spodziewała się tego, nie w tak młodym wieku. Po prostu nagle zapragnęła mieć dziecko. Bernard był jedynakiem, wychowanym w komunie hippisów, a jego rodzice (Cherry i Budd) byli zbyt zajęci uprawianiem własnego ogródka i konsumowaniem własnej hodowli marihuany, aby nadawać się do roli dziadków. Gdy zdecydowali się na adopcję, Bernard ciężko przeżył odejście z orkiestry, ale rozumiał, że Ruth musi być teraz w domu, w Szkocji; że ich szanse na pozytywną decyzję wzrosną, jeśli wykażą, że mogą liczyć na wsparcie szerszej rodziny.

Bernard nie zdążył zostać pierwszym skrzypkiem. Po przeprowadzce dostał etat drugiego skrzypka w Orkiestrze Opery Szkockiej i zdobył złoty medal w Konkursie Skrzypcowym Glenfiddicha, ale potem ojcostwo przeważało nad podróżami i prestiżem, i postanowił zająć się nauką. Przez ostatnich osiemnaście lat prowadził lekcje w Królewskim Konserwatorium Szkocji i w dwóch prywatnych szkołach w Glasgow, z konsekwencją i entuzjazmem poświęcając resztę czasu swojej rodzinie. Przyjaciele i znajomi pewnie mu współczuli. Ruth często martwiła się, że ludzie mają rację, oceniając jego – i ją – w taki sposób. Ale kiedyś, gdy przeprosiła go za zrujnowanie mu kariery (co robiła regularnie od czasu powrotu do kraju), przytulił ją mocno i powiedział:

– To nie była twoja decyzja, Ruth, tylko nasza. Przestań przypisywać sobie wyłączne zasługi za

najlepsze wybory, jakich dokonujemy w życiu.

A gdy przepraszała, że niechcący odezwała się do niego sędziowskim tonem. („Nie będę tolerować takiego bałaganu w moim domu!”), co często jej się zdarzało, mówił:

– Podejrzewam, że większość perukarzy – tak nazywał sędziów – robi to cały czas, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, nie mówiąc już o przeprosinach.

– Naprawdę? – W jego potężnych ramionach Ruth czuła się cudownie mała i słaba. Żałowała, że nie może opowiedzieć innym, jaki jest w łóżku.

– No. Tak czy inaczej, to seksowne, gdy mówisz do mnie tak, jakbym złamał prawo. Chyba powinnaś mnie ukarać.

Bernard słuchał uważnie, gdy policjanci zadawali Lei pytania i notowali odpowiedzi, w przeciwieństwie do Ruth, która nieustannie im przerywała.

– Myśl, Lea! Przypomnij sobie! Wyobraź sobie, że trzymasz tego drinka. Myśl!

Co pewien czas Bernard kładł rękę na dłoni żony i gładził ją kciukiem, swoim sposobem dając jej znać, żeby oddychała i zachowała spokój. Tak jak osiemnaście lat temu, gdy „ta kretynka” rozwaliła im świat.

Lei nie udawało się w ogóle myśleć, a jej skołowany umysł nadal nie był w stanie sobie niczego przypomnieć. Ruth liczyła, że Millie i Natasha będą bardziej użyteczne, ale gdy tylko zjawily się w drzwiach, jej nadzieja wyparowała. Millie w ogóle nie pamiętała, że była w Coconut Lounge, a Natasha była zbyt zajęta szlochaniem i przepraszaniem, żeby powiedzieć coś sensownego. Ruth zawsze lubiła Natashę najbardziej spośród przyjaciółek Lei, co nie było trudne, bo wszystkie uważała za idiotki. Doceniała skruchę Natashy – ona przynajmniej zdawała sobie sprawę, że powinno być jej przykro.

Gdy policjanci skończyli przesłuchiwać dziewczyny, zadzwonił telefon. To był Woojin.

– Su napisała do mnie e-maila godzinę temu, ale dopiero teraz go zauważyłem – powiedział.

Przełącz rodzicom, że nic mi nie jest, napisała Su. Nie próbuj mnie odnaleźć. Pozbywam się tej skrzynki mailowej, skasowałam swoje konto na Facebooku, wyrzuciłam telefon, więc nie odpisuj. Chcę być sama. W pierwszej chwili Ruth ucieszyła się z tej wiadomości, ale jej radość nie trwała długo. Już wcześniej wiedziała, że Su żyje, bo przecież wypłaciła pieniądze jej kartą. A ten e-mail oznaczał tylko, że posterunkowy Campbell mógł zamknąć swoje prowizoryczne przesłuchanie słowami:

– Czyli nie zgłaszamy zaginięcia. Córka nie zaginęła. Kontaktowała się z wami i nie chce, żeby jej szukać.

Ruth musiała prawie go błagać, żeby przynajmniej ustalił miejsce, z którego Su wysłała e-maila.

– Zobaczę, co da się zrobić – ustąpił wreszcie.

– Proszę to ustalić jeszcze dzisiaj i zadzwonić do mnie na komórkę. – Ruth zapisała swój numer na kawałku papieru i wręczyła go mężczyźnie.

– Tak jak mówiłem, zobaczymy, co da się zrobić. – Campbell oddał karteczkę towarzyszącej mu młodej policjantce, która nie bardzo wiedziała, co ma z nią zrobić. – Spokojnie, pani Ruth. Jestem pewien, że nic jej nie będzie.

Do matki Su zaczynało docierać, że będzie musiała sobie poradzić z tą sytuacją sama. Nikt nie pomoże jej odnaleźć córki. Nikt nie powstrzyma Su przed zrobieniem sobie krzywdy, jeśli wstyd i rozpacz staną się dla niej nie do zniesienia. Nikomu nie zostaną postawione zarzuty, bo nie popełniono żadnego przestępstwa. Su wyraziła zgodę na kontakty seksualne, jak podkreślił Campbell, na dowód puszczając im wymianę zdań, jaka nastąpiła pomiędzy dziewczyną a „reżyserem” na początku filmu. *Chcesz darmowego Jägerbomba? Tak? Tak!*

– Ale ona jest pijana! Spójrzcie na nią. To nie jest świadome wyrażenie zgody.

– Proszę dać spokój, dobrze pani wie, że u siebie w sądzie obaliłaby pani taki argument w trzy sekundy. Proszę zobaczyć, w co ona jest ubrana, jak się zachowuje.

Ruth wiele by dała, żeby móc postawić teraz Campbella przy podeście dla świadków. Już ona znalazłaby sposób, żeby ukarać tego mizoginistycznego, aroganckiego i bezczelnego dupka za obrazę sądu. Zawsze uważała go za porządnego faceta, ale z tej perspektywy – z drugiej strony balustrady – był taki sam jak cała reszta.

– No a co z człowiekiem, który to nagrał i udostępnił, z ludźmi, którzy to oglądają?

– Miesiąc temu, gdy Su miała jeszcze siedemnaście lat, umieszczenie w sieci treści o charakterze seksualnym z jej udziałem byłoby nielegalne. Teraz, gdy jest już pełnoletnia, nie ma to znaczenia. Jeśli chodzi o osobę, która wgrała film do sieci w Magaluf albo internautów, którzy udostępniają go za granicą, obawiam się, że niewiele możemy zrobić. Zresztą nawet w Wielkiej Brytanii mamy związane ręce. Pani Ruth, proszę zrozumieć, to nie jest przestępstwo, ale nieszczęśliwy przypadek mimowolnej pornografii.

Na początku wizyty Campbell nie do końca wiedział, jak ma się zwracać do Ruth. „Dzień dobry, pani szeryf... pani Oliphant...”, plątał się, a ona niczego mu nie ułatwiała. Dla osób jego pokroju powinna być zawsze „panią szeryf” albo „wysokim sądem”. Niespełna godzinę później nazywanie jej „panią Ruth” zdawało się nie sprawiać już mężczyźnie problemu.

Policjant skinął głową na swoją młodziutką koleżankę, a ona zatrzasnęła przed sobą notes. Przesłuchanie dobiegło końca.

Minęło siedemnaście lat i jedenaście miesięcy od czasu, gdy „ta kretynka” zabrała im Su. Siedemnaście lat i jedenaście miesięcy od chwili, gdy Ruth ostatni raz czuła tego rodzaju wściekłość. Stała na podjeździe i patrzyła, jak policyjny samochód znika za rogiem ulicy. Patrzyła, jak Millie i Natasha ramię w ramię oddalają się w przeciwnym kierunku i rozplývają w ciemnościach. Po drugiej stronie ulicy pani Gray zaciągnęła zasłony w oknie dużego pokoju, opuszczając swój punkt obserwacyjny, a Frieda w domu po prawej zgasila światło w hallu. Przedstawienie dobiegło końca.

Tak jak wtedy, również teraz Ruth od razu przekuła wściekłość w działanie. Wbiegła do środka, zatraskując za sobą frontowe drzwi, i włączyła laptopa.

– Bernie, zarezerwuj taksówkę na lotnisko dla Lei, na czwartą trzydzieści. – Policjanci wyszli sześć minut temu, a z drukarki Ruth już wyskakiwała karta pokładowa. – Odlot o siódmej dziesiątej z Glasgow International.

– Powinienem lecieć razem z nią.

– Nie, musisz zostać tutaj i dalej raportować te strony. Musisz zrobić wszystko, żeby to paskudztwo zniknęło z sieci.

– To przynajmniej zawiozę ją na lotnisko.

– Nie możemy marnować czasu ani zasobów. Lea, idź na górę i spakuj najpotrzebniejsze rzeczy do podręcznej torby. Tu masz swój paszport. Nie zapomnij telefonu, ładowarki. Zadzwoń do operatora i przedłuż sobie roaming na kolejny tydzień. Musimy być w stałym kontakcie, bądź cały czas dostępna on-line. Prześlij mi też wszystkie swoje zdjęcia z wakacji, filmiki, które nagrywałaś, i poproś o to Millie i Natashę. Jeśli zawarłyście tam jakieś znajomości, jeśli macie tych ludzi na Facebooku albo macie ich telefony, prześlijcie mi na nich namiary. Tu masz moją kartę bankomatową. Na lotnisku wypłać trzysta euro, na miejscu weź, ile będziesz potrzebować. PIN to 3789.

Bernie objął Leę, która szlochała na sofie z paszportem w ręku.

Ruth sama wystukała numer korporacji taksówkarskiej i wręczyła mu telefon.

– Na czwartą trzydzieści. Przestań płakać, Lea, weź się w garść. Jaki jest mój PIN?

– Yyyy. 3...

– 3789, na miłość boską, powtórz.

– 3789.

– Powtórz jeszcze raz. Trzydzieści siedem osiemdziesiąt dziewięć.

– Trzydzieści siedem osiemdziesiąt dziewięć.

– Weź też kartę bankomatową Su, dasz jej, kiedy ją odnajdziesz. Znając ją, nie będzie chciała wydawać moich pieniędzy. A teraz marsz na górę. Pakuj się.

O siódmej trzydzieści Lea była już w drodze na Majorkę, a Bernie zdążył porozmawiać z Internet Watch Foundation, policją w Magaluf, YouTube, Googlem, Twitterem, Facebookiem i stu dwudziestoma innymi witrynami i blogami. Alerty Google'a z brzdękiem wpadały do jego skrzynki e-mailowej, co wraz z nastaniem dnia zdawało się nabierać tempa. *Ding, ding, ding.*

Żadne z nich nie spało. Ruth spędziła noc w sypialni, szperając w kodeksach, wynotowując podobne przypadki pornografii odwetowej i mimowolnej, i szukając sposobów na wymierzenie sprawiedliwości. Wniesienie pozwu byłoby możliwe, gdyby chodziło o rozpowszechnianie kompromitujących zdjęć byłego partnera bez jego zgody albo gdyby Su była niepełnoletnia (jeszcze miesiąc temu!), albo gdyby pojawił się wątek szantażu, groźby, molestowania, stalkingu lub nadużycia sieci telekomunikacyjnej. Niestety, posterunkowy Campbell miał rację, mówiąc, że żaden z tych przepisów nie dotyczył Su. W Anglii i Walii pracowano nad nowym prawem dotyczącym pornografii odwetowej, głównie pod naciskami osób publicznych, ale niestety nie zostało jeszcze uchwalone. Dyskutowano o nim także w parlamencie szkockim, ale finał był wciąż odległy. Poza tym to nie była pornografia odwetowa. To była „pornografia mimowolna”. Absurdalny termin, jakby chodziło o kichnięcie. Ruth zdała sobie sprawę, że jedynym sposobem na wygranie tej wojny byłoby zainicjowanie albo poparcie kampanii na rzecz zmian legislacyjnych – organizowanie spotkań, zbieranie podpisów, pisanie blogów i artykułów do gazet, udzielanie wywiadów w radiu i telewizji. Ale to wszystko podtrzymałoby cały skandal przy życiu, a ona dokładnie tego chciała uniknąć.

O piątej trzydzieści zaczęła oswajać się faktem, że nie zrobi nic. Zignoruje sprawę, poczeka, aż przycichnie. Całą swoją energię – i władzę sędziego – wykorzysta na odnalezienie Su i sprowadzenie jej do domu. Pomoże jej przycząć się na kilka tygodni. Ufarbować i obciąć włosy, kupić nowe ubrania i zmienić styl. Może nawet załatwi jej nowe nazwisko i zapisze ją do psychologa. Jeśli będzie trzeba, przeniesie ją do innego miasta, hrabstwa, kraju. Gdy Su wprowadzi się do akademika w zupełnie innym mieście, pełnym anonimowych twarzy, nikt nie będzie już jej w stanie rozpoznać i wszyscy dawno zapomną o całej aferze. Ruth obiecała sobie, że zachowa spokój i skoncentruje się na celu, aby nie pogarszać sytuacji córki.

Bernie nie ruszył się od kuchennego stołu od czasu rozmowy z policjantami. Ruth zrobiła zieloną herbatę i owsiankę i usiadła obok niego.

– Może powinieneś się przespać.

Bernard odsunął od siebie herbatę i pociągnął ostatni łyk mocnej, czarnej kawy, którą zaparzył sobie w półlitrowym dzbanku.

– Nie mogę przestać. – *Ding, ding, ding*, trzy nowe alerty. – Kopiuje i przeklejam swoją skargę, i wysyłam do kolejnych portali. Większość mnie olała, ale uważam, że warto to robić. Natrafiłem też na taką firmę w Stanach, nazywają się The Reputation Defender. Ich strategia polega na zalewaniu internetu pozytywnymi informacjami i zdjęciami poszkodowanej osoby, żeby wyprzeć te negatywne. Są strasznie drodzy, ale myślę, że możemy sami zrobić coś podobnego. Gregor przyjdzie później i pomoże mi założyć bloga, konto na Twitterze i tak dalej. Jakie Su może mieć hasło do Facebooka?

– A po co ci?

Ruth spojrzała na ekran laptopa. Ku jej przerażeniu Bernie próbował reaktywować konto Su na Facebooku. Na stole obok leżała długa lista sprawdzonych haseł, spisana na kawałku papieru. Jak zwykle metodyczny Bernard przerobił już imiona przyjaciół, hobby, ulubione filmy, książki i miejsca ich córki. Teraz wpisywał „Seul”.

– Przestań, Bernie! Ostatnia rzecz, jakiej Su by teraz chciała, to lansować się na Facebooku! Wpisał „Myengdong”, ale nie zadziałało. Dodał słowo do swojej listy.

– Bernard! Czy ty mnie słuchasz?

Wpisał „Myeng-dong”. Bingo! Konto Su pojawiło się na ekranie. Miała 743 powiadomień i 96 wiadomości.

– W tej chwili to zablokuj!

Żadnej reakcji. Usunął powiadomienia i wiadomości, a potem wgrał zdjęcie Su z rozdania nagród dla najwybitniejszych uczniów w szkole. Dodał podpis: „Patrzcie, co dostałam!”, ustawił post jako „publiczny” i otągował go imieniem córki.

– To zajmie trochę czasu, ale podziała. Zaufaj mi.

Ruth wręczyła mu łyżkę i podsunęła miskę owsianki.

– Bernie, kochanie, bycie niewidocznym nie polega na tym, żeby się reklamować.

– Wiem, co robię. – Udostępnił zdjęcie z nagrodą i zaczął przeszukiwać swój folder z filmami.

– Nie wiesz! Jak zwykle nie masz pojęcia! Umiesz tylko hodować warzywa w słoikach. Idź i zajmij się tym, ale zostaw komputer. Powiedziałam zostaw! – Zatrzasnęła przed nim laptopa, zanim zdążył wgrać filmik ze zwycięskiej debaty Su na temat kary śmierci. – Co się stało, to się nie odstanie, a my musimy być dyskretni i przez pewien czas ignorować tę burzę. Czytałam o tym całą noc. Nie możemy cofnąć tego, co się stało, i zgodnie z prawem nie możemy ukarać człowieka, który nagrał film, ani ludzi, którzy go oglądają i udostępniają. Ten film istnieje i już zawsze będzie istnieć.

Wzięła dzbanek po kawie ze stołu i wrzuciła go do zlewu.

– Muszę próbować.

– Ale nie masz pojęcia, co robisz! Usuń jej konto z Facebooka, powiedz Gregorowi, żeby nie przechodził, i na miłość boską – nie zakładaj bloga ani konta na Twitterze o naszej rodzinie! A teraz zjedz owsiankę i czuwaj przy telefonie.

Ruth wstała od stołu. Sama zdołała przełknąć tylko dwie łyżki.

– Jadę do pracy.

Gdy Ruth zapinała rower w piwnicy sądu, z furgonetki obok wysiadali więźniowie na poranne posiedzenie. Przez całą drogę do sądu lał deszcz i Ruth wyglądała na bardziej sponiewieraną niż oni. Zanim wzięła prysznic w służbowej łazience, sprawdziła telefon. Lea, Millie i Natasha przysłały jej zdjęcia i filmiki z wakacji oraz dane nowych „przyjaciół” poznanych w Magaluf. Przejrzyj je później. Teraz musi wysłać wiadomość do Lei.

1. Idź na policję w Magaluf i powiedz, że tata już się z nimi kontaktował. Sprawdź, czy zgłosili zaginięcie. Pokaż im zdjęcia Su, które wysyłam. Powiedz, że wypłaciła pieniądze przy MASTERCAJAS, ILLES BALEARS 7470. Powiedz, że pisała z tej okolicy – daj im jej komórkę i adres e-mail. Daj im też swoją komórkę i moje dane kontaktowe.

2. Przejdź się po wynajmowanych mieszkaniach w Magaluf i popytaj, czy ktoś jej nie widział. Zapisuj wszystko – nazwiska i dane kontaktowe osób, z którymi rozmawiasz, i wszystkie informacje od nich.

3. Idź do Coconut Lounge. Zdobądź nazwiska właściciela, naganiacza, pracowników, każdego, kto był w barze tamtej nocy. Zapytaj, czy mają kamery monitoringu, a jeśli tak, postaraj się zdobyć

nagrania.

4. **DOWIEDZ SIĘ, KTO NAGRAŁ FILM.**

5. *Jedź do Puerto Pollensa. Popytaj w sklepach itp., czy ktoś jej nie widział. Skup się na rejonie bankomatu, z którego brała pieniądze (adres powyżej).*

6. *Odpisz, jak tylko dostaniesz tego esemesa, żebym wiedziała, że go dostałaś. Wszystkie od razu mi przekazuj.*

Ubrana i wykąpana, Ruth udała się do swojego gabinetu. W korytarzu dwóch młodych prokuratorów śmiało się z czegoś, ale umilkli na jej widok. Młoda sekretarka, Anne, wykrztusiła wstydlive: „Dzień dobry”.

David Dunmore, wesoły szeryf lat pięćdziesiąt dziewięć, siedział przy jej biurku i czytał akta do porannego posiedzenia.

– Ruth, co ty tutaj robisz?

– Bardzo przepraszam, nie miałam czasu zadzwonić. Mogę dziś normalnie pracować. Dzień, jak co dzień. Bardzo przepraszam, że się fatygowałeś, dopilnuję, żeby ci to zrekompensowano.

Spojrzał na nią uważnie znad pozłaczanych okularów, wysoko unosząc brwi.

– Jesteś pewna?

– A dlaczego pytasz?

Dunmore zatrzasnął teczkę, którą czytał, i zgarnął z biurka gazety. (Anne zawsze szykowała dla niej na biurku poranną prasę). Wrzucił je do kosza na śmieci, dotknął ramienia Ruth, kiwając smutno głową, a potem wyszedł.

Od razu wydobyla gazety z kosza, chowając się za drzwiami, żeby uniknąć wzroku Anne. Przeczytała pierwszy nagłówek: „Córka sędziny w seksaferze”. Przeskanowała wzrokiem wszystkie trzy gazety, mając wrażenie, że niektóre słowa kłują ją prosto w oczy. *Bezwstydna. Wyuzdana. Shagaluf. Kompromitacja sędziny. Córka w ukryciu.*

„To nie pierwszy skandal z udziałem szeryf Ruth Oliphant”, donosił jej ulubiony dziennik. „Zaledwie miesiąc po adoptowaniu Su-Jin, sędzia pozostawiła niemowlę bez opieki i upiła się w pubie w Glasgow. Na skutek zaniedbania dziecko zostało jej odebrane i trafiło do ośrodka opiekuńczego. Przewodniczący Sądu Najwyższego musi teraz zadać sobie pytanie: czy ta kobieta jest w stanie budzić szacunek na sali sądowej? Osiemnastoletnia Su-Jin, której nie widziano od czasu, gdy zgodziła się na kontakty seksualne z kilkoma mężczyznami w zamian za darmowego drinka w Magaluf, ma za miesiąc rozpocząć studia medyczne. Również Uniwersytet w Edynburgu będzie musiał rozważyć: czy ta młoda kobieta jest w stanie godnie reprezentować swój przyszły zawód?”

Sekretarz sądu zapukał do drzwi. Ruth wrzuciła gazety z powrotem do kosza, włożyła perukę, chwyciła akta, z którymi nie zdążyła się zapoznać, i ruszyła do sali numer cztery.

Rozpatrzyła dwie sprawy o naruszenie zakazu oddalania się z miejsca zamieszkania, jedną kradzież sklepową i jedną niebezpieczną jazdę samochodem z takim samym spokojem i profesjonalizmem, jak zwykle. Dopiero sprawa przemocy domowej wytrąciła ją z równowagi. Obecnie niemal połowa wszystkich postępowań sądowych dotyczyła agresji w rodzinie, znacznie przewyższając statystyki bójek po meczach piłkarskich. Plaga przemocy wobec kobiet głęboko poruszała Ruth. Nie było woli politycznej ani odpowiednich środków, aby zająć się tym problemem, więc przez większość czasu zmuszona była wysłuchiwać bzdur, które rozwścieczały ją do żywego (prawnik X: „Ofiara też nie pozostawała oskarżonemu dłużna”. Psycholog Y: „Żona oskarżonego była w okresie menopauzy i nie wykazywała zainteresowania pożyciem”), a jedyne, co mogła zrobić, to wysłać skacowanych mężczyzn do więzienia,

żeby mogli tam pozłorzeczyć na swoją szurniętą starą.

Obrońcą był Srebrny Lis. Oskarżał jeden z młodych prokuratorów, którzy rano plotkowali w korytarzu. Oskarżonym był czterdziestodwuletni mieszkaniec Saltcoat. Miał jedno szklane oko i nie wydawał się odczuwać nawet cienia skruchy. Według aktu oskarżenia „uderzył Sarę Marie Johnstone w twarz, tak że upadła w tył na lodówkę, a następnie kilkakrotnie nadepnął jej stopą na rękę, łamiąc jej trzy palce”.

Ruth trudno było skoncentrować się na sprawie ze względu na wyraz twarzy oskarżonego. Przyglądał jej się sprawnym okiem, w którym nie było widać ani śladu strachu czy błagania. Gdy prokurator odczytywał zarzuty, przejrzała akta i dowiedziała się, że nie był to pierwszy raz, kiedy ten jednooki potwór skatował swoją żonę. Srebrny Lis wyjaśniał, że w dniu domniemanego zdarzenia oskarżony pił od godziny piętnastej, podobnie jak jego żona, siedząca dziś trzy rzędy dalej w sądzie. Przed rozprawą kobieta napisała list, w którym wyjaśniła, że to ona uderzyła męża pierwsza, że nie chce, żeby mu postawiono zarzuty, tylko żeby wrócił do domu, bo ona go kocha, bo jest dobrym ojcem i całym jej światem.

– Czy pił pan alkohol od czasu ostatniego incydentu w maju? – zapytała Ruth.

– Prawie wcale. – Bezczelne spojrzenie, wykrzywione do góry usta i brew uniesiona nad sztucznym okiem doprowadzały ją do szału, ale nic nie mogło przygotować jej na to, co powiedział potem: – Poza okazjonalnym Jägerbombem.

Patrząc wstecz, nie była już taka pewna, ale w tamtym momencie wydawało jej się, że cała sala zrozumiała. Usłyszała kaszlnięcia maskujące chichot. Jediną osobą, która wydawała się niewzruszona komentarzem oskarżonego, był Srebrny Lis, który próbował kontynuować:

–Wysoki sądzie, pan Cowey został skierowany na terapię alkoholową i...

Oskarżony usłyszał śmiech żony i obrócił się w jej stronę. Jej rozbawienie sprawiło mu widoczną przyjemność, bo również się roześmiał.

– Pana to śmieszy, panie Cowey?

Gdy mężczyzna znów odwrócił się przodem do ławy sędziowskiej, nie śmiał się już na głos, ale jego usta wciąż rozciągnięte były w uśmiechu.

– A czy pani uważa, że pani mąż, „pani cały świat”, jest zabawny?

Pani Cowey poczerwieniała i potrząsnęła przecząco głową.

– Nie będę tolerowała tak bezczelnego zachowania na sali! – powiedziała Ruth. – Panie Cowey, jest pan pozbawionym skrupułów, aroganckim i niebezpiecznym człowiekiem. Nie szanuje pan swojej żony i nie szanuje pan mnie. Nie przyznaje się pan do winy, więc zatrzymuję pana w areszcie do czasu rozprawy. Ponadto ze względu na pana dzisiejsze zachowanie nakładam na pana karę za obrazę sądu. Pani Williams, poproszę terminy.

Protokolantka, Lorna Williams, stuknęła w komputer, ustalając terminy rozpraw. Tymczasem pani Cowey pisała coś w swoim telefonie, nie zdając sobie sprawy, że ona również może mieć poważne problemy.

– Pani Williams, proszę odebrać telefon żonie oskarżonego i mi go podać – zwróciła się Ruth do protokolantki. – Pani Cowey, najwyraźniej nie oczekuje pani szacunku od męża i dlatego pewnie nigdy go pani nie uzyska. Chce pani pomóc człowiekowi, który ostatnio złamał pani trzy palce, w sierpniu podbił pani oko i złamał żebro, a w styczniu 2012 roku wysłał panią do szpitala, ponieważ była pani na mieście z dziewczynkami i nie odebrała pani telefonu, gdy dzwonił zapytać, gdzie są chipsy cebulowe. Z akt wynika, że mąż złamał pani żebro, w czasie gdy państwa ośmioletni syn Jimmy był w pokoju obok, zresztą zdaje się, że to właśnie on zadzwonił wtedy po karetkę? Dziś jesteśmy tu, bo powiadomiła pani policję o pobiciu, ale potem pogodziła się pani z mężem, zmieniła zdanie i wycofała zeznania. Marnuje pani nie tylko mój czas, ale też czas, środki i pieniądze całego systemu sprawiedliwości. A teraz się pani

śmieje, bo coś panią rozśmieszyło. Śmieje się pani i... – Ruth zerknęła na telefon pani Cowey, model Ri7, najnowszy i najdroższy na rynku. Zawsze zadziwiało ją, że ludzie żyjący z zasiłków są w stanie sprawić sobie najnowsze gadżety. – Zaktualizowała pani swój status na Facebooku, który brzmi: „OMG w sądzie jest matka dziwki z Maga. LOL!”.

Ruth od razu pożałowała, że przeczytała wpis na głos. Po sali przebiegła fala szmerów i szeptów.

– Pani Cowey, zapraszam panią do sądu jeszcze raz po południu, ponieważ również pani stawiam zarzut obrazy sądu. Żałuję tylko, że nie mogę umieścić pani w jednej celi z ukochanym.

Ruth trzęsa się ze złości, gdy poddenerwowana protokolantka wręczyła jej kartkę z rozpisanymi terminami rozpraw. Gdy odczytywała ją na głos, na sali panowała cisza. Jeden z policjantów odeskortował pana Coweya do schodów prowadzących do celi pod salą sądową. Gdy dotarli do pierwszego stopnia, mężczyzna odwrócił się w stronę żony:

– Kocham cię, Vera! Kocham cię, kurwa!

Pani Cowey zerwała się z miejsca.

– Ja też cię kocham, Eddie! Kurwa, jak ja cię kocham! – zawołała. – I Jimmy cię, kurwa, kocha! Jesteś, kurwa, zajebistym ojcem!

Pan Cowey uśmiechnął się do żony, a potem posłał Ruth szydercze spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „I myślisz, że to ja jestem dupkiem? Że to ja jestem złym rodzicem?”.

Gdy zniknął w czeluściach schodów, Ruth straciła panowanie nad sobą. Pamięta to jak przez mgłę, ale zdaje się, że wstała i krzyknęła, samej już nie wiedząc, czy woła do oskarżonego, czy do oskarżycieli i obrońców siedzących przed nią, czy do pani Cowey i kilkunastu widzów na sali. Wyraźnie zapamiętała tylko słowa, które wykrzyczała:

– NIE BĘDĘ, KURWA, TOLEROWAĆ AROGANCJI U SIEBIE W SĄDZIE!

Wypadła na korytarz i pobiegła do swojego gabinetu, a potem zatrzaskała za sobą drzwi.

Od razu wzięła się do roboty, przeczuwając, że za chwilę dostanie telefon z samej góry. Najpierw zadzwoniła do Campbella, ale nie była szczególnie zdziwiona słysząc, że nie podjął żadnych prób namierzenia Su. Zanim zdążył wyjaśnić, dlaczego nie miał na to czasu – i dlaczego prawdopodobnie nigdy go nie znajdzie – rozłączyła się. Poprosiła Anne, żeby odnalazła Srebrnego Lisa i wezwała go do jej gabinetu. Spakowała służbowego laptopa i służbową komórkę do swojej torby rowerowej. W służbowym notatniku zapisała kody dostępu do sądu i swojego gabinetu oraz hasła do zdalnego systemu informacji zainstalowanego na jej laptopie, na wypadek gdyby stres wymazał jej część pamięci. Następnie notatnik również schowała w torbie rowerowej.

Potem odebrała telefon, którego w głębi duszy spodziewała się, ale mimo wszystko miała nadzieję uniknąć.

– Szeryf Oliphant, dzwoni Przewodniczący Sądu Najwyższego, sędzia

Kelly. Przynajmniej Anne nie mówi do mnie po imieniu, pomyślała.

Thomas Dickson Kelly pełnił funkcję Przewodniczącego Sądu Najwyższego od trzech lat. Jako zwierzchnik systemu sprawiedliwości w Szkocji miał prawo ją zwolnić. Spotkała go tylko raz, podczas imprezy charytatywnej, ale wielokrotnie widywała jego zdjęcia w prasie. Nosił siwą treskę, w związku z czym przez złośliwych nazywany był „Tommym Dwie Peruki” (zwłaszcza gdy alkohol rozwiązywał im języki podczas wyjść do pubów, bali charytatywnych i służbowych kolacji).

– Dzień dobry, panie Przewodniczący.

– Jak się pani trzyma, Ruth?

Nie spodziewała się, że zrozumie ją człowiek, który uchodził za wyjątkowo surowego.

– W porządku. Nadal nie odnaleziono Su, ale wiem, że żyje, a to najważniejsze.

– To musi być ogromnie trudna sytuacja. Nie mogę sobie wyobrazić jak bardzo. Powinna pani wziąć

dłuższy urlop.

Ludzkie podejście nie trwało długo.

– Tak jak powiedziałam, nic mi nie jest.

– A ja powiedziałem, że wskazany byłby urlop. Nie może pani przewodniczyć rozprawom, gdy ludzie czytają o tym wszystkim w gazetach. Czuję, że dziś wypłynie to w głównych wiadomościach. Mieliśmy telefony.

– I co z tego? Ja nic nie zrobiłam.

– Dwa zarzuty o obrazę sądu i słowo na „k” na sali, a jest w pani w pracy dopiero trzy godziny.

Ciekawe, kto mu doniósł, pomyślała. Może poprosił protokolantkę, panią Williams, żeby trzymała rękę na pulsie? Wcześniej nie miała czasu zastanowić się nad swoim zachowaniem podczas rozprawy, ale teraz zaczęła je analizować. Zwykle takie analizy przeprowadzała błyskawicznie, w przeciągu sekundy, dwóch. Zgadza się, zachowała się nieprofesjonalnie i straciła nad sobą kontrolę. Nie powinna przyjmować postawy defensywnej.

– Uważam, że nałożenie kary było uzasadnione, ale jeśli straciłam panowanie nad sobą, przepraszam. Już się uspokoiliam...

– Do tego te zarzuty o zaniedbanie sprzed kilkunastu lat...

– Nie było zarzutów.

– Było dochodzenie, jest w pani aktach, prawda? Jest wiele elementów. Głównie chodzi o nagranie. Nie może pani rozdawać wyroków, gdy wszyscy panią oceniają. To nie podlega dyskusji.

– Zamierza pan zwołać trybunał?

– Wysyłam panią tylko na urlop.

Ruth wciąż miała na głowie perukę. Dotknęła jej, jakby chciała po raz ostatni poczuć związaną z nią władzę.

– Rozumiem. Pojadę do domu.

Odłożyła słuchawkę, powoli zsunęła perukę z głowy i wrzuciła ją do kosza razem z gazetami.

Mężczyzna imieniem Xano zrujnował życie jej córce, a teraz rujnował je także Ruth. „Reżyser filmowy z Wielkiej Brytanii” zniszczył wszystko, co kochała, i na co z takim trudem pracowała. Musiała go odnaleźć i dlatego ucieszyła się, gdy Srebrny Lis zastukał do jej drzwi. Był jedyną osobą, którą mogła teraz poprosić o pomoc.

Ruth wielokrotnie widziała, jak MacDonald wygrywa z góry stracone sprawy, docierając do faktów ukrytych tak głęboko, że zwykły człowiek nie byłby w stanie do nich dotrzeć. Miał wtyki wszędzie – w działach IT, na policji, w gangach, w Narodowym Funduszu Zdrowia i w mediach. W większości nie pochwałała jego metod, ale doceniała jego determinację, wyobraźnię, a także – w szczególności – jego prezencję. W realnym świecie Bernie zawsze wystarczał Ruth, ale w świecie jej fantazji MacDonald nieraz wziął ją na tym właśnie biurku, przy którym siedziała teraz.

– Witam, proszę usiąść. Potrzebuję pana pomocy i dobrze za nią zapłacę. Nie wiem, ile pan bierze za godzinę, ale może być pan pewien, że podwoję stawkę.

– Słucham. – Zdaje się, że dobili targu.

– Muszę ustalić, skąd moja córka wysłała e-maila do swojego przyjaciela, Woojina, wczoraj wieczorem. Przeferuję go panu. Może mi pan dać do siebie namiary – e-maila, komórkę i tak dalej? Tu mój numer telefonu. Jak tylko skończymy rozmowę, proszę przesłać mi swoje dane esemesem.

Srebrny Lis wręczył jej swoją wizytówkę, a potem przez chwilę wpatrywał się w kosz na śmieci, z którego wystawała sędziowska peruka.

– Wszystko u pani w porządku, pani szeryf?

– Ruth. Teraz po prostu Ruth.

– Wszystko u ciebie w porządku?

– Tak. Druga rzecz, której potrzebuję... – włączyła w telefonie filmik z Magaluf i zatrzymała go na samym początku, gdzie słyhać głos kamerzysty. – ...to znaleźć tego człowieka. Używa ksywki Xano. Sfilmował to i albo sam wgrał do sieci, albo kazał komuś to zrobić. Mówi ze szkockim akcentem. Zachodnia Szkocja, może Glasgow. Był w Coconut Lounge przedwczoraj w nocy. Prześle ci zdjęcia, które Lea i jej przyjaciółki zrobiły w Magaluf, i dane osób, które tam poznały. Nie miałam jeszcze okazji im się przyjrzeć, ale może ten facet jest wśród nich. To wszystko, co wiem.

MacDonald wpatrywał się w nieruchomy kadr.

– A kiedy już go znajdę?

– Cieszę się, że mówisz „kiedy”.

– Znajdę go. Ale co potem? Niestety nie złamał żadnego prawa.

Ruth zawahała się na chwilę. Tak naprawdę nie знаła jeszcze odpowiedzi na to pytanie.

– Wtedy porozmawiamy dalej.

Przed wyjściem z biura Ruth zadzwoniła do Woojina, prosząc, aby przeforwardował jej e-maila od Su. Następnie przesłała wiadomość wraz ze zdjęciami z wakacji i danymi znajomych dziewczynek MacDonaldowi. Ku jej przerażeniu, wśród znajomych Millie znalazł się Euan (nazwisko: Grier), jeden z dwunastu.

Starła się być nieco bardziej uprzejma dla Anne niż zwykle, wiedząc, że w którymś momencie może potrzebować jej pomocy – na przykład dostępu do biura lub informacji. Zdała sobie też sprawę, że sekretarka może być informatorem Tommy’ego Dwie Peruki. Nigdy nie miała czasu przyjrzeć się jej uważniej i zauważyć czegoś więcej prócz ciemnych włosów i błękitnych oczu. Teraz żałowała. Gdyby wcześniej postarała się nawiązać przyjazne stosunki z podwładnymi, być może teraz otaczaliby ją pełni współczucia sprzymierzeńcy zamiast uszczęśliwionych jej porażką obłudników.

– Po południu będę pracować z domu, Anne. Dziękuję ci za wszystko. Bardzo doceniam twoją pomoc.

Gdy otwierała zapięcie roweru, pan Cowey akurat wsiadał do więziennej furgonetki. Teraz już nie było mu do śmiechu, ale pewnie widział Ruth w lycrach.

Jadąc w mocnym słońcu, ze spuszczoną głową, czuła, że to gniew pedałuje za nią.

Usłyszała dzwonek telefonu i zatrzymała się przy budce z frytkami na molo.

– Tu Michael. Su napisała e-maila z kafejki internetowej w Barcelonie. Adres wyślę ci esemesem.

– Bardzo ci dziękuję. Proszę, wysyłaj mi codziennie, ile ci jestem winna, będę przelewać na bieżąco. Przepraszam, mam drugi telefon.

Gdy odebrała, od razu zsiadła z roweru, bo czuła, że ta rozmowa będzie wymagała od niej pełnej koncentracji. Dzwoniła Marilyn Davies, dziekan wydziału medycyny Uniwersytetu w Edynburgu.

– Pani Oliphant, to nie będzie łatwa rozmowa. Czy może pani rozmawiać?

Ruth położyła rower na piasku i usiadła obok.

– Tak, mogę.

W przeciwieństwie do telefonu Przewodniczącego Sądu Najwyższego, tej rozmowy nie spodziewała się w ogóle. Inaczej też zareagowała.

– Ale nie wiem, czy chcę... – wyznała słabym głosem bezsilnej, przerażonej matki.

– Proszę pani, postępowanie dyscyplinarne naszego uniwersytetu, o którym mowa w artykule 3 ogólnego regulaminu...

– Odczytuje mi pani treść przepisów?

– Przepraszam, wiem, że to trudne. Tak, czytam dokładną treść naszych procedur. Zgodnie z naszym

regulaminem zachowanie, które naraża reputację naszej uczelni poprzez powodowanie szkody na jej wizerunku, może prowadzić do podjęcia decyzji o wydaleniu...

– Ale moja córka nie popełniła żadnego przestępstwa! I czy ten regulamin nie dotyczy wyłącznie studentów, którzy zachowali się w sposób niewłaściwy na terenie kampusu?

– Zgodnie z regulaminem, jeśli naganne zachowanie nie jest sprzeczne z przepisami prawa ani nie stanowi istotnego naruszenia regulaminu ogólnego, uniwersytet może zastosować własne zasady i procedury dyscyplinarne.

– Czyli zasadniczo możecie robić ze studentami, co wam się podoba. Ale widzi pani, moja córka nie jest jeszcze waszą studentką.

– A ja próbuję powiedzieć, że niestety nigdy nią nie będzie. To bardzo nietypowa sytuacja i rozpatrzyliśmy ją bardzo szczegółowo. Postanowiliśmy wycofać ofertę złożoną pani córce, ponieważ jej zachowanie w niekorzystny sposób odbija się na naszej reputacji. I mamy prawo to zrobić. Bardzo mi przykro, ale studia pani córki na naszej uczelni są wykluczone. Pani Oliphant, jest pani tam jeszcze?

Ruth położyła sobie telefon przy ramieniu, żeby zagłuszyć swoje szlochanie. Nie chciała, żeby pani Merilyn Davies, dziekan jednej z najlepszych akademii medycznych na świecie, słyszała, jak płacze.

– Pani Oliphant? Jest tam pani jeszcze? Bardzo mi przykro, ale mamy reputację i zasady, i po prostu nie możemy...

Ruth bardzo chciała powiedzieć coś mądrego, ale jedyne, na co było ją stać, to:

– To nie fair... To jej życie, jej przyszłość, to nie fair!

– Napisałam do pani córki. Może się odwoływać, ale muszę od razu powiedzieć, że nie ma to większego sensu i powinna raczej wykorzystać swoją energię gdzie indziej. Przykro mi. Do widzenia, pani Oliphant. – Merilyn Davies czekała, aż Ruth się pożegna. – Teraz rozłączę się już, dobrze? Do widzenia!

Ruth podniosła rower i poprowadziła go w stronę plaży. Usiadła i patrzyła, jak drobne fale łaskoczą piasek. Tego ranka jechała do pracy przekonana, że problem można rozwiązać, przeczekując i ignorując go. Była pewna, że tę samą strategię obrała Su – postanowiła ukryć się gdzieś i poczekać, aż zainteresowanie filmikiem osłabnie. Tak bardzo były do siebie podobne: rozsądne, logiczne, ambitne i uparte. A teraz, przez ten film, obie zostały bez pracy i bez przyszłości.

Su postanowiła, że zostanie lekarzem w wieku trzech lat, gdy dostała od Mikołaja zestaw małego doktora. Przez kilka miesięcy niemal nie zdejmowała plastikowego stetoskopu z szyi. Dokądkolwiek szły – do kawiarni, przedszkola, w odwiedziny do dziadków albo na plac zabaw – wkładała słuchawki i osłuchiwała każdego, kto był w stanie wytrwać choć chwilę nieruchomo. Już wtedy była prześliczna – migdałowe oczy, pełne wargi, gęste, czarne rzęsy, których nigdy później nie musiała malować, i głębokie, ciemne oczy, które przyjaźnie i łagodnie patrzyły na świat. Nic dziwnego, że bez trudu znajdowała chętnych pacjentów do wspólnej zabawy. Patrząc, jak jej córka dorasta, Ruth nie mogła wyjść z podziwu. Wybrała ją przypadkowo, nie wiedząc, jaki wygląd, poziom inteligencji albo charakter ma zakodowany w genach. Gdy córka skończyła trzy lata, stało się oczywiste, że Bernard i Ruth wygrali na loterii złoty los.

„Odkasznij”, mówiła Su, a pacjenci posłusznie spełniali jej życzenie. „Jeszcze raz”, żądała, próbując przybrać poważny ton, który w rzeczywistości był tylko rozbrajająco słodki. Zapisywała coś esamifloresami w swoim notatniku, sprawdzała uszy plastikowym otoskopem, robiła zastrzyki miniaturową strzykawką, a po skończonym badaniu klepała pacjenta czule po ramieniu. „Proszę to brać trzy razy dziennie i nie wypluwać”. Albo: „Bardzo mi przykro, ale chyba ma pani raka włosów”. Niczym wytrawna bizneswoman żądała wygórowanej stawki za konsultację i targowała się tak długo, aż ją

dostała. Faktycznie, w późniejszych latach Ruth popchnęła ją w kierunku medycyny. Zachęcała do oglądania medycznych filmów dokumentalnych i czytania książek z wątkiem szpitala w tle, dla dzieci i dorosłych, fikcję i literaturę faktu. Ruth nie uważała za konieczne ograniczać lektur Su do bajek odpowiednich dla jej wieku lub o tematyce dostosowanej dla dzieci. Często rozmawiała z nią o biologii i lekach, używając fachowego języka, tak aby Su mogła się oswoić z problematyką i terminologią dziedziny. To ona też zasugerowała jej profil przyrodniczy, gdy wybierała specjalizację w trzeciej klasie, w końcu który ambitny uczeń wolałby zajęcia teatralne od chemii? W czwartej klasie załatwiła jej praktyki w Southern General w Glasgow. W piątej zatrudniła kilku korepetytorów, którzy pomogli jej zdobyć najwyższe oceny konieczne przy aplikowaniu do Edynburga. Tuż przed egzaminami końcowymi w szkole średniej córka przyznała, że zastanawia się nad ogólnymi studiami przyrodniczymi zamiast medycyny, ale rozmawiały o tym i wspólnie doszły do wniosku, że Su po prostu denerwuje się, czy się dostanie. Nie miała powodów w to wątpić. Pięć najwyższych ocen A, wygrany konkurs biologiczny, matematyczny, fizyczny i chemiczny, tytuł najwybitniejszego ucznia szkoły i warunkowa oferta studiów na Uniwersytecie w Edynburgu, uzależniona od wyników końcowych. Gdy z wszystkich egzaminów na poziomie rozszerzonym dostała kolejne cztery A, miejsce na medycynie miała gwarantowane.

I co teraz? Zwykle studia przyrodnicze w jednym z brzydkich, nowoczesnych college'ów w Glasgow? Nie. Nie, nie, nie. Su chciała być lekarzem. Miała studiować na najlepszej akademii medycznej w kraju. Ma być lekarzem.

Choć zarówno policja, jak i Bernie zgłosili naruszenie, filmik nie zniknął z YouTube'a. Oglądając go kolejny raz, Ruth zauważyła, że córka wykonuje czynności spokojnie, cierpliwie i metodycznie. Przez chwilę miała wrażenie, że ogląda domowe nagranie trzyletniej Su z plastikowym stetoskopem. Odkasznij. I jeszcze raz.

Sto sześćdziesiąt siedem tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt sześć odsłon. Ruth ustawiła maksymalną głośność i puściła nagranie jeszcze raz. Widział to Przewodniczący Sądu Najwyższego. Anne Rinaldi. Srebrny Lis. Marilyn Davies. Całe audytorium profesorów z Edynburga. Sprzedawca frytek z budki na molo. Widzieli to wszyscy.

„Chcesz darmowego Jägerbomba?”, pyta kamerzysta. To zachodnio-szkocki akcent, upewniła się Ruth. „Tak!”, pada deklaracja Su. A więc wyraziła zgodę na udział w zabawie. „Pieprzona suka”, sarka Xano, wskazując palcem na klęczącą Su. Jego lewa dłoń jest przez moment widoczna na ekranie. „Dziwka. Ssij, kurwo. Weź go całego, brudna szmato”.

Przy ostatnim słowie kamerzysta pokazuje na Su i kawałek jego lewej dłoni znów pojawia się w kadrze. Ruth nie zauważyła wcześniej, że mężczyzna ma na nadgarstku czerwoną, materiałową bransoletkę, a na środkowym palcu pierścień, który wygląda jak czarna, gładka obrączka.

Seans przerwał jej esemes od MacDonalda. *Su wysłała e-maila wczoraj o 19.30 z kafejki internetowej pod nazwą „Easyeverything”, przy La Rambla 31, Barcelona. Możesz zadzwonić? Albo przyjechać? Dziś pracuję z domu.*

Zanim Ruth odpowiedziała na wiadomość, zadzwoniła do Lei.

– Cześć mamó, dlaczego nie... Czekać, źle cię słyszę! Wyjdę na zewnątrz. – W tle słychać było głośną muzykę, która stopniowo cichła. – Odebrałaś moje esemesy? Byłam... Mamó? Halo? Mam kiepski zasięg, napiszę esemesa.

W swojej komórce Ruth miała ustawione różne rodzaje powiadomień dla różnych osób. Dla Berniego – fragment serenady G-dur Mozarta. Dla Su – dźwięk starodawnego telefonu. Powiadomienia od Lei wyciszyła po obraźliwym esemesie trzy lata temu („spierdalaj, wysoki sądzie”). Ku swojemu przerażeniu odkryła, że zapomniała to zmienić. Gdy spojrzała teraz do skrzynki, odkryła kilka wiadomości od Lei,

która spędziła czas bardzo pracowicie.

Godzina 11.00: *Rozmawiałam z policjantem w Maga (nazwisko: Barco). Powiedział, że tata dzwonił już cztery razy. Powtórzył mi to, co powiedział tacie: Su kontaktowała się z nami, nie zaginęła. Obiecał pogadać z właścicielem baru, ale uważa, że nie złamano żadnego prawa. Tata ma jego namiary. Kazał przekazać tacie, żeby nie dzwonił, on sam się skontaktuje. Mało pomocny.*

Godzina 12.30: *Nikt nie pamięta, jak wychodziła z mieszkania.*

Godzina 14.10 (minutę temu): *W Coconut Lounge. Barman mówi, że mają monitoring. Właściciel to dupek, pracownicy go nienawidzą. Nie martw się, zdobędę taśmę.*

Ruth oddzwoniła do córki, ale nie mogła się połączyć – może wyładowała się jej bateria. Zmieniła odgłos powiadomień z cichego na dźwięk alarmu.

Potem napisała do McDonalda: *Podaj mi swój adres.*

Dom McDonalda był taki, jak jego właściciel: starodawny urok, nowoczesne wykończenie. Żony o pospolitym wyglądzie Ruth się nie spodziewała. Może dwadzieścia lat temu była ładna, pomyślała, podążając śladem okazałych nóg Kelly Marie McDonald do gabinetu jej męża.

– Proszę dać znać, gdyby chciała pani kawy albo coś do picia – powiedziała żona i wyszła, nim Ruth zdolała złożyć zamówienie.

– To zdjęcie zrobiła Millie w Coconut Lounge tamtego wieczoru.

Jak zawsze, McDonald przeszedł od razu do rzeczy. Jego pies, brązowo-biały terier imieniem Nigel, leżał zwinięty w kłębek u jego stóp.

– Spójrz na to.

Ruth stanęła za ramieniem prawnika i spojrzała na ekran komputera. McDonald powiększył obraz, robiąc zbliżenie na tułów jakiejś dziewczyny. Jej biały top wypełnił niemal cały kadr.

– Kto to jest?

– Nie chodzi o nią. Patrz.

Przesunął kursor na dłoń i kawałek męskiej ręki opartej na ramieniu dziewczyny. Mężczyzna miał na sobie białą koszulę z długim rękawem, której mankiety wywinął aż do łokci. Na jego nadgarstku widoczna była cienka, czerwona bransoletka, a na środkowym palcu czarny pierścień.

– To on. Wiemy więc, że miał na sobie czarny pierścień, czerwoną sznurkową bransoletkę i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Na filmie pierścień wygląda jak zwykła obrączka, czarna, widzisz? Ale na zdjęciu...

McDonald jeszcze raz kliknął na zdjęcie Millie, na którym pierścień był widoczny nieco z boku. Widać było na nim wyraźne wybrzuszenie.

– Czy to pierścień w kształcie kuli bilardowej? – Ruth zadrżała na tę myśl. Czy Xano mógł być tym samym człowiekiem, którego w zeszłym roku wysłała do więzienia? Właścicielem koszul marki Louis Vuitton, który podpalił labradora swojej partnerki? Bilardzistą?

„Dostanę cię za to, suko”, straszył ją z sądowej celi, po tym jak skazała go na osiemnaście miesięcy pozbawienia wolności. „Miej się na baczności”.

– Wtedy nie miał chyba czerwonej bransoletki, pamiętasz? Ale w sądzie miał pewnie opuszczone mankiety albo bransoletkę kupił niedawno. Chociaż on nie byłby w stanie zrobić sobie nawet zupy z proszku, a co dopiero zaplanować taką intrygę. Możesz jeszcze powiększyć obraz? Czy na tym pierścieniu jest ósemka?

– To najlepsze ujęcie, jakie udało mi się zrobić. Nie widać, czy na pierścieniu jest białe koło z numerem w środku. Zgadzam się, nie sądzę, żeby to był Jim Docherty ani w ogóle ktoś, kogo znasz. Jak można byłoby coś takiego zaplanować? Może któraś z dziewczyn albo ktoś z baru będzie pamiętał tego

mężczyznę. Warto popytać.

Na wszelki wypadek Ruth poprosiła MacDonalda, żeby sprawdził, czy Bilardzista przebywa aktualnie na wolności, a jeśli tak, to gdzie mieszka. Jadąc do domu, wyobraziła sobie Jima Docherty'ego, mordercę psów, pałającego żądzą zemsty i planującego „pornografię odwetową” z udziałem córki sędzi, która wsadziła go za kratki. Wyobraziła sobie, jak jedzie za dziewczynkami do Magaluf i czeka na idealny moment. To była naciągana teoria, ale równie naciągana wydawała się Ruth wersja „mimowolnej” pornografii.

8.

Facet przy komputerze obok mnie ma brodę i przegląda recenzje na TripAdvisorze, pilnie notując. Jego kolano cały czas podskakuje, trzęsąc całą ławką, co okropnie działa mi na nerwy. Wysyłam e-maila do Woojina, żeby w domu nie martwili się, czy żyję, i żeby zostawili mnie w spokoju.

Czy mogę wpaść i poukrywać się razem z tobą?, pyta w odpowiedzi. *Nikommu nie powiem. Jestem doskonałym uciekinierem.*

Woojin jest przede wszystkim świetnym przyjacielem. Zawsze mogłam na niego liczyć, zwłaszcza odkąd Lea obróciła się przeciwko mnie. Ufam mu. Ale na tę chwilę nie jestem gotowa się z nikim widzieć. *Dzięki, Woo, ale chcę być sama. J.*

Wchodzę na YouTube'a, żeby sprawdzić aktualny zasięg swojej sławy. Siedemdziesiąt trzy tysiące dwieście jeden. Brodacze słyszy, jak wzdycham ciężko, i zerka w moją stronę. Zamykam YouTube'a, żeby nie zdążył zobaczyć ekranu. Umieram z głodu, więc ruszam spacerem wzdłuż La Bocqueria. Otacza mnie tyle dźwięków – samochody, rozmowy, ptaki – ale moje uszy wyłapują teraz wyłącznie odgłosy urządzeń. Mija mnie mężczyzna, któremu pika telefon. Przy stole w kawiarni siedzi kobieta z tabletem, który głośno byczy. Facet przy stoisku z owocami ma w kieszeni smartfon, który robi ciche „ding”. Masz nową wiadomość. Jim udostępnił filmik. Zostałeś oznaczony w poście. Barcelona rozbrzmiewa dźwiękami internetowych powiadomień, a każdy z nich jest kolejną kroplą w morzu mojego wstydu. Ding – skąd dochodzi ten dźwięk? Ding – do czyjej skrzynki tym razem trafiłam? Słyszę tylko to i zaczynam wariować. Te dźwięki mówią do mnie. Jesteś obrzydliwa, Su. Odrażająca. Kupuję pomarańcze, banany i papierową torebkę pełną pieczonych batatów i wracam do hotelu, żeby przed tym uciec. Gdy zbliżam się do wejścia, widzę brodacza z kafejki internetowej, który również kieruje się do środka. Dostrzega mnie, przytrzymuje mi drzwi. Ma przy sobie torbę McDonalda na wynos.

– To wygląda smacznie – mówi, wskazując na moje zakupy. Jestem zaskoczona, że nie mówi z amerykańskim akcentem: broda i buty Doc Martin nie składają się w spójną całość.

– A to nie – odpowiadam. Nienawidzę McDonalda. Nie mogę uwierzyć, że w Maga jadałam tam codziennie z Leą i spółką. Nie szukam znajomości, więc nie kontynuuję rozmowy i idę na górę.

Bataty są niebiańskie, pomarańcze dokładnie tym, czego mi trzeba, ale obrany banan w moim ręku jest niczym hipnoterapeuta, który wydobywa ze mnie wyparte wspomnienia. Wpatruję się w niego i nie jestem w stanie ugryźć ani kęsa. Penis, zwłaszcza zwiotczały, jest czymś okropnie brzydkim. Wzięcie go do ust wydaje mi się czymś bezsensownym. Tak jakbym była pojemnikiem, wazonem. Włóż i wyjmij, włóż i wyjmij. Gdzie w tym jakakolwiek przyjemność dla wazonu? Wpatruję się w banana i nagle powraca do mnie urywek wspomnienia. Z całą wyrazistością przypominam sobie penisa jednego z mężczyzn. Był długi, cienki i na wpół twardy, a ja odczułam ulgę, bo był to pierwszy mężczyzna, który przejawiał jakąkolwiek reakcję na to, co robię, i poczułam się odrobinę mniej nieatrakcyjna i bezużyteczna niż dotąd. Pamiętam, że poczułam też dziwny rodzaj ciężkości między nogami, gdy zdałam sobie sprawę, że oddziałuję na tego faceta. Uważał, że jestem seksowna, więc ja też uwierzyłam, że jestem seksowna, i stałam się seksowna. Najwyraźniej nagrodą dla wazonu jest sprawianie przyjemności. Przyjemnością jest sprawiać przyjemność. Uczucie ciężkości wraca do mnie, ale wcale mi się to nie podoba.

Uderzam się trzy razy dłonią w czoło, a potem wgrzynam się w banana, jakbym chciała go zamordować.

Potem wybiegam do łazienki i wypluwam wspomnienie, razem z owocem, do ubikacji. Gdy

wychodzę ponownie na korytarz, przed moim pokojem stoi brodacz i puka do drzwi.

– Tutaj jesteś! Zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty pójść do kina. Za trzydzieści minut grają niedaleko stąd hiszpański horror. Podobno jest to najgorszy film grozy w historii kinematografii.

– To niby po co miałabym go oglądać?

– Żeby stąd wyjść. Pomóc mi napisać kolejny rozdział mojej książki.

O kurczę, pisze książkę. Pewnie później poprosi mnie, żebym przeczytała kawałek, a skończy się na tym, że będę musiała przeczytać całość, podczas gdy on będzie obserwował mój wyraz twarzy.

– Przestraszyłem cię. Tak tylko sobie pomyślałem. Ja jestem sam, ona jest sama, nie wygląda na wariatkę, i powiedziałem sobie: dlaczego by nie zapytać?

Unoszę wysoko brwi. Słodki.

– Jesteś wariatką? – pyta.

Układam sobie w głowie odpowiedź. Zawsze tak robię. Mama mówi, że ogromnie to we mnie lubi.

– Zwykle nie.

– Czyli jak, wariatka w czterdziestu procentach? Trzydziestu? Dziesięciu? Poproszę dokładne dane. Ja tu ryzykuję.

W pierwszym odruchu chcę powiedzieć „pięć”, bo brzmi to lepiej i fajniej niż prawda, ale po raz pierwszy od lat albo w ogóle w swoim życiu nie mam ochoty mówić czegoś, co się spodoba albo zaimponuje innym. Wyjmuję telefon, otwieram kalkulator i wstukuję obliczenia, jednocześnie mówiąc na głos:

– Żyję od 18 lat i 30 dni, czyli 365 razy 18 dodać 30 daje 6600 dni życia Su. Wariatką byłam przez jeden z tych dni.

Brodacz uśmiecha się. Chyba spodobała mu się moja osobowość.

– To znaczy, że jestem wariatką w 0,15%.

Śmieje się.

– Kurde blaszka, potrzebujesz trochę poprawić sobie statystyki, dziewczyno imieniem Su. Chodź, film zaczyna się o dwudziestej pierwszej. Ale swojego imienia ci nie zdradzę. Nigdy go nie poznasz.

Ma rację co do filmu: jest zły, ale nie kultowo zły. Na początku oprócz nas w kinie siedziało jeszcze pięć osób, ale wszystkie poddały się po godzinie. Ja i Brodacz – postanowiłam użyć tej ksywki na głos, gdy kupowaliśmy suchy, słodzony popcorn – zostaliśmy do końca, wyśmiewając każdą scenę niczym para nadętych bufonów.

W małym barze nieopodal piliśmy sangrię, rzekomo najgorszy drink w Barcelonie, przy czym akurat w tym lokalu serwowali jego najgorszą wersję, jakiej Brodacz kiedykolwiek próbował. Powiedział, że pisze książkę podróżniczą. Termin na oddanie „Najgorszych rzeczy, jakie można zrobić w najlepszych miastach świata” upływa dziewiątego września.

– Zakładam, że to jest najgorszy bar w Barcelonie?

– Spróbuj skorzystać z męskiej toalety, to zobaczysz.

– Najgorszy hotel, film, bar, drink. Czy ja jestem najgorszą towarzyszką?

– Jak dotąd. Ale jest jeszcze siedem osób, z którymi się nie umówiłem.

– Jakie mają tu najgorsze jedzenie?

– McDonald's. Redaktor będzie się czepiał, ale to chyba najgorsze żarcie w każdym mieście świata, co nie? Co mogłoby być gorszego?

– Czy ja wiem. Smażona tarantula?

– Same naturalne składniki. Pewnie chrupka. Smażona, więc podobna do frytek, kto wie, może z nikłym

aromatem kurczaka. Brzmi zjadliwie.

– No i które miasta opisałeś do tej pory?

Wymienia pięć. Byłam tylko w dwóch z nich: w Barcelonie (żeby się ukryć) i w Paryżu (Disney World w wieku lat ośmiu. Lea i ja chodziłyśmy razem na każdą karuzelę i spałyśmy w jednym łóżku w naszym własnym pokoju w Hotel Beausejour w Montmartre. Mama i tata mieszkali w pokoju obok, ale czułyśmy się takie dorosłe. Wyglupiałyśmy się całą noc, a potem Lea zwymiotowała, bo zjadła cały ser brie).

– Tylko duże miasta, żadnych miasteczek?

– To byłby niezły sequel! Dzięki za pomysł, podsunę go jutro ludziom z wydawnictwa.

– Jeśli na to pójdą, to znam najgorszy bar w Magaluf.

– No co ty?

– I najgorszą osobę.

Po trzech szklankach sangria nie wydaje się już taka okropna, ale z całą pewnością nie jestem całkiem trzeźwa.

– To był ten jeden dzień, twoje 0,15%?

Musiałam jakoś się zdradzić, że tak od razu zgadł. A może ma zmysł telepatii. Kiwam głową i zamawiam kolejnego drinka.

– Kiedy to było?

– Wczoraj. Ale wydaje się, jakby minęła wieczność.

– Daj spokój, nie mogło być tak źle.

– Było.

– Nie wierzę ci.

Biorę jego telefon ze stołu i daję mu do ręki.

– Wejdź na YouTube'a i wpisz Magaluf.

Czuję dziwną moc, patrząc, jak Brodacz ogląda mnie w telefonie. Jego twarz nie zdradza nic, gdy słucha, jak bełkoczę: „Jestem Su Oliphant-Brotheridge z Doon!”

– Nie chcę tego oglądać. – Najwidoczniej doszedł do kluczowego momentu. Wyłączył filmik i schował telefon do kieszeni. – Cholera, Su!

– Du-pa.

Uśmiecha się, ale nie wydaje się rozbawiony.

– Sorry, jeśli każdy cię o to pyta, ale co zamierzasz teraz zrobić? I co tutaj robisz?

– Czekam.

– Na co?

Odpowiedź na to pytanie znałam kilka godzin temu. Moje zęby pewnie są poczerwieniałe od sangrii. Za dużo piję. Zastanawiam się, czy już przez resztę życia będę piła za dużo. Może alkoholizm mam w genach, po matce, która mogła być zbyt pijana, żeby jechać do sierocińca samochodem, więc poszła pieszo, albo pojechała samochodem mimo wszystko, bo była nieodpowiedzialną alkoholiczką.

– Zrobisz coś dla mnie? Jeśli nie chcesz tego oglądać, zakryj ekran ręką, ale sprawdź liczbę odsłon. Wcześniej, w kafejce, było około 73.

– No, to chyba nie tak źle?

Auc. Nie dodał trzech zer na końcu. Pochyliłam się i wyciągam mu telefon z kieszeni džinsów. Jak na mnie jest to ogromna poufałość. Brodacz włącza telefon, otwiera YouTube'a, zasłania górą część ekranu dłonią, a potem jego szczęka powoli opada, a wzrok unosi się, aż napotyka moje spojrzenie. Nie jest dobrze.

– Ponad 100 tysięcy?

– 121 i pół.

Unoszę szklankę i przybijam mu toast.

– No więc widzisz. Najgorsza osoba w Magaluf, kto wie, może najgorsza osoba w Europie, przynajmniej w tym tygodniu.

– Boisz się wracać do domu?

– Po części tak. Im będzie lepiej beze mnie. W ogóle byłoby im lepiej beze mnie. Byliby dużo szczęśliwsi, tylko we trójkę.

Jestem intruzem. Nigdy nikomu tego nie mówiłam, a jeśli samej zdarzyło mi się to pomyśleć, szybko wyrzucałam z głowy tę myśl. Ale gdyby rodzice nie przygarnęli mnie, Lea nie musiałaby się wstydzić adoptowanej siostry, azjatyckiego kujona, który zawsze chodził za nią, uczepiony jej, krok w krok. Tata nie musiałby męczyć się rolą rozjemcy w popaprzanych relacjach między trzema kobietami w naszej rodzinie. Mama nie musiałaby się zdręzczać, że ja czuję, że do nich nie pasuję. A ja nie byłabym wykończona udawaniem, że tak nie jest.

– Pewnie okropnie się z tym czujesz.

– Cały dzień próbuję się przed tym schować, zaszyć się gdzieś. Nie, to nie są właściwe słowa, nie oddają agonii, którą przeżywam. Zaczęłam się uderzać po głowie. Jeszcze przedwczoraj nie wyobrażałam sobie, że to możliwe. Więc tak, chyba dość okropnie się z tym czuję.

– Ale było to podniecające, co?

– Widziałeś film. Jak mogłoby mnie to podniecić?

To nie kłamstwo. Przecież coś takiego nie mogło być podniecające. (Czy coś jest ze mną nie tak?)

Brodacz uśmiecha się, a ja zdaję sobie sprawę, że zachowuje się bardzo uprzejmie, zważywszy na to, co przed chwilą widział.

– Bo to było niegrzeczne, a ja mam wrażenie, że masz w sobie dużo seksu.

– Nieprawda. Jestem dziewczicą. Zagryza wargę.

– Nie powinnaś tego rozpowiadać.

– Ach, udostępniam zbyt wiele szczegółów, co za zaskoczenie. Ale skoro wszyscy inni udostępniają mnie, to może i ja mogę co nieco udostępnić.

– Nie musisz o tym mówić.

Jest miły i przystojny. Jego uśmiech sprawia, że czuję się piękna. Może gdybym poznała go wczoraj wieczorem, to on by mnie obudził dziś rano. Gdybyśmy spotkali się na basenie albo w McDonaldzie, albo na ulicy przed klubem, albo w barze z pluszową ścianą, albo w tym z bańkami – może wszystko potoczyłoby się inaczej. Może gdybym spotkała go w Coconut Lounge przed swoim wielkim debiutem, poprosiłby mnie do tańca, pocałował i zapytał, czy pójdę z nim na spacer na plażę.

A potem inna myśl – czy gdyby był wczoraj w barze, rozpiąłby spodnie, tak jak pozostali? Czy większość facetów by to zrobiła? Wszyscy?

– Ale chcę mówić. O ile ci to nie przeszkadza.

– Nie przeszkadza, jeśli tego właśnie chcesz – mówi po chwili zastanowienia.

– Miałam, nazwijmy to, chłopaka, ale kiedy się całowaliśmy, nie sprawiało mi to szczególnej przyjemności. Miał dość małą głowę, a moim zdaniem czaszka mężczyzny powinna być większa od czaszki kobiety.

Brodacz zarządza przerwę na pomiary naszych głów. Ma większą.

– Tamtej nocy planowałam stracić dziewictwo. To była moja misja. Myślę, że ten plan w połączeniu z alkoholem sprawił, że coś we mnie pękło i przeobraziło mnie w gwiazdę porno. Kusi mnie, żeby powiedzieć, że to było zupełnie nie w moim stylu, i zanim się to stało, byłaby to prawda. Ale teraz zaczynam się zastanawiać, kim właściwie byłam przedtem, i czy to właśnie ta dziewczyna z filmu

przypadkiem nie była prawdziwą mną.

Brodacz wydaje się żywo zainteresowany tym, co mówię, ale ja nagle czuję się zmęczona i znudzona sama sobą.

– Wracajmy do hotelu, okej? Jestem zmęczona. I nie martw się, nie będzie krępujących chwil podczas pożegnania w korytarzu. Nie chcę cię pocałować ani się z tobą przespać. A jeśli rano okaże się, że wyjechałeś do Monako, Marakeszu albo Madrytu, nie będę bardziej zawstydzona ani wściekła na siebie bardziej niż teraz. Prawdę mówiąc...

Nagle przechyla się przez stolik i całuje mnie. Gdy przestaje, odsuwa się tylko trochę i nadal trzyma dłonie na mojej szyi, a ja czuję się ogromnie skrępowana.

– Prawdę mówiąc, na twoim miejscu zwiewałabym, gdzie pieprz rośnie – kończę.

– Przystaniesz wreszcie mówić?

– Powinieneś uciekać w te pędy!

– Wiem o tobie coś, czego jeszcze mi nie powiedziałaś.

– Co?

– Jedyne sposoby, żeby ci zamknąć usta, to cię pocałować.

Jego pocałunek sprawia mi przyjemność – zastanawiam się, czy to kwestia odpowiedniej wielkości głowy – ale nie wywołuje znanego już uczucia ciężkości.

Jestem pewna, że nie mam ochoty się z nim przespać, ale zastanawiam się, jak inaczej powinnam zakończyć wieczór, gdy staniemy pod drzwiami mojego pokoju. Lubię Brodacza. Mam wrażenie, jakby był jedyną osobą na całym świecie, która mnie zna. I niepotrzebnie się martwię. Jest dżentelmenem i w korytarzu całuje mnie w policzek.

– Byłaś najgorszą z najgorszych towarzyszek w Barcelonie. Moje gratulacje. I z uśmiechem idzie do swojego pokoju.

Przez dłuższą chwilę leżę w łóżku, nasłuchując kroków, na zmianę martwiąc się, że zapuka do moich drzwi, i drżąc, że tego nie robi. W mojej wyobraźni rozgrywają się różne sceny. Brodacz porywa mnie z Coconut Lounge, zanim ktoś nawet wspomni o Jägerbombie. Brodacz trzyma mnie za rękę, gdy spacerujemy boso po plaży. Brodacz rozpina rozporek jako następny w kolejce. Uderzam się ręką w czoło. Nie, tylko nie to! Brodacz boso na plaży. Kroków nie słysząc, a gdy się budzę, jest już jasno. Nareszcie udało mi się zasnąć.

Wcale nie spędzam całego dnia na szukaniu Brodacza. Wcale nie idę pod prysznic wcześniej rano i wcale co godzinę, pod byle pretekstem nie wychodzę na korytarz w nadziei, że spotkam go na korytarzu. To nie z jego powodu trzy razy zaglądam do hallu głównego i wystawiam głowę przez frontowe drzwi, godzinami obserwuję z okna przechodniów na ulicy albo idę do MacDonalda, gdzie powoli wypijam dwie kawy, czując, jak sztywnieje mi kark od ukradkowego przyglądania się wchodzącym i wychodzącym gościom. O piętnastej trzydzieści nie idę do kafejki internetowej, żeby sprawdzić, czy on tam jest, i nie wychodzę od razu, gdy widzę, że go tam nie ma, puszczając się biegiem do hotelu, bo jego nagła nieobecność zaczyna budzić we mnie panikę i wściekłość, i jeszcze większe poczucie wstydu niż wczoraj.

Cały dzień spędzam na szukaniu Brodacza. Wyparował. Carlos, starszy, który prowadzi hotel, mówi, że Brodacz wymeldował się dziś o piątej rano.

– O piątej! Obudził mnie, żeby się rozliczyć. Śpieszył się na jakiś pociąg czy samolot.

– Jaki? Dokąd?

Carlos spogląda się na mnie podejrzliwie, jakbym była zwariowaną stalkerką, przed którą zwiewają faceci.

Mój pokój wydaje mi się cieplejszy niż wczoraj, ma też inny zapach, może dlatego, że krążę po nim spocona od dłuższego czasu. Jest duszno. Odkąd dowiedziałam się, że Brodacz wyjechał, zdałam sobie sprawę, że żaden mężczyzna – nawet brzydki, głupi – nie będzie chciał mnie porwać, wziąć mnie za rękę, być ze mną. Jestem zakazaną Su.

Idę na targ, jem kilka łyżek sałatki na ławce w parku i obserwuję urlopowiczów na wakacjach, które wolałabym mieć zamiast tych, które miałam. Nogi same niosą mnie do kafejki internetowej. Wpisuję „Magaluf” w pasek Google’a i w opcjach wyszukiwania wybieram „ostatnie 24 godziny”. Goszczę na niezliczonej liczbie stron pornograficznych. W gazetach i czasopismach, blogach, profilach Facebooka, Twittera i Ello, i całej masie portali społecznościowych, o których istnieniu nie miałam dotąd pojęcia. W sieci pojawiło się też moje zdjęcie i jeszcze jedno nagranie, ale jest słabej jakości i niewiele można się w nim dopatrzyć, a zdjęcie przedstawia tył mojej głowy. Jestem w kafejce od dwudziestu minut, a już zsumowanie wszystkich odsłon staje się niemożliwe. Poddaję się i zamiast tego zaczynam przeglądać artykuły prasowe. W większości powtarzają te same informacje, ale Mail Online zdobył świeżego newsa: „Uniwersytet w Edynburgu wycofał ofertę studiów medycznych złożoną Su Oliphant-Brotheridge, podało dziś anonimowe źródło”.

Czyli nie będę studiować w Edynburgu. Odrzuciłam oferty z Aberdeen, Dundee, Glasgow i St. Andrews, ale teraz pewnie tam też by mnie nie chcieli. Nie będę studiować medycyny. Nie będę lekarzem. Marzyłam o tym, odkąd skończyłam trzy lata. Mama opowiada, że właśnie wtedy zaczęłam się bawić w robienie operacji i nie mówiłam o niczym innym. Poświęciłam się dla tej idei. Chciałam tego i nie wyobrażałam sobie niczego innego.

Czy aby na pewno?

Od zawsze marzyłam, żeby zostać lekarzem. Doktor Oliphant-Brotheridge. Nareszcie moje przydługie nazwisko wydawałoby się adekwatne i imponujące. Potem specjalizacja z chirurgii. Specjalista chirurg Oliphant-Brotheridge („Nie pozwalaj nazywać się panną ani panią”, powiedziała mi kiedyś mama. „Mężczyźni zawsze są po prostu doktorami. Dlaczego kobiety miałyby zdradzać swój stan cywilny?”).

Marzyłam, żeby znaleźć lekarstwo na raka piersi albo demencję. Czy aby na pewno?

Marzyłam o Nagrodzie Nobla.

„Dostaniesz Nobla, zobaczysz!”, powiedziała kiedyś mama, zresztą powtarzała to później jeszcze kilka razy. „Stać cię na to i na pewno ci się to uda. Dlaczego miałoby się nie udać właśnie tobie?”

Czytam artykuł jeszcze raz i uświadamiam sobie, że nie czuję nic. Nie wiem czemu. Moje marzenia zostały obrócone w pył, moja przyszłość została zniszczona, a ja myślę tylko o Brodaczu. Odświeżam wyniki wyszukiwania w Google’u i widzę najnowsze doniesienie „The Herald”: „Biuro Przewodniczącego Sądu Najwyższego potwierdziło dziś, że szeryf Ruth Oliphant została poproszona o wzięcie dłuższego urlopu”. Czy „urlop” jest tu eufemizmem? Czy zniszczyłam jej karierę? Ta myśl przyprawia mnie o mdłości. Jestem w stanie znieść utratę własnej reputacji i przyszłości, ale nie jej, nie taty, nie Lei. Dopiero co przyjął do wiadomości, że jestem intruzem w ich życiu, ale prawda jest znacznie gorsza. Jestem niszczycielem. Czyja to wina? Chciałabym wskazać kogoś palcem, ale nie wiem kogo. Rodzoną matkę, która mnie porzuciła? Leę, która mnie nienawidziła i gnębiła? Szkołę, która dawała mi odczuć, że jestem inna? A może taka się urodziłam? Może położna powiedziała do mojej biologicznej matki tuż po porodzie: „Gratulacje, urodziła pani zdrową dziwkę!”.

Bzdura, to wszystko wina Xano.

Kręci mi się w głowie. Czuję, jakbym miała zemdleć. Powinnam opuścić głowę, pozwolić, żeby krew napłynęła mi do mózgu. Ale nie jestem w stanie oderwać oczu od ekranu. Znow odświeżam wyniki wyszukiwania.

Jest komentarz Jamesa w lokalnej gazecie. „Nie znam jej zbyt dobrze. Spotkaliśmy się podczas szkolnej debaty”.

„Guardian” cytuje właściciela baru: „Do niczego jej nie zmuszałem. Dlaczego miałbym przepraszać?”. Hasztag #shagaluf robi furorę na Twitterze.

Jeśli wpiszesz w Google’u słowo „dziwka”, pojawiają się na samej górze wyniki. Naprawdę nie wiem, dlaczego wolno mówić albo pisać w internecie słowo „dziwka”. Myślałam, że jest jednym z tych zakazanych, jak „chińszczyzna”. To pokazuje, pod jak grubym kloszem dotąd żyłam, chroniona przez feministyczną matkę i nowoczesnego ojca. A tu proszę – dziwka, dziwka, dziwka. Ludzie mają wrażenie, że to właściwe pojęcie, nazywają to „potępieniem dziwki” (ten hasztag też zyskuje na popularności w Szkocji). Tak jakbym stała na drewnianym podeście pośrodku miejskiego placu. Moje głowa i ręce są przymocowane do pręgierza. A ludzie rzucają we mnie tweetami.

Sporadycznie pojawiają się głosy współczucia: „Dlaczego to niby ona jest dziwką? A co z tymi facetami?”, ale giną w morzu postów pełnych nienawiści.

Powinam przestać, wrócić do hotelu. Odświeżam, przeglądam pierwszą, drugą, trzecią stronę z wynikami. Coś mnie do tego zmusza.

Widzę zdjęcie portretowe dziennikarza, który ma twarz Brodacza. Wygląda na nim tak poważnie. Okazuje się, że oprócz pisania książek podróżniczych sprzedaje również artykuły do gazet. Jego najnowsze dzieło, udostępnione dwie godziny temu, jest o mnie.

Do niedawna byłam spokojną, opanowaną Su. Ukrywałam się w tanim hotelu, czekając, aż burza minie. Miałam życie, do którego zamierzałam wrócić. Powinam była zrozumieć to wcześniej, ale dopiero teraz mnie oświeciło.

Nie mam już życia. Skończyło się.

Przeobraziłam się w gwiazdę porno, mówi dziewczyna, która znalazła się na sekstaśmie z Magaluf. Podobnie jak reszta internautów, Brodacz nie ma problemu z używaniem słowa dziwka. Głównie ma te same fakty, co wszyscy, choć dodaje też kilka nowych, łakomych kąsków: moje dziewictwo i fakt, że próbowałam je stracić. „Su przyznała się, że od czasu incydentu ma skłonność do samookaleczania się.

Mojej rodzinie jest bez mnie lepiej. Zawsze byłoby im bez mnie lepiej, wyznała”. Ale ze mnie idiotka.

W artykule Brodacza (naprawdę nazywa się Donald Brayshner. Donald. Też bym wolała nie zdradzać takiego imienia) jest zdjęcie i adres Pension Paula. Wybiegam z kafejki, żeby zabrać swoje rzeczy z hotelu, ale już z daleka widzę, że jest za późno. Jakiś mężczyzna robi zdjęcie szyldu nad frontowymi drzwiami, a hall wejściowy jest po brzegi wypełniony ludźmi.

Wychodząc na miasto, miałam w kieszeni dwadzieścia euro. Po kupieniu sałatki i sesji w kafejce zostało mi siedem euro i osemdziesiąt centów. Przez chwilę rozważam wszystkie za i przeciw, i stwierdzam, że nie mogę wrócić do hotelu. Pozbawiłam mamę kariery i marzenia o posiadaniu córki-noblistki.

Fotograf przed wejściem zauważa mnie i mam wrażenie, że idzie za mną. Zaczynam biec ulicą, skręcam na rynek i mijam go zygzakiem tak szybko, jak tylko pozwala mi na to tłum.

– Sorry... Sorry – mówię, potrącając sprzedawców i stragany. – Sorry.

Biegnę od dawna i pewnie mogłabym już przestać, ale docieram do plaży, gdzie przede mną rozciąga się pusta przestrzeń. Przyśpieszam i czuję, że mogę biec jeszcze, więc biegnę, nie zwalniając ani odrobinę.

9.

Ruth próbowała nie patrzeć na kufel z piwem w ręku mężczyzny, ale trudno było jej się przed tym powstrzymać. Żeby plan zadziałał w stu procentach, facet musiał opróżnić go do dna, a na razie był dopiero w połowie. Co gorsza, zaczął łowić wzrokiem dużo młodszy dekolt. Nadal siedział obok niej, ale plecami oparł się o bar i gapił na dziewczynę, która twerkowała zawzięcie na parkiecie. Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Ubrana była w wycięte, džinsowe szorty, spod których wystawały krągłe, pokryte cellulitem pośladki. Ruth ze wszystkich sił starała się ponownie zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, szukając w pamięci sztuczek z czasów studiów, gdy była stałą bywalczynią pubów w Glasgow. Chociaż wtedy rzadko musiała uciekać się do podstępu albo wyzywającego tańca. Jeśli miała ochotę zabrać kogoś do swojego mieszkania w Hillhead, po prostu podchodziła, badała grunt, aż miała pewność, że facet (a w jednym przypadku także kobieta) nie był psychopatą albo – co gorsza – idiotą, albo – co byłoby najgorsze – romantykiem szukającym stałego związku. Jeśli test wypadł pozytywnie, pozwalała odprowadzić się do domu.

Dziś ta metoda raczej nie zadziała.

Bernarda też nie planowała upolować na dłużej. W Yosemite wybrali się na wędrowkę tym samym szlakiem. Po dwóch dniach prześcigania się w początkowo uprzejmych, a stopniowo coraz bardziej elokwentnych zaczepkach, przez ostatnich pięć dni wędrowali razem. Oboje planowali przejść szlak w pojedynkę, żeby rozkoszować się przestrzenią, spokojem i ciszą, a finalnie przegadali całą trasę. Bernie nie był psychopatą ani idiotą, ani romantykiem szukającym stałego związku. Zabawne. Na to wspomnienie mocno wytuszone oczy Ruth wypełniły się łzami.

Może powinna coś upuścić i schylić się przed nim, demonstrując własne (dużo ładniejsze, bez śladu cellulitu) pośladki? Nie, ten potwór widział już i tak za dużo.

– Dlaczego nie poprosisz jej do tańca? – pytanie przyniosło pożądany efekt. Mężczyzna odwrócił się w stronę jej i stojącego na barze kufła.

– E, dziwka.

Resztę piwa wypił jednym haustem. Ruth starała się nie uśmiechać. Etap pierwszy za nią. Czy naprawdę nadal jej nie poznawał? Za chwilę owinie jego ramię wokół siebie i powie mu, że wychodzą. Będzie musiał oprzeć się o nią, żeby utrzymać równowagę, i nie będzie w stanie jej odmówić.

Maksymalnie minuta. Położyła dłoń na jego dłoni i w myślach odliczała sekundy, delikatnie głaszcząc czarny sygnet na jego środkowym palcu. 57, 56, 55, 54, 53, 52...

Yosemite, pomyślała, tym razem nie martwiąc się, czy łzy rozmażą jej makijaż. Po raz pierwszy trzymałam Berniego za rękę w Yosemite. 45, 44, 43... A ostatni raz... Kiedy ostatni raz trzymała go za rękę? Nie mogła sobie przypomnieć. Czy było to, zanim ten człowiek spotkał ich córkę w tym barze? Miała nadzieję, że nie, że nie zaniedbywała go aż tak długo. Ona i Bernie lubili trzymać się za ręce. Lea zawsze wstydziła się, gdy robili to w miejscach publicznych.

33, 32, 31...

– Jak zdefiniowałbyś dziwkę? – zapytała. Jego oczy były teraz bardziej załzawione niż jej, ale nie z tego samego powodu. Udzielenie odpowiedzi zajęło mu dłuższą chwilę. Zdążyła odliczyć od 23 do 16.

– Dzwinka... ona... – nie był w stanie dokończyć i opadł bezwładnie na barowy stół.

– 10, 9, 8. – Ruth poczuła się na tyle pewnie, że zaczęła liczyć na głos.

Musiała trzymać Berniego za rękę po tym, jak zrobiono filmik w tym barze. Musi sobie przypomnieć! Czy to było po telefonie Marilyn Barnes z Edynburga? Pojechała wtedy rowerem do Srebrnego Lisa, potem do domu, przypięła rower w garażu i weszła do środka, żeby zabrać kluczyki do auta.

– Trzy, dwa, jeden. – Ruth owinęła sobie ramię mężczyzny wokół szyi, tak jak planowała. – Teraz zabiorę cię do domu – powiedziała.

Mężczyzna był w stanie stanąć na nogi, choć z trudem, nie był jednak w stanie trzeźwo myśleć ani stawiać oporu. Ruth pomogła mu przewlec się przez parkiet do wyjścia. Nie wyglądał na bardziej pijanego niż większość gości baru, więc nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wytoczyli się na ciepłe powietrze głównej ulicy Magaluf. Jej złość nie zmaląła, choć obawiała się tego. Przeciwnie, z każdym ociężałym krokiem wzrastała jeszcze bardziej. Otworzyła tylne drzwi samochodu i wepchnęła mężczyznę do środka. A potem przypomniała sobie.

Byli u siebie w sypialni. Zastąpiła Bernarda szlochającego i zwiniętego w kłębek na podłodze. Usiadła obok niego i wzięła go za rękę. Wyrwał się jej. Po raz pierwszy w życiu nie uścisnął jej dłoni i nie pogładził jej kciukiem. Ale na moment dotknęła go.

Tak, to był ostatni raz, gdy trzymała Berniego za rękę.

*

Ruth śpieszyła się i była podirytowana, że nie może znaleźć kluczyków do auta. Jeszcze zanim dotarła do domu, MacDonald wysłał jej esemesa z adresem Jima Docherty'ego w Glasgow. *Na wolności od 6 tyg*, napisał. Zaproponowała, żeby spotkali się tam za godzinę. *Dlaczego? Ustaliliśmy, że to raczej nie on*, zdziwił się. *Proces eliminacji*, wyjaśniła.

Jak na razie był to jedyny trop, jaki miała, choć w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że jest to raczej wątpliwa teoria niż prawdziwa poszlaka. Ale nierozsądne byłoby całkowicie ją zignorować, zanim zbadają kolejne wątki.

Kluczyki nie wisały na haczyku w przedsionku, tam gdzie powinny.

– Bernie?

Dlaczego Bernie i Lea nie potrafili dostosować się do prostych wytycznych? Kluczyki mają wisieć na haczyku, powtarzała im obojgu i każdemu z osobna przynajmniej dwadzieścia razy dziennie. Nie było ich na haczyku ani w kurtce Berniego, ani na wieszaku Su, ani na jego wieszaku. Ruth i Su zawsze odwieszają kluczyki na miejsce. Chaotyczne i bezmyślne zwyczaje męża i biologicznej córki zawsze doprowadzały ją do szału, a dziś w szczególności.

– Bernardzie, gdzie jesteś?

Z góry doszły ją jakieś odgłosy, a gdy zbliżyła się do drzwi sypialni, zrozumiała, że to płacz. Bernie nie miał typowo męskich oporów przed ronieniem łez. Płakał, gdy odczytywał treść swojej przysięgi małżeńskiej; gdy po raz pierwszy zobaczył Su i gdy im ją zabrano; gdy urodziła się Lea; gdy usłyszeli, że Su do nich wróci i gdy wreszcie wróciła; gdy zmarł ojciec Ruth; i gdy razem z Leą oglądał łzawe melodramaty w rodzaju „Pamiętnika”. Ruth zwykle doceniała, że jej mąż potrafi dać wyraz swoim emocjom, ale nie dziś. Ich córka zaginęła, nawet jeśli hiszpańska i brytyjska policja twierdziła co innego, a całe ich życie rozpadło się na kawałki. Mieli zbyt dużo do zrobienia, żeby marnować czas i energię na płacz. Powiedziałyby mu właśnie to, swoim sędziowskim tonem, gdyby po otwarciu drzwi nie zastała go zwiniętego na podłodze w pozycji prenatalnej, z telefonem w ręku, rozpaczliwie szlochającego. Usiadła obok niego na dywanie i położyła dłoń na jego dłoni.

– Kochanie, wszystko w porządku?

Wyrwał dłoń i zerwał się na nogi tak gwałtownie, że aż się przestraszyła.

– Oczywiście, że nie!

– Co się stało? Co się dzieje?

– Su uciekła z hotelu w Barcelonie bez pieniędzy, bez paszportu, bez karty bankomatowej, bez telefonu i bez ubrań na zmianę... – Otworzył telefon i zaczął czytać. – Powiedziała jakiemuś facetowi, że od tamtego zdarzenia ma skłonność do samookaleczenia się i że rodzina byłaby szczęśliwsza bez niej.

– Co? O czym ty mówisz?

– Jakiś skurwiel zabrał ją na drinka, a ona się przed nim otworzyła, i teraz naprawdę zaginęła i może mieć myśli samobójcze. W dodatku właśnie rozmawiałam z Leą, która na twoją prośbę dopuściła się kradzieży...

– Myślisz, że może rozważyć samobójstwo?

– Nie wiem. Nie, nie sądzę, żeby kiedykolwiek... Czy słyszałaś, co powiedziałem? O Lei? Wysłałaś siedemnastolatkę samą do Hiszpanii i kazałaś jej popełnić przestępstwo!

– Złapali ją?

– Nie o to chodzi. Chodzi o to, że mamy dwie córki, a ty jak zwykle myślisz tylko o jednej!

Ruth odetchnęła głośno. Tę rozmowę przerabiali już wiele razy i nie miała ochoty robić tego ponownie teraz. Zwykle Bernie podchodził do tematu naokoło. „Nie sądzisz, że jesteś dla Lei nieco zbyt surowa, kochanie? Może spędzisz z nią trochę czasu sam na sam. Idźcie razem na zakupy wybrać sukienkę na bal maturalny”. Ruth nie była pozbawiona samokrytyki. Wiedziała, że jest niecierpliwa wobec Lei, że mówiąc do niej często z góry przybiera ton dezaprobaty. Za każdym razem, gdy Bernard robił uwagi na temat jej stosunku do młodszej córki, starała się go słuchać. Miał dobre intencje, uzasadnione obawy i skuteczne rozwiązania, choć poprawa była przeważnie chwilowa. W maju zabrała Leę na zakupy, tak jak doradził jej mąż. Udało jej się nawet ukryć irytację, gdy córka wybrała buty na niebotycznych obcasach pod obcisłą sukienkę dobraną specjalnie pod torebkę w stylu vintage upolowaną w second-handzie. Gdy po zakupach wróciły do domu, Lea przeobraziła ich przedpokój w prawdziwy wybieg mody. Zapaliła świece, naląła rodzicom po kieliszku szampana, a Su wodę mineralną, puściła swoją łomoczącą muzykę na cały regulator, żeby wkurzyć sąsiadkę obok, i zaprezentowała się w swojej kreacji z większą dumą i tupetem niż Naomi Campbell. W tamtej chwili wyglądała tak zniewalająco, że jej matka obiecała sobie, że postara się spędzać z nią jak najwięcej czasu.

Niestety, godzinę później, gdy Ruth wyszła na zewnątrz, żeby wrzucić butelkę po szampanie do pojemnika na szkło, przyłapała Leę na paleniu. Siedziała w ogrodzie na huśtawce zrobionej z opony.

– Palisz?! Czy to... – Ruth pociągnęła nosem. – Marihuana!

Spojrzała na płot sąsiedniego ogrodu, czy nikt jej nie słyszał albo nie zwęszył zapachu trawki.

– Zgaś to i chodź do środka. Słyszysz mnie? Gaś i chodź do środka! Lea ani drgnęła.

– Rób, co mówię!

Dziewczyna odepchnęła się nogą od ziemi i rozbijała huśtawkę, bezczelnie trzymając jointa w ręku.

– Jesteś uziemiona! Nie idziesz na bal!

Lea wbiła nogi w ziemię i zaciągnęła się głęboko. Przytrzymując dym w płucach, powtórzyła prześmiewczo:

– Jesteś uziemiona! Nie idziesz na bal! – Puściła huśtawkę i w powietrzu odchyliła głowę, wypuściła dym i roześmiała się głośno.

Lea potrafiła odurzyć swoim urokiem, ale jak każda substancja odurzająca działała przelotnie, a przez większość czasu była źródłem solidnego kaca.

Ruth uznała, że uwaga Bernarda była niepotrzebna i mało pomocna.

– To chyba oczywiste, że martwię się o Su. Słuchaj, zatrudniłam prawnika – MacDonalda, tego z „Piratów z Penzance”, pamiętasz? Mamy kilka pomysłów na zidentyfikowanie faceta, który nagrał to wszystko. Żadnych konkretów, ale...

– Przestań! Daj mi skończyć! Lea właśnie namówiła barmana z tego klubu, żeby pomógł jej ukraść stertę taśm. To cię nie martwi?

– Nie wiem, Bernardzie. Lista moich zmartwień jest teraz naprawdę zbyt długa.

*

Gdy światła Magaluf zostały daleko z tyłu, Ruth próbowała przypomnieć sobie ostatnią rzecz, jaką Bernie do niej powiedział. Czy to było wtedy, gdy zaczęli się kłócić w sypialni? „Tu nie chodzi o ciebie!” albo: „Dlaczego zawsze zachowujesz się tak, jakby nie liczył się nikt poza tobą?”. Albo: „Zrzuć choć raz togę i zacznij myśleć jak matka! Matka dwóch córek!”. Albo: „Dlaczego nie przyznasz, że bardziej starasz się kochać Su, bo miłość do niej przychodzi ci z większym trudem?”.

Po tym ostatnim zarzucie Ruth nie była w stanie spojrzeć mężowi prosto w oczy. Obróciła się, opierając dłońmi o komodę.

– Jak możesz tak mówić. – Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, a potem dokończyła: – Jak możesz prosić mnie, żebym coś takiego przyznała?

Nie, to też nie była ostatnia rzecz, którą powiedział. Ruth pamiętała, jak biegnie za nim na dół, a on krzyczy:

– Będę pił tyle kawy, ile zechcę, i kiedy zechcę!

A potem znów wbiegają na górę, bo Bernard postanowił się spakować.

– Lecę do Barcelony po Su. Ty lecisz do Magaluf. Po Leę. Pakuj się. Możemy złapać ten sam lot do Puerto Pollensa.

Planowanie nigdy nie było domeną jej męża, ale ten plan był wyjątkowo kiepski.

– Lea jest w Magaluf i raczej nic jej nie grozi, a Su jest rozsądna i na tyle wysportowana, żeby poradzić sobie z ucieczką. Jestem skłonna przyznać, że nie powinnam była wysłać Lei samej ani zasugerować, że powinna coś ukraść – nigdy jej tego nie kazałam – ale może powinienesz był mi to wcześniej powiedzieć? Jeśli chcesz do niej dołączyć i pomóc jej w szukaniu Su, to w porządku, możesz lecieć.

– Nie prosiłem cię o pozwolenie. Prosiłem, żebyś pomyślała o obydwu swoich córkach.

– A co, twoim zdaniem, robię?

– Właśnie nie wiem. Dziś rano poszłaś do pracy. Po kiego licha to zrobiłaś? Potem zatrudniłaś prawnika, bo liczy się tylko znalezienie winnego, któremu będziesz mogła pogrozić swoim młoteczkim. A dziś rano nawet nie chciałaś słuchać moich pomysłów na rozwiązanie sytuacji.

– Których pomysłów, Bernardzie? Że Su powinna teraz ucinać sobie pogawędki na Facebooku?

– To już zaczyna przynosić efekty! Poprosiłem o pomoc Gregora i Val, i robią to za darmo, w przeciwieństwie do twojego przystojnego obrońcy. Nasi przyjaciele chcą nam pomóc, a my ich pomocy potrzebujemy. To jedyny sposób, żeby nasze życie mogło wrócić do normy.

– O co dokładnie poprosiłeś Gregora i Val?

– Gregor zaczął pisać bloga. Val obstawia Facebooka, Twittera i inne portale społecznościowe. Publikują banalne, zabawne posty. To działa. Jeśli wpiszesz teraz imię Su do wyszukiwarki, na pierwszej stronie wyświetla się informacja, że wygrała szkolną debatę. Na kolejnych stronach tych pozytywnych informacji jest jeszcze więcej. Ludzie zaczęli też udostępniać sobie taki filmik, na którym gram

dziewczynkom na skrzypcach. Nagraliśmy go, gdy były jeszcze całkiem małe – pamiętasz, jakie były rozkoszne, zaśmiewając się do łez? O nagrodzie dla najwybitniejszego ucznia szkoły jest na trzeciej stronie i tak dalej. Wszędzie pojawia się też moje ogłoszenie prywatnych lekcji skrzypiec, bo w każdym poście otagowaliśmy nasze imiona. Jeśli się postaramy, rozrzedzimy tę truciznę.

– Zabroniłam ci tego robić.

Ruth była wściekła. Nie chciała, żeby Gregor, z którym Bernie zaprzyjaźnił się w szkolnej szatni, gdy dziewczynki poszły do pierwszej klasy, pisał artykuły o jej rodzinie. Uważała, że jest mdły i bezmyślny. Zawsze dzwonił do Berniego w porze kolacji i przez pół godziny rozprawił o ostatnim posiedzeniu partii Zielonych albo o sposobach na zwiększenie internetowej sprzedaży kijów do golfa, którą prowadził we własnym garażu, żeby tylko wykręcić się od pomagania żonie w karmieniu ich czterech niesfornych synów. Jeśli zaś chodzi o Val, która pracowała w sekretariacie Konserwatorium, Ruth zawsze uważała, że Bernie wpadł jej w oko. Trzydziestoczterolatka, chronicznie samotna, rumieniła się i jąkała w jego obecności, jakby był samym Beethovenem, i nigdy nie patrzyła jego żonie prosto w oczy. Ruth śmiała się z tego zauroczenia, ale potajemnie poprzysięgła sobie trzymać Val na dystans.

– Zabroniłam, zabroniłam! Zawsze tak robisz, gdy jesteś zestresowana. Traktujesz mnie jak sądowego protokolanta. Jestem twoim partnerem oraz ojcem i Lei, i Su. Ja nie podejmuję pochopnych decyzji ze strachu.

– Nie mówisz chyba o barze Saskia's? Wreszcie zdobyłeś się na szczerłość, po wszystkich tych latach?

– W przeszłości Ruth wielokrotnie pytała Berniego, czy wini ją za to, co się stało – że poszła do baru, napiła się, zostawiając Su na ulicy – ale on zawsze pocieszał ją, mówiąc: „Nie kochanie. Oczywiście, że nie”. Być może odpowiadał tak tylko dlatego, że widział, jak bardzo jest roztrzęsiona i udręczona poczuciem winy. – To okrutne. Dlaczego jesteś dla mnie okrutny?

– Nie chciałem, przepraszam. Nie chcę cię się z tobą kłócić. Po prostu nie uważam, że powinnaś podejmować teraz wszystkie decyzje samodzielnie. Chcę, żebyś mi zaufała.

– Wiesz co, Bernardzie, to może podejmij samodzielną decyzję? Zostań w USA. Bądź skrzypkiem koncertowym. Nie miej dzieci. Pozwól, żeby Su dorastała w sierocińcu. No dalej, spróbuj. Czekam. Chcę zobaczyć, jak po raz pierwszy w życiu podejmujesz jakąś decyzję.

Taksówkarz zatrąbił przed domem, a Bernie zapiął torbę.

– Pieprz się.

*

Pieprz się.

Ruth z piskiem wyhamowała na poboczu i otworzyła okno, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Nie czuła się dobrze. Odkąd ruszyła sprzed Coconut Lounge, mężczyzna na tylnym siedzeniu nie wydał ani jednego dźwięku. Obróciła się w jego stronę. Jego tułów zsunął się w bok na siedzenie. Wpatrywał się w nią otwartymi oczami. Czekala, czy mrugnie. Zastanawiała się, czy taksówkarz Berniego też tak czekał, gdy obrócił się, żeby rozliczyć się z nim za przejazd.

10.

To miasteczko w niczym nie przypomina Magaluf, a ten bar nie jest ani trochę podobny do Coconut Lounge. To właściwie wioska, z kilkoma uliczkami i jednym pubem. Wszystkich pięciu klientów wygląda na co najmniej pięćdziesiąt lat, a pewnie każdy ma co najmniej siedemdziesiąt, tylko wygląda młodo, bo nie spędził życia na jedzeniu frytek w deszczu. Żaden z drinków nie został nazwany tu na cześć żadnych aktów, gadżetów ani pozycji seksualnych, a goście mają przez cały czas na sobie ubrania zakrywające zarówno górną, jak i dolną część ciała. Nikt nie jest pijany, nikt nie tańczy i nikt nie robi zdjęć ani filmików, ponieważ nikt nie ma komórki, a zresztą nie ma tu czego nagrywać. Biegłam bardzo długo, nie wiem dokładnie, ile zrobiłam kilometrów. Biegłam po plaży i ruchliwymi ulicami. Na widok tego baru zatrzymałam się. Teraz zastanawiam się, jak zapytać: „Szukam pracy, najlepiej gdzieś w ukryciu, może zmywanie naczyń?”

– Czy mówi pani po angielsku? – pytam kobiety za barem. Wzrusza ramionami. Powtarzam pytanie, tym razem głośniej. Jeden z klientów mówi coś do mnie po hiszpańsku. Zdaje się, że będę potrzebować Google Translate albo papierowego słownika.

– *Gracias* – mówię i wychodzę, żeby poszukać jednego albo drugiego.

W wiosce nie ma kafejki internetowej ani księgarni. Piję wodę z ulicznego kranu i dostrzegam niewielkie wzgórze. Ruszam w jego kierunku. Muszę pomyśleć. Staram się wrócić do równowagi.

Dla jasności, wbrew temu, co zbyt pośpiesznie wypaplałam Brodaczowi, nie jestem jednym z tych pokiereszowanych emocjonalnie adoptowanych dzieci. Odkąd skończyłam dwanaście lat, starałam się nie myśleć o swojej biologicznej matce, i właściwie udawało mi się to bez trudu. Tuż przed trzynastymi urodzinami zaczęłam rozważać odszukanie jej. Ćwiczyłam, jak powiedzieć o swojej decyzji rodzicom. Kilka najlepszych kwestii zapisałam sobie w pamiętniku.

Chciałabym dowiedzieć się więcej o sobie. Co wy na to?

Woojin zarejestrował się w ośrodku adopcyjnym i wiecie co – okazało się, że ma brata!

Albo: Zastanawiam się, czy w mojej rodzinie może być skłonność do raka szyjki macicy.

Nie, nie „w mojej rodzinie”. „W moich genach”, poprawiłam się.

Stwierdziłam, że ostatnia wersja ma największe szanse na powodzenie. Mama nigdy nie będzie się kłócić z nauką.

Piątkowy wieczór wydał mi się dobrym terminem, ponieważ wtedy jadaliśmy zawsze całą rodziną wystawną kolację przyszykowaną przez tatę, świętując początek weekendu butelką lub dwiema dobrego wina (to jest zanim tata zrezygnował z picia alkoholu). Rozmawialiśmy godzinami przy stole, zrelaksowani i z lekkim szumem w głowie. Lea wymykała się pośpiesznie do koleżanek, zanim zdążyła przełknąć ostatni kęs, a ja zwykle szłam do siebie na górę, zostawiając rodziców samych. Tym razem ociągałam się nieco, zbierając się na odwagę. Wreszcie spytałam:

– Zastanawiam się, czy w mojej rodzinie może być skłonność do raka szyjki macicy. Kurczę, miałam nie mówić „rodzina”!

Mama odłożyła kieliszek na stół, stawiając go krzywo na trzonku łyżki. Tata i ja spojrzeliśmy po sobie, a potem na mamę, czekając, aż zabierze głos. Miała wyraz twarzy oddanej żony, której mąż właśnie wyznał, że kocha inną.

– Czyżbyś martwiła się swoim zdrowiem?

Z miejsca postanowiłam zarzucić temat.

– Nie, jestem zdrowa jak ryba. Tak się tylko zastanawiałam, bo w zeszłym tygodniu mieliśmy szczepienia w szkole. Swoją drogą, co za postęp! Jeszcze trochę i będziemy się szczepić na wszystkie nowotwory. Będziecie jeszcze jeść ten ser? – Z tym pytaniem wstałam od stołu razem z tacą serów i wymknęłam się z pokoju radosnym krokiem dziewczyny, która nie ma żadnego palącego, bolesnego pytania, tylko naczynia do odniesienia.

W swoim pokoju wyrwałam z pamiętnika strony, na których zapisałam swoje próbne kwestie, i wrzuciłam je do kosza. Ostatni raz zajrzałam na forum internetowe, które potajemnie śledziłam. Był tam niekończący się katalog nastoletnich chłopców i dziewcząt takich, jak ja, którzy publikowali swoje dane. Moja matka miała tyle a tyle lat. Porzuciła mnie tu i tu, wtedy a wtedy. Proszę, pomóżcie mi ją odnaleźć.

Był post od Amerykanina, który rozważał adopcję, i rozpacзлиwa odpowiedź jakiegoś czternastolatka: „NIE! BŁAGAM, NIE RÓB TEGO! Zadasz temu dziecku BÓL! Ograbisz je z jego kultury, języka, dziedzictwa! Każesz mu czuć i postępować jak biali ludzie, ale ono nie będzie białe! BŁAGAM, NIE!”.

Dość, powiedziałam sobie tamtego wieczoru. Ja nie cierpiałam. Nie musiałam szukać rodzonej matki, bo miałam już mamę, kochającą, mądrą, dobrą. Wykasowałam forum z listy ulubionych i postanowiłam nigdy więcej tam nie zaglądać.

Trzy lata później, gdy miałam piętnaście lat, Woojin i ja wspieiliśmy się razem na Ben Lomond. Po drodze wyjawiał mi, że jego brat, który nigdy nie został adoptowany i mieszkał w domu dziecka do czasu, aż był na tyle ogarnięty, żeby uciec i nie dać się złapać, okazał się zakłamanym alkoholikiem. Ciągłe prosił Woojina o pieniądze na studia, a wydawał je na soju. Woojin zerwał z nim kontakty i powiedział, że chyba dobrze zrobiłam, nie szukając swojej biologicznej rodziny. Poradził mi, żebym porównała się do narkomana na odwyku.

– Zawsze będzie cię korciło, żeby ją odnaleźć. To pulsujące, zawsze obecne pragnienie. Duś je w sobie, dzień po dniu, i dzwoń do mnie, jeśli będzie ci ciężko. Będę kimś w rodzaju twojego sponsora!

Zadzwoiłam raz czy dwa. Udało mu się wyperswadować mi kilka postów na forach i parę e-maili do mojego dawnego sierocińca. Ale w zeszłym roku, kiedy dostałam warunkowe miejsce na medycynie, przekonałam go, żeby trochę poszperał w tajemnicy. Chciałam, żeby moja biologiczna matka wiedziała, że jestem szczęśliwa, że odnoszę sukcesy. Żeby była ze mnie dumna. Wyobraziłam sobie nawet, że kiedy Woojin opowie jej o moich osiągnięciach i pokaże jej moje zdjęcia, napisze do mnie list. *Myślałam o tobie każdego dnia, Su-Jin. Co roku 2 lipca wysyłałam ci kartkę bez adresu, pisząc: wszystkiego najlepszego, kochana córeczko. Wiedz, że cię kocham, i że przepraszam. A teraz widziałam twoją twarz! Jesteś piękniejsza i mądrzejsza, niż mogłam to sobie wyobrazić! Proszę, przyjedź do mnie. Przyjedź do domu, do mamy.* Wyobrażałam sobie ślady łez na liście i na wszystkich kartkach wysłanych w eter.

Dwa tygodnie przed wyjazdem do Magaluf Woojin zjawił się u mnie w domu. Właśnie wrócił z pogrzebu brata (zakrztusił się własnymi wymiocinami w jakiejś melinie w szemranej dzielnicy Seulu). Po uroczystości poszedł na posterunek policji w Myeong-dong. Dzięki wrodzonemu urokowi osobistemu udało mi się dostać kontakt do kilku policjantów, którzy pracowali tam osiemnaście lat temu. Po dwóch dniach wytężonego śledztwa dotarł do Moona Jihoo. Dobrotliwy, emerytowany oficer doskonale pamiętał historię wiklinowego koszyka. Akurat szedł wtedy do pracy na nocną zmianę. Gdy zbliżał się do budynku, zobaczył przy wejściu kobietę, która pochylała się nad koszykiem. Zawołał do niej z drugiej strony ulicy. Spojrzała na niego wystraszona, a potem uciekała, zostawiając koszyk na progu. Woojin zapytał mężczyznę, dlaczego tak dobrze pamięta to zdarzenie. Odpowiedział, że znał tę kobietę. Podekscytowany bliskim rozwiązaniem zagadki mój przyjaciel długo nalegał, ale policjant nie chciał mu

zdradzić jej imienia.

– Powiedziałyby, gdybym mu zapłacił, ale chciałem najpierw porozmawiać z tobą.

Woojin przygotował dla mnie grunt. Jeśli chciałabym poznać imię rodzonej matki, musiałabym tylko zapłacić Moonowi Jihoo. Dwa tygodnie nie spałam po nocach. Wyobrażałam sobie, jak moja matka dostrzega policjanta i ucieka. Być może, gdyby jej nie przyłapał, w ostatniej chwili zmieniłaby zdanie. Być może rozpoznał ją, bo była dobrze znana miejscowej policji. Może była bezdomna albo żebrała na ulicach. Może żyła w melinie podobnej do tej, w której znaleziono brata Woojina. Może zajmowała się nią opieka społeczna, bo była chora psychicznie, leczyła się na depresję albo miała na koncie próby samobójcze.

W porównaniu ze szczytami Szkocji to wzgórze nie wydaje mi się prawdziwym wzniesieniem. Bardziej pofałdowaniem terenu. Nie ma urwiska, z którego można by skoczyć, i tylko jedno drzewo jest naprawdę wysokie i ma dwie solidne gałęzie, z czego niższa gałąź jest na tyle gruba, że udźwignęłaby mój ciężar. Gdybym zdjęła koszulkę, mogłabym odgryźć dolny brzeg, porwać materiał na równe paski, ciągnąc ostrożnie dookoła, tak jakbym obierała jabłko i starała się nie przerwać skórki.

Być może moja biologiczna matka rozważała samobójstwo, gdy odkryła niechcianą ciążę albo po tym, jak mnie porzuciła. Może była nimfomanką, sypiała z wszystkimi dookoła, a potem porzucała noworodki. Hashtag #dziwka.

Czy myślenie o samobójstwie jest już rozważaniem samobójstwa? Czy to pierwszy krok? Chyba nie. Myślę o tym tak samo, jak o skoku na spadochronie. Nigdy nie wyskoczyłabym z samolotu, chyba że na chwilę przed katastrofą. Su Oliphant-Brotheridge nie poddaje się rozpacz, nawet jeśli potajemnie oplakuje utratę dywizu i drugiego członu swojego imienia, które są jedynymi rzeczami poza kolorem skóry, które ją definiują. Nawet jeśli Su Oliphant-Brotheridge z Doon skompromitowała się na wakacjach, nigdy na serio nie snułaby planów z gałęzią drzewa i prowizoryczną pętlą w rolach głównych.

Ale skoro chodzi mi to po głowie (nawet bez autentycznych zamiarów), to na pewno chodzi też po głowie rodzicom. Muszę ich uspokoić, że nie planuję drzeć bluzek i wieszać się na drzewach. Jeśli ktokolwiek powinien tu umrzeć, to jest to Xano („Ssij, kurwo. Weź go całego, brudna szmato”). Chyba debata na temat kary śmierci zostawiła we mnie trwałe ślad, bo wyobrażam sobie Xano dyndającego z gałęzi; widzę w wyobraźni jego oczy, w chwili, gdy umiera, i wypełnia mnie uczucie błogości. Zasluguje na śmierć.

Ale nawet jeśli pragnęłabym pograżyć, okaleczyć lub zabić Xano, jest to niemożliwe. Mamie by się to nie podobało. Wierzy w potęgę prawa. Więcej – ona jest prawem. Ostatnią rzeczą, jaką chciałaby dla swojej idealnej, przeobrażonej w dziwkę córki, to aby w kolejnym etapie przeobraziła się w zbiega przed prawem. Żałuję, ale nie mogę jej tego zrobić.

Moja rodzina powinna wiedzieć, że nie pozwolę, aby jedna pijacka noc w Magaluf zrujnowała mi życie albo życie moich bliskich. Zbiegam ze wzgórze, wchodzę do baru i wymieniam pięć euro w banknocie na monety. Ze staroświeckiej budki telefonicznej na głównej ulicy wykręcam numer komórki Lei. Nie odbiera, więc po dziesięciu minutach próbuję jeszcze raz, a potem znowu.

– Su? Su! Żyjesz? Gdzie jesteś?

– Żyję – odpowiadam. – Wszystko w należyтым porządku. Powiedz rodzicom, żeby się o mnie nie martwili.

– Jestem w Barcelonie. Spotkajmy się gdzieś. Pozwól mi zabrać cię do domu. Su?

– Nie chcę jeszcze wracać. Chcę być sama. Jak rodzice? Przepraszam ich ode mnie.

– Gdzie jesteś?

– Potrzebuję trochę czasu dla siebie. Nic mi nie jest, słowo.

– Ale co zamierzasz zrobić?

– Będę kończyć, Lea. Kocham cię. Powiedz rodzicom, że ich kocham i że jest mi strasznie przykro. Odezwę się niedługo.

Nie wiem, co robić dalej. Zostało mi pięć euro i osiemdziesiąt centów, z czego cztery euro czterdzieści centów wydaję w barze na podejrzenie wyglądającą butelkę czerwonego wina i ruszam z powrotem w stronę wzgórza. Nie zamierzam się upić na tyle, żeby skończyć ze sobą. Zakup wina i wypicie go w pobliżu drzewa nie są świadomymi działaniami. Wszystkie myśli samobójcze zdusiłam w zarodku. Piję tu tylko dlatego, że mam ochotę się upić, i że spodobało mi się to drzewo.

– Su! Su!

Gdy otwieram oczy, najpierw zauważam czerwony zachód słońca, potem pustą butelkę po winie, którą tulę do siebie niczym rasowy żul, a na końcu Leę, wdrapującą się po zboczu.

– Su! Su! Dzięki Bogu! Nic ci nie jest?

Nie ruszam się z miejsca, leżąc z rozpostartymi ramionami pod niebem, które wkrótce pokryje się gwiazdami.

– Moja świadomość opuszcza moje ciało. Nigdy wcześniej tak nie miałam. Dlaczego nigdy wcześniej nie opuściłam swojego ciała? – Język mi się płacze, ale nic dziwnego, zważywszy na to, że wydudniłam całą butelkę wina czterema łykami.

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! – Lea klęka na ziemi i obejmuje mnie. Płacze i nieustannie dziękuje Bogu. Próbuję ją odepchnąć, bo nie chcę, żeby mnie przytulała, i w ogóle mam serdecznie dość wszystkiego, co jest z nią związane. Ale ona nie daje się odpędzić, a mój mózg nie jest w stanie zmusić mojego ciała do żadnego ruchu.

Nigdy nie myślałam o tym, czy Lea jest podobna do mamy, ale muszę przyznać, że okazała się sprytnym i zawziętym detektywem. Po moim telefonie uparcie dzwoniła na numer budki telefonicznej, który nieoczekiwanie wyświetlił się jej na komórce.

– Trwało to całe wieki, ale w końcu odebrał jakiś mężczyzna. Niestety nie mówił po angielsku, więc musiałam znaleźć kogoś, żeby tłumaczył, ale zanim mi się to udało, facet z budki się rozłączył. Zadzwoiłam znowu i na szczęście tym razem odebrał od razu, więc mogłam się dowiedzieć, skąd dzwoniłaś.

Do miasteczka dotarła pół godziny temu i obeszła je wzdłuż i wszerz, pokazując dookoła moje zdjęcie. Kobieta z baru wskazała palcem w kierunku wzgórza.

Lea podnosi mnie i opiera plecami o drzewo. Z plecaka wyjmuje telefon. Jest taki sam jak mój – najnowszy model Ri7. (Prezenty na Gwiazdkę. Ja dostałam biały, ona czarny, ona chciała biały, więc się z nią zamieniłam, bo jestem beznadziejna, od lat). Wyrwam go jej z ręki, zanim ma szansę cokolwiek zrobić.

– Su, oddaj mi komórkę. Proszę, muszę im dać znać. Okropnie się martwią. Chcą tylko, żebyś była bezpieczna. Nie obchodzi ich ten głupi film. Proszę!

Nie jest w stanie wyrwać mi telefonu z ręki i po chwili się poddaje.

– Masz, napij się wody.

Przykłada mi butelkę do ust, ale ja nie chcę ich otworzyć.

– Napij się trochę, błagam!

Zaciskam wargi niczym rozkapryszone dziecko. Lea jest sfrustrowana i bezradna. Podoba mi się to.

– Nie dziwię się, jeśli mnie nienawidzisz. Przepraszam. Nie powinnam była dopuścić, żebyś się tak upiła. Powinnam była na ciebie uważać. Byłam taka nawalona, że potykałam się o własne nogi.

Przepraszam.

Otwieram tylną klapkę w jej telefonie.

– Błagam, wypij trochę wody!

Wpatruje się w telefon w mojej dłoni, ale jest zbyt przestraszona, żeby pytać, co robię. Przerazam ją. To wspaniałe uczucie. Powinna zobaczyć, jak to jest. Zaglądam do jej plecaka. Dostrzegam swój portfel.

– Zdobyłam go od właściciela pensjonatu.

Sprawdzam, czy mam w portfelu kartę kredytową i paszport, a potem przeglądam zawartość portfela Lei. Znajduję pięćset euro, kartę kredytową mamy i swoją kartę bankomatową. Przekładam swoje karty i całą gotówkę Lei do swojego portfela.

– Powiedz mamie, że przeleję jej wszystko, co wydałam z jej karty, okej? Więc byłaś tak nawalona, że potykałaś się o własne nogi?

Lea przygryza wargę.

– Kupiłam ekstazy, pamiętasz? Pytałam się ciebie, czy chcesz, ale odmówiłaś.

– Coś takiego?

Lea zaczyna płakać. Ukrywa twarz w dłoniach, zza których dochodzą mnie stłumione dźwięki, głównie szlochania, ale rozpoznaję też dwa słowa: „drink” i „przepraszam”.

– Nie słyszę, co mówisz, a zresztą niewiele mnie to obchodzi. Chcę po prostu, żebyś już sobie poszła. Nie odrywając dłoni od twarzy, moja siostra opanowuje się i po chwili mówi już wyraźnie:

– Wrzuciłam ci jedną tabletkę do drinka. Przepraszam. Tak strasznie cię przepraszam.

Nieruchomieje, a ja przyswajam to, co właśnie usłyszałam. Potem ostrożnie wygląda zza palców, żeby sprawdzić moją reakcję. Nie daję nic po sobie poznać. Wpatruję się tępym wzrokiem w jej niebieskie oczy, jak robot, jak królowa śniegu.

– Powiedz coś, błagam, Su! Wybacz mi! Wrzuciłam ci pigułkę do drinka i nawet nie jestem pewna, co to było!

Wiem, że moja twarz jest jak z kamienia. Ale wewnątrz mnie kotłują się miliony uczuć. Przede wszystkim nieprzemierzona chęć roztrzaskania na głowie Lei pustej butelki po winie.

– Dałaś mi taką samą tabletkę, jaką wy wzięłyście?

Mogłabym też podrzeć bluzkę na cienkie paski, udusić ją jednym z nich i powiesić ciało na drzewie z przyczepioną karteczką: „To wszystko moja wina. Dosypałam Su narkotyków do drinka. Przepraszam”.

Siostra kiwa głową powoli, jakby bała się, że pośpieszny ruch może mnie sprowokować.

– Kupiłaś cztery pigułki i każda z nas wzięła po jednej?

– Kupiłam sześć.

– Takie same?

– No. Natasha i ja wzięłyśmy po dwie, Millie jedną. Ostatnią dodałam ci do drinka, kiedy tańczyłaś.

– I nie wiesz, co to było?

– Naganiacz mówił, że ekstazy i odlot był jak po ekstazy. Wszystkich kochałam i wszystko wydawało mi się piękne. Kiedy zauważyłam, co ty wyrabiasz, uznałam, że to takie wyzwalające, chciałam, żebyś to zrobiła. Chciałam cię wyzwolić i żebyś się dobrze bawiła. Wydawało mi się, że dobrze się bawisz. Pamiętam, jak myślałam, że ładnie ci w nowej fryzurze, pamiętam, jaka piosenka leciała w tle i że jedyne, na co miałam ochotę, to tańczyć.

– Były białe czy żółte?

– Białe.

– Z kciukiem czy z motylkiem?

– Z kciukiem. Skąd wiesz?

– Więc ty i Natasha zażyłyście tego dwa razy tyle, co ja?

– No.

– A Millie tyle, co ja.

– Tak.

– Ale wy wiedziałyście, że to bierzecie?

– Tak! Przepraszam! Millie i Natasha nawet nie wiedzą, co zrobiłam, jeszcze im nie mówiłam.

Za bardzo się bałam. To wszystko moja wina. Wszystko popsułam. Jestem pieprzoną kretynką.

– Więc to oznacza, że tamtej nocy zrobiłaś loda dwudziestu czterem facetom?

– Co?

– I Natasha też dwudziestu czterem?

Lea potrząsa przecząco głową.

– A Millie dwunastu?

Do Lei zaczyna docierać, co chce powiedzieć, i czepia się tego łapczywie, jak ręki wyciągniętej na zgodę.

Potrząsa głową.

– Więc te pigułki nie miały jakiejś magicznej mocy, która przemienia dziewczyny w publiczne lodziary?

Uśmiecha się do mnie nieśmiało, co tylko potęguje we mnie chęć rozbicia jej butelki na głowie.

– To nie twoja wina. Dasz mi trochę tej wody?

– Dzięki Bogu, że mnie nie nienawidzisz. Nie zniostabym tego.

Jest zbyt przejęta własnym poczuciem ulgi, żeby podać mi wodę, więc pochylam się i biorą ją sama. Potem wyjmuję miniaturową kartę SIM z jej telefonu, wkładam sobie do ust i popijam solidnym łykiem. Czuję, jak mój mózg się nawadnia.

– Co ty zrobiłaś! Czemu?!

– Nie wiem. Może z głodu.

– Błagam, chodźmy do miasta i zadzwońmy do mamy.

– Nigdzie z tobą nie idę. Całe lata spędziłam, chodząc za tobą krok w krok, a ty traktowałaś mnie jak śmiecia. Czy dosypałaś mi prochów do drinka, bo twoje przyjaciółki zaczęły mnie lubić, Lea? Czy to ci przeszkadzało? Czułaś się odstawiona na boczny tor, zła, że zaburzył ci się porządek wszechświata? Krzyczałaś „dalej, dalej, dalej”, bo chciałaś mnie sprowadzić z powrotem na swoje miejsce, miałaś radochę, widząc, jak się kompromituję? Nieważne. Oświeciło mnie, przejrzałam na oczy. Muszę być z dala od ciebie. Nie chcę być blisko ciebie. Przejmować się, czy mnie lubisz, czy lubią mnie twoje przyjaciółki, czy jestem dla ciebie obciachem, kujonem, chińszczyzną, idiotką. Nie chcę być twoją zabawką, twoją przyjaciółką, twoją rodziną ani twoją uczennicą. Nie masz mnie czego uczyć. To drzewo tutaj jest dla mnie taką samą rodziną, jak ty, a dużo bardziej wolę jego towarzystwo. Dzień wcześniej wzięłam taką samą pigułkę, i co z tego. Opuść już. Powiedziałam, że to nie twoja wina, Lea, i mówię to szczerze. Ale nie powiedziałam, że nie nienawidzę ciebie. A teraz spływaj.

Ten speech zaskoczył mnie tak samo, jak Leę, ale nie żałuję go. Czuję uniesienie. Zmarnowałam sześć lat życia, żebrząc o jej miłość. Co dostałam w zamian? Uznała, że to co robię, jest wspaniałe, wyzwalające, i miała ochotę tańczyć. Su nie zachowuje takich osób w swoim życiu. Zaczyna podobać mi się bycie taką Su. Tak trzymać.

Lea wstaje, blejsza niż zwykle.

– Powiedziałam, spływaj!

– Nie mogę. Nie ruszę się stąd bez ciebie. Mama mnie zabije. Ona mnie nienawidzi, jeszcze bardziej niż dotąd. A ty mnie przerażasz. Co chcesz zrobić? Nie wrócę do domu bez ciebie. To moja sprawiedliwość naprawna.

– Naprawcza.

– Muszę ci to wynagrodzić. A matka nawet nie wie o pigułce. Powiesz jej o pigułce?

Błagam, nie mów jej! Nie mam prawa cię o to prosić.

Jęczenie, jęczenie, jak uciszyć to jęczenie.

– Wiem, jak możesz mi to zrekompensować. – Wstaję i patrzę jej prosto w twarz. –

Powiedz mamie, że mnie znalazłaś i że nic mi nie jest. Powiedz, że wiem o uczelni, że postanowiłam zrobić sobie rok przerwy i zdawać na inny uniwersytet w przyszłym roku, więc Edynburg może się gonić. Że mam to wszystko obmyślane i nie musi się absolutnie niczym martwić. Potrzebuję po prostu czasu tylko dla siebie.

– Ale nie rozumiesz, jeśli cię nie przywiozę...

– Wytlumacz mamie, że wymknęłam się w środku nocy.

– Powie, że powinnam była nie spać, żeby do tego nie dopuścić. Zabije mnie. Su, błagam, pomóż mi. Od zawsze wiedziałam, że młodsza siostra ma dziwny stosunek do mamy, ale chyba nie

przypuszczałam, że aż tak się jej boi. Niezła rodzinka. Ja się boję Lei, Lea boi się mamy, a mama boi się mnie, i tak nasze estrogenowe koło się zamyka.

– No dobra, to powiedz jej, że wynajęliśmy pokój nad barem, bo było za późno, żeby złapać samolot.

Całą noc nie zmrużyłaś oka, żeby mnie pilnować. W pewnym momencie zaczęłaś przysypiać, a ja to wykorzystałam i chciałam się wymknąć, ale przyłapałaś mnie, jak otwieram drzwi. Gdy próbowałam mnie powstrzymać, przywaliłam ci w twarz, tak że straciłaś przytomność, i zniknęłam.

– Nigdy tego nie kupi!

Uderzam Leę pięścią na tyle mocno, że zatacza się w tył na drzewo. Nos nienaruszony, jest wciąż

przytomna, ale tak zszokowana, że nie przychodzi jej do głowy, żeby zasłonić się przed kolejnym ciosem.

Pochyliłam się nad nią, oglądam jej nos, oczy, i z zadowoleniem stwierdzam, że cel został osiągnięty.

11.

Patrząc jak taksówka zakręca i znika na końcu ulicy, Ruth aż gotowała się z wściekłości na męża. Po tym, jak powiedział do niej „pieprz się”, odwdzińczyła się, wołając: „Sam się pieprz, ty bezużyteczny, leniwy, amerykański tłuściochu”. Złość wzrastała w niej, gdy bezowocnie szukała kluczyków do samochodu, które ostatecznie odnalazła na stoliku w dużym pokoju.

Aktualnym miejscem zamieszkania Jima Docherty'ego była kawalerka na parterze wyremontowanego bloku komunalnego w Castlemilk. Gdy Ruth przyjechała pod wskazany adres, auto MacDonalda stało już zaparkowane na zewnątrz. Przeszli do bocznego wejścia, zaglądając przez kuchenne okno. Na stole leżały narkotykowe akcesoria: gazety, szklana lufka nabita marihuaną, tytoń, bongo. MacDonald zapukał do drzwi z białego PCV i chwilę później otworzyła im młoda dziewczyna. Wyglądała na dużo młodszą od Lei czy Su, na oko mogła mieć jakieś piętnaście lat. Była ubrana w szlafrok, w ustach żuła kosmyk mokrych włosów, którym starała się zakryć niebieski siniak na policzku.

– Jim jest w domu? – zapytał MacDonald.

– Musi być dopiero o siódmej.

– Nie jesteśmy z policji, to nic z tych rzeczy. Jak masz na imię, skarbie?

– Bethany.

– Ile masz lat?

– Nie pana sprawa. Osiemnaście.

– To musiało boleć. Uderzył cię?

– Y-y. – Puściła włosy, które przygryzała, ukazując siniak w idealnym kształcie pięści w całej okazałości. – Przewróciłam się. Kuratorzy, czy jak? Jim widział się już ze swoim dziś rano, a mój będzie jutro, umówiony.

– Jestem prawnikiem Jima. Powiesz mu, że przyszedł Michael MacDonald? – Mężczyzna przepchnął się obok niej do środka i usiadł przy kuchennym stole naprzeciwko torebki z marihuaną. – Poczekamy na niego tutaj, Bethanay. Jak masz na nazwisko, bo zapomniałem?

Dziewczyna nie była na tyle rozgarnięta, żeby uchylić się od odpowiedzi.

– Mathieson.

– Mieszkasz tu razem z Jimem?

– Tak jakby.

– Masz psa?

– Nie...

– Lubisz psy?

– Yyy... Nie.... Nie wiem... Co pan, kurwa...

– Nie kupuj sobie psa.

– No dobra, no! – obruszyła się dokładnie tak jak Lea.

– Słyszysz? Nie daj Jimowi Docherty'emu nawet zbliżyć się do jakiegoś psa.

– Dobra, pan wyluzuje. Żadnych psów. Kurwa mać...

Gdy dziewczyna wyszła z kuchni, żeby obudzić swojego faceta, Ruth zrobiła zdjęcie narkotykom rozłożonym na stole i szybko wsunęła telefon z powrotem do torebki. Zastanawiała się, co zrobiłby

MacDonald, gdyby Bethany miała psa. Pewnie zabrałyby go stąd bez pozwolenia, ale też bez cienia wahania, i pewnie miałyby rację. Tylko czy w takim przypadku nie powinien też zabrać stąd jego poturbowanej właścicielki, zanim ktoś zdoła ją podpalić?

Jim Docherty wszedł do kuchni, ziewając, ubrany tylko w kwieciste szorty. „Może wakacyjne spodenki”, przebiegło Ruth przez myśl.

– Micky, co tu robisz, człowieku! – Docherty zarzucił ręcznik na lufkę z marihuaną i schował ją do lodówki, nie wyglądając na ani trochę speszonego. Jeszcze nie rozpoznawał Ruth.

– Tak się tylko chciałem zapytać, co porabiasz, odkąd cię wypuścili. Przy okazji, to szeryf Oliphant. Pamiętasz ją chyba?

Na twarz Jima wkradły się zmieszanie i panika. Spojrzał na Ruth, na bongo na stole, na lodówkę, i znów na Ruth i MacDonalda.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?

– Chcemy tylko wiedzieć, czy byłeś w tym tygodniu w Magaluf – odpowiedziała Ruth. – Możemy to ustalić inną drogą, ale szybciej było zapytać bezpośrednio.

– Ha! – Docherty uśmiechnął się, łącząc w głowie fakty. – Shagaluf¹! Ilu ich było, siedemnastu? Na palcu miał swój pierścień w kształcie bili. Ruth przekręciła głowę, żeby obejrzeć go z boku.

– Dwunastu. – Czy pod tym kątem wyglądał tak samo, jak pierścień na filmie?

– Myślicie, że miałem z tym coś wspólnego? Czemu?

– Na przykład ze względu na dziewięć miesięcy spędzonych w pace.

Nie miał na ręku cienkiej czerwonej bransoletki, ale na jego lewym nadgarstku dostrzegła jaśniejszy pasek, który odcinał się na tle opalenizny. Być może to wcale nie była głupawa teoria. Może to on.

– Myśleliśmy, że mnie zamkną na co najmniej dwa lata, nie Micky? Wyszedłem po dziewięciu miesiącach, szybka piłka. Teraz musiałem się kimnąć. Mam tu niezły Meksyk, rozumiesz.

– Pamiętasz, jak mi groziłeś po ogłoszeniu wyroku? „Wiem, gdzie mieszkasz”? „Dorwę cię, suko”?

– No byłem wkurwiony! Ale urazy nie chowam, słowo honoru, pani ma swoją pracę, ja swoją... No, nie całkiem pracę, ale kręcę to tu, to tam. I w ogóle zmieniłem się, nauczyłem się tam czegoś. Żałuję, że w ogóle spotkałem Veronikę. Byłem wtedy, no jakby, w depresji i podejmowałem różne złe decyzje, i tak dalej, a teraz jestem pełen tego – no, jak to nazwałeś w sądzie, Micky? Czego jestem pełen?

– Skruchy.

– Ano. Skruchy. Zajebicie pełen. Rozumiem, że się pani wkurzyła tym nagraniem... – Uniósł obie ręce w obronnym geście. – Ale nie miałem z tym nic wspólnego, słowo.

Mężczyzna podrapał się po jądrach i skinął na swoją nieletnią kochankę.

– Wstaw wodę, co? Chcecie herbaty? Co, Micky?

MacDonald potrząsnął przecząco głową.

– Pani szeryf?

– Nie chcę herbaty. Chcę widzieć, czy byłeś wczoraj i przedwczoraj w Magaluf.

Ruth szybko przemyślała, co zrobi, jeśli Docherty okaże się winny. Od razu zadzwoni po policję. Zatrzymają go za posiadanie i kontakty z nieletnią, i jej posiniaczony policzek. To z całą pewnością wystarczy, żeby wrócił za kratki.

– Jestem na dozorze, od siódmej do siódmej. Niech pani zapyta psy z naszej ulicy. Co wieczór tu przyłazą, żeby sprawdzić.

– Więc nie było cię w Hiszpanii?

– Żałuję, ale nie!

– I nie byłeś w Coconut Lounge przy głównej ulicy w Magaluf?

– Byłem w domu, pani spyta gliny z Dougrie Road.

– Więc jeśli to sprawdzę, to potwierdzą? – MacDonald już wykręcał numer lokalnego posterunku. Wyszedł na zewnątrz, żeby porozmawiać. Ruth spojrzała na jaśniejszy pasek opalenizny na lewym nadgarstku Jima.

– Nosisz biżuterię?

Wydawało się, że nie usłyszał pytania.

– Jestem tu sześć tygodni ciągiem, słowo honoru, pani szeryf. Oglądam telewizję, parę razy byłem w pudle, żeby odebrać wiadomości, w fast foodzie na naszej ulicy, nic więcej, inaczej by mi wpierdolili karę. Co tam jeszcze. Raz w tygodniu widuję się z tym Colinem z rudą grzywką, jak mi pani wtedy kazała, żeby wyjść warunkowo. Robiłem te wszystkie głupoty, które mi kazał. Gadaliśmy o zwierzętach, że mają prawa i takie tam gówna, że nie wolno podpalić nawet pieprzonego szczura. Rysowałem jakieś cholerne strumyki i drzewa, odgrywałem jakieś pieprzone sunie, i inne takie pierdoły, że by pani normalnie nie uwierzyła.

Ruth była skłonna zgodzić się z opinią Docherty'ego na temat jego kuratora.

– W ramach terapii po zwolnieniu warunkowym musiałeś wcielać się w rolę psa?

– Ha ha, nie, nie takie sunie. Chodziło mi o cipki.

Chyba oceniła go zbyt szybko.

– Co zwykle nosisz na nadgarstku?

Docherty zdjął z lodówki srebrny zegarek Armaniego i podał go Ruth. Miał błękitną tarczę i wyglądał na drogi.

– Nie ukradłem go, ale kosztował taniochę, 163 funty. Rzuciłem na trochę palenie i przyoszczędziłem.

Ruth przyłożyła zegarek do śladu po opaleniznie na ręce mężczyzny. Kształt pasował idealnie, razem z okrągłą tarczą.

– Dzięki niemu zdążam do sądu. Wiem, że postąpiłem źle, ale spuszczam głowę i staram się poprawić. Zakochałem się. Pani zobaczy. Mała mogłaby dać pani córce kilka lekcji z tego i owego. Słowo daję, jest w tym mistrzynią. No serio, mała, jesteś.

MacDonald wszedł do środka w samą porę, żeby chwycić Ruth za ramię i powstrzymać przed zamachnięciem się na Docherty'ego. Kobieta odetchnęła głęboko, opanowując się.

– Mówi prawdę – powiedział MacDonald. – Byli tu każdego wieczora, odkąd wyszedł. A ona ma osiemnaście lat.

– Gdzie kupiłeś ten pierścień?

– To? W Govanhill. Cudny, nie?

– U jubilera?

– Nie, w klubie bilardowym. Taki gościu, Kev, nie – Matt czy Bob. Nie... Kevin. Tak, Kevin z klubu bilardowego robi takie i sprzedaje na boku. Przy Allison Street.

W drodze do domu Ruth czuła ścisk w żołądku i miała ochotę się rozplakać. Nie czuła się tak od czasu, gdy Lea była malutka. Jeśli miała wtedy depresję poporodową, była zbyt zajęta i wściekła, żeby się do tego przyznać. Teraz też będzie walczyć zamiast użalać się nad sobą. Chociaż odkąd jej jedyny, jakkolwiek wąty trop, okazał się fałszywy, nie wiedziała już, przeciwko komu ma walczyć.

Cztery nieodebrane połączenia od Berniego. Pewnie jest teraz przy bramce odlotów, ma wyrzuty sumienia, chce ją przeprosić i się pogodzić. Zanim zdecydowała się oddzwonić, zaparzyła sobie filiżankę rumianku. Była wciąż zła – na siebie, że zmarnowała dziś tyle czasu, i na Berniego, że oskarżył ją o bycie złą matką. Jak śmiał? Była wzorową matką, miała ku temu wszelkie dowody. Zanim oddzwoni do męża, musi się uspokoić. Inaczej znów powie mu parę słów za dużo na temat jego wagi i amerykańskiego pochodzenia. Ostatecznie miał rację, nie powinna była wysyłać Lei samej (o, i już jest spokojniejsza), nie

powinna była iść do pracy i nie powinna stawiać chęci znalezienia i ukarania sprawcy wyżej od poszukiwania i wsparcia ofiary, ich pięknej, przerażonej córeczki. Nadal nie podobało jej się, że Gregor i Val publikują osobiste informacje na temat jej rodziny, ale przemówi im do rozsądku. Doskonale zna Bernarda i wie, że dzwonił, aby powiedzieć: „Przepraszam. Przesadziłem. Byłem zdenerwowany. Kochanie, tak bardzo cię kocham, jesteś wspaniałą matką. Będę w domu jutro razem z Leą i miejmy nadzieję Su. Jeśli Su nie jest jeszcze gotowa do powrotu, damy jej trochę czasu i przestrzeni. Wiemy, jaka jest silna, wiemy, że jest bezpieczna, i wiemy, że nas kocha. Ona wie, że my ją kochamy bezwarunkowo. To był jeden jedyny wieczór, kiedy straciła nad sobą kontrolę. Nie pozwolimy, żeby to zrujnowało nam życie”.

Ruth wzięła ostatni łyk herbaty, uśmiechnęła się i wcisnęła „oddzwon”. Bernie nie był bezużyteczny ani leniwy. Czekając na połączenie, Ruth była pewna, że jej mąż powie mniej więcej to, co właśnie sobie wyobraziła. A na dźwięk jego słów zelżeje ścisk w jej żołądku i żądza wytoczenia świata wojny. Z telefonem przy uchu, coraz bardziej zniecierpliwiona, czekała na jego kojący, pełen rozsądku głos.

– Halo? – odebrała kobieta. Może Bernard zgubił komórkę.

– Kto mówi?

– Katherine Hempenstall. Czy mogę zapytać, kim pani jest?

– Dlaczego korzysta pani z telefonu mojego męża? Chwila ciszy.

– Pani Brotheridge?

– Mam własne nazwisko, ale jestem żoną pana Brotheridge’a. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie!

– Jestem pielęgniarką, dzwonię ze szpitalnego oddziału ratunkowego Southern General.

Ogromnie mi przykro, ale mam bardzo złą wiadomość.

Ruth nakręciła swój pierwszy film w izolatce SORu. Wtedy jeszcze nie do końca zdawała sobie sprawę z planu, który zaczął kiełkować w jej głowie. Właściwie trudno powiedzieć, kiedy dokładnie wpadła na ten pomysł. Czekala, aż Katherine Hempenstall pożegna się i zostawi ją samą. Zasuwała kotarę, wyjęła telefon i wcisnęła nagrywanie. Najpierw sfilmowała twarz, powoli przesuwając obiektyw, tak aby uchwycić każdy szczegół. Nagrała martwe wargi i martwe powieki, a potem rozwarła je i nagrała martwe oczy. Sfilmowała martwą szyję, martwe ramiona i resztę ciała, aż do martwych stóp, przerywając tylko na moment, gdy pielęgniarka zapukała, pytając, czy wszystko w porządku.

Ukryła telefon i wzięła Bernarda za rękę, pozując na normalną żonę.

– Tak, w porządku. Proszę wejść. Właściwie to chciałam panią o coś zapytać.

– Naturalnie.

Katherine Hempenstall wydała się Ruth najlepszą osobą, jaką spotkała w życiu. Poczula z nią natychmiastową więź. Zapewne setki osób miały podobne odczucia w stosunku do oddziałowej Hempenstall, ponieważ setki osób miały okazję trzymać w jej obecności dłoń zmarłego członka rodziny. Na oko była w wieku Ruth, ale chyba mniej jej to przeszkadzało; pozwalała, by jej siwe włosy były siwe, a ramiona zaokrąglone.

– W internecie jest teraz pełno informacji o mojej córce, ale to pewnie pani wie. Katherine nawet nie drgnęła. Wiedziała.

– Jakoś się trzyma, ale nie chce wracać do domu, a ja nie mogę jej wytropić. Druga córka wyjechała do Hiszpanii w poszukiwaniu siostry. Nie chcę, żeby dowiedziały się o tym z internetu albo z gazet. Nie chcę, żeby dowiedziały się o śmierci ojca ostatnie. Czy mogłaby pani coś zrobić, żeby to się nie rozeszło, dopóki sama im nie powiem?

Pielęgniarka milczała przez dłuższą chwilę i Ruth zrobiło się głupio, że ją o to poprosiła. W jaki sposób pracownica z samego dołu szpitalnej drabiny mogłaby powstrzymać taki news? Ale Ruth nie doceniła Katherine Hempenstall, która w końcu przestała wpatrywać się w dal i powiedziała:

– Wie taksówkarz i dwóch lekarzy z karetki. Wie doktor Kirkpatrick, Viv, która jest ze mną na zmianie – dobra przyjaciółka. Wie ten przedawkowany narkoman z pokoju obok, ale godzinę temu miał zapaść i stracił przytomność, i chyba prędko jej nie odzyska. A jak odzyska, to wątpię, żeby cokolwiek pamiętał. Jeśli zabiorę męża na dół teraz, to nie dowie się nikt poza osobami, które wymieniłam. Pogadam z doktorem i Viv, i Petem z kostnicy, i z ratownikami – Billym i Andreasem. Ależ oni o niego walczyli. A taksówkarz prosił przekazać, że mu bardzo przykro. Biedaczysko, jechał z włączoną muzyką i miał okropne wyrzuty sumienia, że nic nie zauważył, ale i tak nie mógłby za wiele zrobić, prawda? Jeśli obie powtórzymy im dokładnie to, co pani powiedziała mi przed chwilą, to jaki uczciwy człowiek zadzwoniłby z tym do prasy?

Ruth czuła się pocieszona planem Katherine – lepszego nie miała – ale nie podzielała jej wiary w ludzką uczciwość. Położyła swoją chudą dłoń na pulchnej dłoni pielęgniarki.

– Dziękuję. Jest pani bardzo, bardzo dobra w swojej pracy.
Z sąsiedniego pokoju rozległ się głośny jęk. Przedawkowany narkoman znów się obudził.
– Nie zawsze. Pani posłucha, powinnam się pośpieszyć i zabrać męża teraz. A pani musi wyjść tylnymi drzwiami.

Pielęgniarka wzięła z wózka złożone w kostkę prześcieradło i przytrzymała je w nogach łóżka.
– Jest pani gotowa? – Położyła prześcieradło na stopach Berniego i odwijala je warstwami, aż przykryła go do kolan.

– Proszę poczekać! Przepraszam, nie byłam gotowa. Może pani zacząć jeszcze raz, od tego, jak pani trzyma prześcieradło na końcu łóżka? Wiem, że to dziwne, proszę wybaczyć, ale może pani to dla mnie zrobić? – Ruth miotła się w poszukiwaniu telefonu. Ręka jej drżała, gdy nagrywała, jak pielęgniarka delikatnie przykrywa ciało jej kochanka, męża, partnera, współrodzica, przyjaciela.

– Bernie – zaszlochała. – Bernie.

Hamulce w łóżku zostały odblokowane i dwie najlepsze osoby, jakie Ruth kiedykolwiek poznała w swoim życiu, opuściły salę.

*

Ruth odczuła ulgę, widząc, że mężczyzna na tylnym siedzeniu nareszcie zamrugał. Zrobiła nieplanowany postój na poboczu spokojnej drogi, co nie było szczególnie bezpieczne. Jej światła awaryjne padły prosto na ogromny billboard i gdy po raz pierwszy zobaczyła mężczyznę z reklamy, przestraszyła się. Obserwowała, jak wielka twarz rozświetla się, a potem ginie w ciemności. To był plakat filmowy, a twarz zajmowała niemal całą jego powierzchnię. Oczy aktora wyglądały znajomo. Bernie? Oczy George'a Clooneya wyglądały dokładnie tak, jak oczy Berniego.

– Czy ja oszalałam, Bernie? – zapytała na głos.
Czy jego oczy zachęcały ją, dodawały jej otuchy? *Oczywiście, że nie oszalałaś, kochana, nie wątp w siebie. To doskonały plan!*

A może patrzyły karcąco, z każdym błyskiem świateł coraz bardziej? *Zatrzymaj się i spójrz na siebie! Podejmujesz złą decyzję, kierujesz się strachem i złością!*

To była reklama, zwykła reklama. Ruth wyłączyła światła awaryjne. Zanim ruszyła, spojrzała jeszcze raz na swojego pasażera i zobaczyła, że popuścił. Włączyła lampkę w aucie i nagrała komórką mokrą plamę na jego jasnozielonych obcisłych dżinsach, która stopniowo rozprzestrzeniła się aż do ud.

Mężczyzna pierdnął głośno. Ruth otworzyła okno. Teraz nakierowała telefon na jego twarz, na wypadek, gdyby przy późniejszym montażu potrzebowała takiego ujęcia. Wyglądał błogo, jak szczęśliwy pijak. Gdyby był w stanie poruszyć wargami, pewnie by się uśmiechnął. Kolejne pierdnięcie, tym razem mokre. Ruth skrzywiła się z niesmakiem, wcisnęła przycisk otwierający okno z tyłu, i kontynuowała nagrywanie. Mężczyźnie udało się zamknąć oczy. Jego twarz napięła się nieznacznie, a policzki poczerwieniały. Oddawał stolec. Ruth otworzyła tylne drzwi i wytoczyła go na ziemię, na brzuch. Nagrała balasa rysującego się pod spodniami na pośladkach i mokrą, brązową maź wyciekającą przez górną krawędź dżinsów. Spłaszczyła go butem, patrząc, jak rozmazuje się po dolnej części pleców mężczyzny. To też nagrała.

Jechała szybciej niż zwykła to robić po ciemku, w dodatku po prawej stronie drogi. Przednie okna zostawiła otwarte, oddychała przez usta. Wiedziała już, że to Bernie patrzył na nią na poboczu. Pochwalał to, co robiła, do tego stopnia, że podpowiedział jej scenę, którą właśnie nagrała, a która otworzy jej film. Nie będzie dokładnie taka, jak sobie zaplanowała, ale być może okaże się lepsza.

Czy na wiadukcie przed nią widać ten sam billboard? Włączyła długie światła i znów ujrzała Berniego. *Ta scena będzie dużo lepsza, kochanie! Bardziej dramatyczna. Musisz powoli budować napięcie, aż do wielkiego finału. Będziesz naprawdę zaskoczony.*

12.

Sprawdzam, czy Lea oddycha, i kładę ją w bezpiecznej pozycji głową w dół stoku. Gdy dochodzę do sklepu w centrum miasteczka, moja ręka jest spuchnięta i pulsuje boleśnie. Starsza ekspedientka przy kasie powolnym ruchem skanuje moje zakupy. Chleb, szynka, woda, jabłka, dwie butelki sangrii, duże różowe figi, para długich, białych skarpetek, T-shirt z napisem „I ♥ Barcelona”, szczoteczka, pasta do zębów, mydło i bandaż do owinięcia ręki. Wychodzi sześćdziesiąt pięć euro.

– Macie może rowery?

Kobieta wrzeszczy w głąb sklepu i z zaplecza wybiega dziewczynka, na oko ośmioletnia.

– Babcia nie mówi po angielsku, ale ja mówię, bo moja mama jest z Manchesteru, tylko nie wolno nam o niej mówić w domu.

– Potrzebuję roweru. Nie wiesz, gdzie mogłabym jakiś kupić?

Dziewczynka pyta babcię, która potrząsa przecząco głową.

– A to czyj rower? – pytam, wskazując na damkę z dużym koszykiem opartą o frontowe drzwi.

– Babci.

– Za ile by go sprzedała?

– Mówi, że nie jest na sprzedaż – tłumaczy dziewczynka. – Nie miałyby jak dojeżdżać do Claudii.

– Sto euro?

Dziewczynka przekazuje ofertę staruszce, która kręci głową. Nie ma umowy.

– Sto dwadzieścia? Sto trzydzieści?

Nie. Kręcenie głową nie ustaje aż do stu pięćdziesięciu. Mogłabym pójść pieszo do sąsiedniego miasteczka i poczekać na poranny autobus, ale zrobiło się gorąco i wolę zniknąć jak najszybciej.

– No dobra, to powiedz babci, że zapłacę jej dwieście euro za zakupy, za rower i za małą przysługę. Dziewczynka nie chce przetłumaczyć.

– To nie ma sensu, babcia nie chce sprzedawać roweru, bo jest do niego przywiązana, a Claudia mieszka dwie mile stąd.

– O raju, no dobra, powiedz jej, że mam tylko czterysta euro, może je mieć w zamian za zakupy, rower i przysługę.

Dziewczynka wzdycha i tłumaczy. Staruszka, która od czasu stu pięćdziesięciu euro nie była informowana o postępach w negocjacjach, wykrzykuje coś radośnie, śmieje się, podskakując w górę i w dół, a potem zamiera, przypominając sobie o mojej obecności. Mówi coś, co brzmi bardzo ponuro, ale dziewczynka wyjaśnia:

– Babcia mówi, że to doskonały rower, świetna jakość.

Odliczam czterysta euro, ale przytrzymuję banknoty w powietrzu, mówiąc:

– Przysługa.

Gdy dziewczynka tłumaczy na hiszpański, staruszka wygląda na przerażoną. Chyba myśli, że każę jej kogoś zamordować.

– Na wzgórzu na przeciwko baru leży dziewczyna. Wiesz, o którym wzgórzu mówię, takie z jednym drzewem, mniej więcej w połowie zbocza? Dziewczyna jest nieprzytomna i ranna. Czy babcia mogłaby pójść tam i sprawdzić, czy nic jej nie jest, albo poprosić kogoś, żeby to zrobił? Ściemnia się, a ona może potrzebować pomocy.

Staruszka patrzy na mnie tak, jakbym właśnie zleciła jej zabójstwo. Po dłuższej chwili szturcha wnuczkę w bok i szepcze do niej dziesięć podekscytowanych i bardzo długich zdań. Mija jakieś pół godziny, zanim kończy wywód znakiem krzyża.

Dziewczyna krzyżuje ręce na piersi.

– Babcia się zgadza. To będzie czterysta euro. – Zastyga z uśmiechem na ustach.

Kładę gotówkę na ladzie i czekam, aż staruszka ją weźmie, ale ona stoi bez ruchu, zupełnie jak wnuczka, i ma równie nieruchomy uśmiech na twarzy. Pochylam się w kierunku dziewczynki.

– Zdaje się, że powiedziała dużo więcej.

Mała nie zmienia pozycji, dopóki nie macham jej przed nosem kolejną pięćdziesiątką. Zerka w bok na babcię, która cedzi coś przez zęby.

– Babcia mówi, że nie mogę ci powtórzyć, co powiedziała, nawet za sto pięćdziesiąt euro.

Potrząsam głową i chowam banknot do kieszeni szortów. Głupia sytuacja, powinnam już iść, ale kobieta nagle ożywa, zaczyna wrzeszczeć i gestykulować.

– Okej, pięćdziesiąt, babcia mówi pięćdziesiąt.

Staruszka dodaje banknot do swojego stosiku i kiwa głową na dziewczynkę, która zaczyna mówić.

– Kiedy wyjaśniłaś nam tę przysługę, babcia powiedziała... – głęboki oddech – powiedziała, że dlaczego od razu nie mówiłaś nic o tej dziewczynie na wzgórzu, że pewnie jesteś psychopatką, że zamiast od razu się przyznać, chodziłaś po sklepie i kupowałaś szynkę i wino. Powiedziała, że twoje oczy ją przerażają i nie może na nie patrzeć, są takie ciemne, takie ciemne jak miał Marco, kiedy odszedł. To mój dziadek, nie żyje. Potem powiedziała, Matko Przenajświętsza, czy ty zrobiłaś coś tej dziewczynie? Czy dlatego jest nieprzytomna i ranna, a ty masz skaleczoną rękę i zapłaciłaś – szybkie liczenie w głowie – trzysta trzydzieści pięć euro za zardzewiały rower wart może dwadzieścia, o ile w ogóle coś. I powiedziała do mnie: „Bądź bardzo uprzejma, Mariello, nie zachęcaj jej do rozmowy, ale też nie prowokuj jej, za żadne skarby, ajajaj, widziałam jej oczy, sram w mleko, jesteśmy w niebezpieczeństwie. Mariello, zachowuj się spokojnie i nie przestawaj się uśmiechać, miejmy nadzieję, że odjedzie na tym rowerze i nigdy nie wróci. Mariello powiedz mi, że twój ojciec załatał mi koło, powiedz, że to zrobił Mariello, ale nie na głos! Srzyżuj ręce na piersi, jeśli tata naprawił koło tak, jak go prosiłam. Trzymaj je przy sobie, jeśli nie naprawił. Rozumiesz? Skrzyżuj ręce teraz, jeśli rower działa!”.

Zanim odjechałam, znikając w ciemności, dałam Marielli i jej babci swoje ostatnie pięćdziesiąt euro. Zasłużyły na te pieniądze.

Po dziesięciu minutach jazdy po szosie (i kilku po żuźlowej ścieżce, żeby uniknąć przerażających ciężarówek z oślepiającymi światłami i ogłuszającymi klaksonami) widzę znak „Barcelona 9 kilometrów”. Zatrzymuję się, podirytowana, bo myślałam, że się oddalam od cywilizacji, zamiast do niej wracać – ale potem na tablicy kierunkowej dostrzegam symbol samolotu. Patrząc na niego i zastanawiam się nad istnieniem siły wyższej. Być może nie jest to zwykły znak, ale ZNAK.

Ruszam dalej w tym samym kierunku, podejmując nagłą, natchnioną decyzję. Planowałam ukrywać się jeszcze przez jakiś czas. Liczyłam, że czas osłabi moją chęć zrobienia krzywdy człowiekowi, który mnie nagrał; że powstrzyma mnie przed ponownym rozczarowaniem mamy przez popełnienie przestępstwa, skręcenie Xano karku, podejrzenie mu gardła albo otrucie go płynem do mycia WC. Obrazek samolotu oczyścił mi umysł. Jadę na lotnisko. To idealny i pewnie jedyny moment. Do rodziców zadzwonię już z Seulu. Wyjaśnię im, że z tej całej sytuacji wynikło też coś dobrego. Będę asertywna, przyznam się, że już od dawna chciałam to zrobić. Być może teraz zrozumieją. Pewnie ulży im, że na jakiś czas zniknę.

Rower przyśpiesza, a mój plan nabiera kolorów. Po przylocie kupię sobie elegancki garnitur, pojedę do hotelu i wyszoruję się do czysta. Złożę wizytę emerytowanemu policjantowi Moonowi Jihoo i zapłacę mu za informacje. Potem pojedę do meliny, w której moja matka popala metamfetaminę, albo na ulicę, na

której żebrze, albo do ciemnego zaułka, w którym leży, ściskając w rękach pustą butelkę po soju, albo do więzienia lub psychiatryka, w którym nieustannie tnę się nożem po udach. Podejdę do niej i powiem jej, kim jestem. Jestem przekonana, że nie widziała nagrania z Magaluf. Pewnie nawet nie ma internetu.

W sumie zabawna myśl. Ludzie przez stulecia funkcjonowali bez internetu i dawali sobie radę. Biedna część populacji, do której należy moja biologiczna matka, nadal to robi. Ja też mogę bez niego żyć. Postanowiłam obwieścić to na głos:

– Niniejszym przyrzekam, że już nigdy w życiu nie zajrzę do internetu!

To przyrzeczenie budzi we mnie chęć dalszych deklaracji, które wykrzykuję w rytm pedałowania:

– Przyrzekam, że nigdy więcej nie pojedę do Magaluf! Przyrzekam, że nigdy więcej nie dopuszczę się czynności seksualnych w miejscu publicznym! I...

Zatrzymuję się na poboczu, wyjmuję dwie butelki sangrii, które kupiłam w miasteczku, i wyrzucam w pole.

– Niniejszym przyrzekam, że nigdy więcej nie wypiję ani nie zażyję niczego, co może mnie kosztować utratę studiów!

Podeksytowana do granic możliwości, bez ciężkiego wina w plecaku, pedałużę coraz szybciej i wyobrażam sobie reakcję rodzonej matki, gdy wyjawię jej prawdę. Jej twarz skurczy się, a potem zaleje łzami. W swojej wyobraźni widzę ją – nie jej twarz, ale sylwetkę, ruchy, gdy błaga mnie o przebaczenie, bo choć wie, że to żadne usprawiedliwienie, nie miała wyboru („Jesteś taka piękna”), przecież żyła i żyje w skrajnej nędzy (nawet nie ma internetu), była i jest całkiem sama, bez jakiegokolwiek rodziny, i nadal cierpi na co najmniej dwie poważne choroby, które uniemożliwiały/uniemożliwiają jej opiekę nad dzieckiem (na przykład ślepotę lub częściowy paraliż). Potem pada na kolana z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, a ja patrzę na nią ze spokojem Dalajlamy i mówię: „Wybaczam ci”.

Łzy skurczy znikają, a na jej twarz wkrada się duma. Jej policzki różowieją, serce zaczyna bić szybciej. Dźwiga się z kolan i zaczyna mówić, szybko, pewnie, z wdzięcznością. „Su-Jin, jesteś taka dobra, taka dobra! W przeciwieństwie do mnie, bo ja włożyłam cię do koszyka i porzuciłam! Powinnam była o ciebie walczyć, ale nie mogłam, z tak wielu doskonale zrozumiałych powodów, jak częściowy paraliż (ups, trzeba będzie zedytować tę scenę, bo nie byłaby w stanie klęczeć ani stać)... Ale nie mogłam, z tak wielu doskonale zrozumiałych powodów, jak ślepotę (ups, nie powiedziała, że jestem piękna, bo nie mogłaby mnie zobaczyć)... Z tak zrozumiałych powodów, jak trąd! Su-Jin, to ja dałam ci życie, choć jestem żalnym, niedożywionym wyrzutkiem społeczeństwa”. Kładzie mi dłonie na ramionach („To mit, że trąd jest zaraźliwy, zwykły przesąd, ale wiem, że ty to wiesz, bo jesteś wykształcona i masz szeroką wiedzę o wszystkich chorobach wszechświata”), a potem szeroko rozstawia ręce, żeby przypatrzeć mi się z daleka, bo PO PROSTU NIE MOŻE UWIERZYĆ, że ta niesamowita młoda kobieta, którą widzi, to jej córka Su-Jin.

„Mówią na mnie Su”, powiem, a ona zapyta, czy może też używać Jin, ale ja się nie zgodzę, bo teraz decyduję o sobie i chcę być Su. Jestem Su, która zrodziła się czterdzieści osiem godzin temu, jest w stu procentach zdrowa na umyśle i w ogóle nie szalona, nawet w 0,15%; Su, która jest szanowana i pracowita, i będzie studiować medycynę w jakimś bardziej prestiżowym miejscu niż Edynburg, i kiedyś dostanie Nobla za uleczenie groźnej choroby (ale nie trądu, bo na to ktoś już znalazł lekarstwo, które będziesz mogła teraz dostać, rodzona matko, skoro już cię odnalazłam. Od razu zabiorę cię do szpitala i zapłacę zachodnimi pieniędzmi za kurację, uwalniając cię od tej okropnej przypadłości, która jednak, jak widzę, dziwnym, szczęśliwym trafem nie została u ciebie na skórze szpecących strupów). Zaraz, gdzie to ja... Jestem Su, która dostała Nobla za uleczenie – już wiem! – demencji, więc gdy zaczniesz zapominać różne ważne rzeczy, na przykład gdzie zostawiłaś swoją butelkę soju, pamiętaj, że to dzięki mnie możesz dostać lekarstwo, które pozwoli ci przypomnieć sobie, że butelkę zostawiłaś w „garażu”

obok twojej „willi”, czyli w bocznej kieszeni trzykołowego wózka sklepowego, z którym chodzisz po mieście.

Uśmiecham się, pierwszy raz od dłuższego czasu. Mój sukces złagodzi cierpienie, jakiego doświadczała moja biologiczna matka na skutek ubóstwa/bezdomności/choroby umysłowej/uzależnienia (niepotrzebne skreślić), bo jestem żywym dowodem na to, że jej geny są z najwyższej półki, to tylko ona dostała od losu życie gorszego sortu.

Nie mogę przestać się uśmiechać. Pocieszenie jej przyniesie pocieszenie mnie. Ugaszenie jej poczucia winy zwróci mi moje poczucie wartości.

Lotnisko 5 km. Nareszcie. To się dzieje naprawdę. Nadchodzę.

13.

Po powrocie ze szpitala Ruth nie zapaliła w domu światła. Usiadła w ciemności plecami do drzwi wejściowych i wykręciła numer komórki Lei, a potem jeszcze raz. Po pewnym czasie – nie miała pojęcia, jak długim – usłyszała telefon stacjonarny. Podbiegła do niego i przed podniesieniem słuchawki sprawdziła numer, który wyświetlił się na ekranie – połączenie międzynarodowe. To na pewno Lea. Kiedy usłyszała jej głos, musiała stłumić w sobie chęć zawycia z rozpaczy.

– Jestem w sklepie w wiosce pod Barceloną. Su uciekła na rowerze. Mamo, znajdę ją znowu, obiecuję, pojedę za nią.

– Widziałaś się z nią? Jak ona?

– Była wściekła. Nienawidzi mnie. Mamo, muszę ci się do czegoś przyznać...

Wściekła, pomyślała Ruth. Wściekli przeżywają.

– To teraz nieważne. Jest tam jakiś hotel albo pensjonat, w którym możesz dziś przenocować?

– Pojadę za nią. Złapię stopa, dogonię ją.

– Nie, kochanie, nie chcę, żebyś się tym teraz zajmowała. Zatrudnię do tego profesjonalistę. Zapytaj w sklepie, czy w miasteczku jest hotel.

– Nie chcę. Chcę jej szukać.

– Rób, co mówię, Lea. Żadnych kłótni. Chcę, żebyś wróciła do domu.

Po chwili milczenia Lea westchnęła i powiedziała coś do kogoś w tle. Ruth usłyszała głos małej dziewczynki. Zdaje się, że tłumaczyła na angielski słowa jakiejś kobiety.

– Mogę przenocować u Claudii, ale...

– Żadnych ale. Prześpij się. Zarezerwuję dla ciebie taksówkę na lotnisko w Barcelonie na 4.45. O 7.50 odlatuje samolot do Glasgow. Bilet odbierzesz bezpośrednio w stoisku KLM-u. W Glasgow złap taksówkę i jedź prosto do domu.

– Nie! Nie mogę wrócić bez niej!

– Musisz. Lea, posłuchaj się mnie. Nigdy nie powinnam była wysyłać się tam samej. Teraz każę ci wracać do domu. Daj mi do telefonu tę dziewczynkę, która mówi po angielsku. Muszę wziąć od niej adres i telefon.

Po skończonej rozmowie Ruth powlokła się schodami na górę i zwinęła w kłębek w łóżku Lei. Miała parę rzeczy do zrobienia. Jakie to były rzeczy? Kupić dla Lei bilet. Zadzwonić do Michaela MacDonalda i poprosić go, żeby zatrudnił kogoś do szukania Su. Zamiast jednak zacząć działać, przykryła się całą kołdrą i starała się zrobić jak najmniejsza: schowała głowę w kolanach i owinęła ramionami nogi. Wciąż była za duża. Musi zamówić taksówkę na lotnisko w Barcelonie. Podwinęła palce u stóp, zacisnęła pięści i zamknęła oczy. Nie podziałało. Nadal istniała. Rozluźniła uścisk i włączyła telefon. Może załatwić wszystkie sprawy, nie wychodząc spod kołdry.

Strumień światła rozświetlił wnętrze jej kokonu. Dobrą chwilę zajęło, zanim dotarło do niej, że to Lea odchyliła róg kołdry. Widocznie w żałobie znika poczucie czasu, tak jak podczas snu. Do uszu Ruth dobiegły głosy dziennikarzy stojących pod domem i z twarzy Lei zrozumiała, że wie. Nie mówiąc ani słowa, córka wpełzła obok niej do łóżka i przykryła je obie kołdrą.

Godzinami leżały skulone w łóżku, mając przy sobie komórki i telefon stacjonarny. Płakały i przytulały

się, nie mówiąc ani słowa. Zignorowały dzwonek do drzwi. Gdy któryś z telefonów dzwonił, sprawdzały numer na ekranie, ale ani razu nie byli to Su ani MacDonald. Nie zwracały uwagi na dziennikarzy walących do drzwi i domagających się wywiadu. Pudroworóżowe słońce przebijało przez kołdrę. Patrząc na twarz Lei, Ruth mogła dostrzec łagodne, szaroniebieskie oczy Berniego i jego pełne, szerokie usta. Bernie był taki piękny. I był tu, w ich córce.

Dlaczego Ruth zawsze tak bardzo doskwierały jej relacje z Leą? Dlaczego zawsze skupiała się na negatywnych cechach – arogancji, niewdzięczności i lenistwie, typowych dla dziewczyny w jej wieku? Czasami Bernie przyznawał Ruth rację, że powinna zmienić swój stosunek do Lei, że faktycznie jest wobec niej niecierpliwa, krytyczna i surowa. I fakt, że zdarzało jej się faworyzować spokojną i opanowaną Su. Ale przekonywał ją też, że nie ma się czym zadręczać. „Jesteście ze sobą bardzo, bardzo blisko. Nie dostrzegasz tego? Kiedy dorośnie, będziecie nierozłączne, zobaczysz, obiecuję”.

W tej chwili czuła z Leą niewyobrażalnie silną więź. Gdy wreszcie zadzwonił MacDonald, obie zwlokły się z łóżka. Ruth chwyciła córkę za rękę i nie puszczała jej przez całą rozmowę z prawnikiem.

MacDonald powiedział, że poprzedniego dnia Su trzykrotnie wypłaciła pieniądze na lotnisku w Barcelonie: trzysta euro kartą Thomasa Cooka i dwa razy po trzysta euro Santanderem, raz wieczorem, a raz nad ranem. Kupiła otwarty powrotny bilet na lot do Seulu, który rozpoczął się dziś o dziewiątej trzydzieści rano i miał potrwać trzynaście godzin i pięćdziesiąt minut z przesiadką we Frankfurcie. MacDonald skonsultował się z pracownikami Lufthansy w Hiszpanii, Frankfurcie i Seulu i poprosił ich o przekazanie Su pilnej prośby o niezwłoczny kontakt z matką.

Ruth i Bernie czekali na ten moment od lat – a nawet mieli skrytą nadzieję, że nadejdzie. Często martwili się, że Su nie wydaje się zbyt zainteresowana odkrywaniem swoich korzeni. Wszystkie te lekcje koreańskiego i koreańskie przyjęcia i pikniki z Woojinem zdawały się ją drażnić i sprawiały, że zamykała się w sobie. Po jakimś czasie przestali ją do czegokolwiek zmuszać i postanowili poczekać, aż do tego dojrzeje. Jedyny raz napomknęła coś o swoim pochodzeniu kilka lat temu, gdy Woojin odnalazł biologicznego brata. „Zastanawiam się, czy w mojej rodzinie jest skłonność do raka szyjki macicy”, powiedziała jakby mimochodem, ale zaraz potem błyskawicznie zarzuciła temat. Gdy wyszła z kuchni, Ruth zganiła siebie w myślach. Nie powinna była pytać, czy Su martwi się swoim zdrowiem. Powinna była powiedzieć: „Może się dowiemy? Naszym zdaniem, to ważne. Będziemy cię wspierać. Pomożemy ci”.

Wspólnie z Berniem dyskutowali, czy powinni iść na górę i porozmawiać z Su, ale ostatecznie zdecydowali się tego nie robić. Być może źle odczytali jej intencje. Może wcale nie chciała rozmawiać o swoim pochodzeniu, ale o szczepieniach, które miały z Leą w szkole. Lepiej to zostawić, aż córka będzie gotowa.

Naturalnie, że oboje denerwowali się tą wizją. Jeśli Su nie znalazłaby żadnego śladu, mogłaby popaść w depresję albo stać się apatyczna. A odnajdując rodzoną matkę, ryzykowałyby ponownym odrzuceniem. Chcieli ją przed tym uchronić.

Oczywiście istniała też możliwość, że odnalazłaby swoją biologiczną matkę, ojca, rodzeństwo lub przyrodnie rodzeństwo i byłaby nimi zachwycona, chciałyby spędzać z nimi czas, i zaczęłyby odsuwać od siebie Ruth i Berniego. Mogłaby uznać ich za egoistów, naiwniaków, a może nawet rasistów. Stwierdziłaby, że przybrani rodzice postanowili uratować ją przed odmiennością Korei Południowej i podarować miejsce w ich białym, nadrzędnym świecie, w którym ona zawsze będzie „tą inną”. Od dawna prześladowała ich myśl, że może ludzie z opieki społecznej mieli rację.

Ruth rozumiała, dlaczego Su zdecydowała się poszukać odpowiedzi na te pytania właśnie teraz. Wstydziała się wracać. Bała się. A przede wszystkim chciała się dowiedzieć, kim, do cholery, jest

dziewczyna z nagrania. Czują się zagubiona.

Gdyby Bernie żył, pewnie czułby ulgę, że Su poleciała do Seulu. Często martwił się, że ich córka została stłamszona: zawsze opanowana, zawsze posłuszna. Bał się, że nigdy więcej nie zapyta o swoją rodzinę, a niepewność i rozgoryczenie zeżrą ją od środka. Miał nadzieję, że pewnego dnia się od nich uwolni. Byłby zachwycony, że ten dzień właśnie nadszedł.

Gdyby Bernie żył, Ruth także ucieszyłaby się z decyzji Su. Ale nie teraz. Jej córka będzie zupełnie sama w obcym państwie, gdy dowie się o śmierci taty. Będzie winić siebie. Będzie potrzebować mamy i siostry, ich pocieszenia, zapewnienia, że to nie jej wina. Rozmyślając o tym wszystkim, Ruth poczuła, że zbiera jej się na mdłości.

– Nie panikuj – uspokajała ją Lea. – To, że jest za granicą, wcale nie musi jej tego utrudnić. Musimy tylko z nią porozmawiać, przekonać ją, że to nie jej wina, i że ją kochamy.

– Jesteś pewna?

– Tak, absolutnie. Musimy z nią tylko porozmawiać. To dobrze, że postanowiła pojechać. Wiedziała, że to zrobi, w końcu jest Su-Jin. Wczoraj darła się na mnie i krzyczała. Mamo, ona była tak wściekła, że aż się jej bałam, ale w drodze do domu pomyślałam sobie, że Magaluf nie wydarzyło się bez powodu. Ona mówi teraz światu „spierdalaj” – nareszcie, co? Nie panikuj, weź jeszcze łyka wody, o tak. Su-Jin nie załamie się. Ona ma przetrwanie i walkę we krwi. Jest taka jak ty! Jeszcze łyk wody, o tak.

Lea wzięła do ręki telefon.

– Cherry i Bud powinni dowiedzieć się pierwsi – powiedziała, przekazując słuchawkę Ruth.

Ruth porozmawiała z matką Berniego, Cherry, a potem ze swoją matką. Zadzwoiła do sióstr Berniego, jego przyjaciela ze studiów Jamesa, Franka z orkiestry w Oregonie, Willa, którego znał od czwartego roku życia, i do szkoły, w której miał dziś prowadzić zajęcia. Zadzwoiła do jego kumpla Paula od kalamburów, trzech sąsiadów, z którymi się przyjaźnił, Norine ze sklepu na rogu, która go uwielbiała i zawsze dodawała mu kawałek domowego ciasta gratis do porannej gazety. Gregor płakał tak strasznie, że Ruth nie miała serca mu powiedzieć, żeby skończył ze swoim głupim blogiem. Lea zadzwoniła do Val, która albo się rozłączyła, albo zemdląła, bo w telefonie zapadła głucha cisza.

Po wszystkich telefonach Lea zajęła się przygotowaniem kolacji.

– Ostatnie, co do mnie powiedział, to „pieprz się”.

– O nie, serio? Nie myśl o tym, mamo, proszę. To tylko dwa z milionów słów, jakie do ciebie powiedział w życiu. Pokłóciliście się, to nic takiego. Jesteście normalni, to się kłócicie. Komu nie puściłyby nerwy w tej sytuacji? On cię uwielbia. Lubicie ze sobą spędzać czas. Jego ulubione miejsce na całym świecie jest tutaj, z tobą, z nami: ten dom, ten ogród, to drzewko wiśniowe, które posadził! Jest naprawdę szczęśliwym facetem. Był. Byliście naprawdę szczęśliwi razem. Jesteście. Byliście. Szlag.

Ruth zastanawiała się, czy duch Berniego nie wstąpił w Leę... Bernie powiedziałby dokładnie to, co ona, i dokładnie tym samym tonem. A kiedy wcześniej Lea przytuliła ją, zrobiła to tak, jak on: jedno ramię wyżej, jedno niżej, tak jakby w każdej chwili uścisk mógł zmienić się w taniec. Ruth nie pamiętała, kiedy ostatni raz córka uniosła rękę albo chociaż dłoń w odpowiedzi na jej przytulenie – to musiało być wiele lat temu. Duch Berniego ją opętał. I nie chodziło tylko o ten uścisk, ale też jej zachowanie, gdy Ruth wykonywała te wyczerpujące telefony, które zmuszały ją do przeżywania wszystkiego na nowo: „nie żyje... taksówka... zawał... niespodziewanie”. Przez cały czas Lea zachowywała spokój, w trudniejszych momentach głaszcząc ją po dłoni, dając jej siłę do kolejnej rozmowy. „Mówi Ruth Oliphant. Mam bardzo złą wiadomość... Nie żyje...”. I znów od nowa.

Gdy musiały jechać do domu pogrzebowego i za furtką napadli je żądni sensacji dziennikarze, Lea zachowała spokój tak, jak zrobiłby to jej ojciec, składając krótkie oświadczenie: „Jesteśmy pogrążone w żalu i prosimy o uszanowanie naszej prywatności”.

Na miejscu to córka podejmowała wszystkie decyzje, ponieważ Ruth płakała tak rozpaczliwie, że nie była w stanie złożyć ani jednego zdania. Kremacja będzie wyłącznie z udziałem rodziny, w małym pomieszczeniu z dyskretnym wejściem, w dość oddalonym krematorium w Clydebank. Przyniosą muzykę – płytę Berniego z czasów Orkiestry Symfonicznej Oregonu. To będzie skromna uroczystość, ale znajdą inną okazję, żeby uczcić jego pamięć. Ceremonia została zaplanowana o dziewiątej trzydzieści za trzy dni. Jeśli do jutra nie uda im się porozmawiać z Su, przesuną ją na sobotę, na trzynastą, ale rezerwacja była ważna jedynie do jutra do dwunastej trzydzieści.

Lea załatwiała wszystkie formalności tak sprawnie i spokojnie, jak Bernie, gdy organizował pogrzeb swojego teścia. Dlaczego Ruth zawsze uważała się za jedyne decydenta w ich małżeństwie? Każdego dnia, po cichu, Bernie podejmował niemal wszystkie małe decyzje, a jeśli się nad tym zastanowić, to zainicjował też co najmniej połowę tych największych. Naturalnie jego duch nie opętał Lei. Ale jeśli ich córka zawsze była aż tak bardzo podobna do ojca – dobra, mądra i kochająca – to Ruth nigdy wcześniej tego nie zauważyła. Dlaczego?

*

Ruth zjechała z głównej drogi i włączyła długie światła. Łatwo było przegapić niewielką tabliczkę ze skrętem do willi, więc jechała powoli, wyężając wzrok. Półtorej mili dalej wjechała na długi, stromy podjazd i zaparkowała pod basenem.

Wina nie zawsze zajmowała centralne miejsce w życiu Ruth. Za to, że tak się stało, obwiniła idiotów z opieki społecznej. Praca w sądownictwie sprawiła, że szukanie winnych musiało stać się jej nawykiem. W końcu na tym polegało jej zadanie. Dowiedzieć się, kto zawinił, i ukarać go. Wtedy wy, praworzędni obywatele, możecie odetchnąć z ulgą. Znow jesteście bezpieczni, a winni gniją w celi cuchnącej moczem i spermą. Bezpośrednio po publikacji nagrania Su jej żądza odnalezienia i ukarania winnego sięgnęła zenitu. W pierwszych dniach po śmierci i pogrzebie Berniego na pewien czas przycichła.

Ale potem wróciła. Ze zdwojoną siłą.

14.

„Spadówka”, myślę sobie, gdy stewardessa przekazuje mi wiadomość. Jeszcze nawet nie doleciałam do Frankfurtu, a już mnie namierzili.

– Dziękuję – mówię na głos, gdy kobieta kończy demonstrować mi obsługę pokładowego telefonu, z którego nie mam zamiaru korzystać. Kładę telefon na kolanach. Mam plan, który mi się podoba. Zadzwońię do domu dopiero, gdy wyląduję w Korei. Jestem zdania, że ojczysta ziemia pokrzepi mnie, ułatwi mi tę rozmowę. A przede wszystkim nie chcę, żeby mnie od tego odwieśli. Nie chcę, żeby mama wzbudziła we mnie poczucie winy, jak wtedy, w kuchni, tak jakbym zostawiała ją dla innej. Trzymam się planu. Zresztą już widzę, że dobrze mi to robi. Odkąd wpadłam na ten pomysł pośrodku ciemnej, hiszpańskiej szosy, ani razu nie uderzyłam się po głowie. *Siedem milionów trzysta tysięcy czterysta jedenaście?* I co z tego? Widział mnie Xavier z basenu? Ale mi nowina. Widzieli mnie Vera, Kelly-Marie, Jason, David i Veronica? Parskam pogardliwie i zaraz rozglądam się, czy aby ktoś mnie nie słyszał, bo parsknięcie było dość głośne. Ale nikt nie daje po sobie niczego poznać. Co mnie obchodzi, czy Cherry i Bud przeszli kilka kilometrów ze swojej hippisowskiej komuny, żeby obejrzeć u jednego ze swoich bardziej postępowych klientów, jak ich wnuczka obciąża facetom? Nic a nic. Jest mi to obojętne. Xano jest mi obojętny. Nie będę trawić energii na fantazjowanie, jak duszę go cienką, stalową linką.

Siedzę przy przejściu, obok pary dwudziestolatków. Dziewczyna trzyma głowę na ramieniu chłopaka, a on położył jej rękę na udzie. Minutę temu zaczął delikatnie poruszać palcami. Czułe głaśnięcia, które przyprowadzają ją o dreszcz podniecenia i rozkoszy. Jej reakcja zachęca go, więc przykrywa im obojgu nogi kocem. Nie obracam głowy ani o milimetr, ale doskonale wyczuwam, co się święci. W rzędzie dwunastym, miejsce A i B, uprawiany jest seks. Między moimi udami znów pojawia się uczucie ciężkości i tym razem jest to miłe. Delikatnie rozchyłam kolana i telefon upada na siedzenie pomiędzy moje uda. Kto wie, może jutro poznam jakiegoś fajnego koreańskiego chłopaka. Rozkładałam swój koc i przykrywam się od pasa w dół, a potem szybkim ruchem ustawiam telefon na właściwym miejscu. Mój Koreańczyk będzie dotykał mnie i pocierał między nogami. Próbuję to sobie wyobrazić. To będzie moje pierwsze doświadczenie, ziarno, które rozpali moją seksualność, które określi, co od tej pory będzie mnie podniecać. Mój pierwszy chłopak, który mnie dotyka.

Znikaj, Magaluf.

Mój chłopak dotyka mnie tam, w dole.

Zamykam oczy – *Znikaj! Koncentracja!*

Rozpływam się w wizji mojego pierwszego razu. Koreańczyk ma na imię Ji. Jest mężczyzną, nie chłopcem, i dość wysokiego wzrostu, jak na Koreańczyka.

Powiedziałam: wynocha z mojej fantazji, Coconut Lounge!

Jest niezmiernie przystojny, pożądam go wszystkie dziewczyny, ale on dotyka właśnie mnie. Mmmm.

Strasznie trudno jest mi wyprzeć Magaluf z tego obrazu. Staram się, ale ono wciąż powraca, więc ostatecznie ulegam i wpuszczam Ji do Coconut Lounge.

Mam wrażenie, że teraz wszyscy w rzędzie dwunastym, miejsca A, B i C, podskakujemy w jednym rytmie i w takt łagodnych, dogodnych dla nas turbulencji.

Dawaj, dawaj, dawaj, Ji!

Mój wysoki Koreańczyk w Coconut Lounge jest podniecony i nie ma żadnych problemów z erekcją.

„Tak, tak, tak”, jęczy spazmatycznie. „Ja... Ja zaraz...”.

Gdy otwieram oczy, para obok mnie chichocze, odwracając głowy. Widocznie wydałam z siebie jakiś niestosowny dźwięk.

Odpinam pas i biegnę do toalety, żeby się w spokoju wyśmiać.

Gdy wracam na miejsce, parka wpatruje się w telefon zwisający z mojego siedzenia niczym zużyta prezerwatywa.

Może myślą, że powinnam się wstydzić?

Pewnym ruchem wciskam telefon w statyw i siadam na miejscu.

Ha.

Mój pokój znajduje się na piątym piętrze nowoczesnego czterogwiazdkowego hotelu w Myeong-dong. Jest w nim wygodne, podwójne łóżko z szafkami po obu stronach (w jednej znajduję suszarkę, w drugiej biblię). Dolna połowa ścian jest wyłożone boazerią, górna połowa jest biała i pusta, bez obrazków. Naprzeciwko łóżka, we wnęce, stoi ława, a na niej telewizor z płaskim ekranem i trzema anglojęzycznymi, całodobowymi kanałami informacyjnymi, które boję się oglądać, a także czajnik i pilot do klimatyzacji, z której korzystam, bo na zewnątrz jest trzydzieści jeden stopni. Podobnie jak część sypialniana, wnęka mogłaby znajdować się w każdym hotelu w dowolnym kraju na świecie. Siedzę tu już od dłuższego czasu. Zastanawiam się, jakie są początki agorafobii i czy może mam już pierwsze objawy.

Po przylocie pojechałam taksówką na posterunek policji w Myeong-dong i przez dłuższy czas kręciłam się w pobliżu drzwi wejściowych. W tamtej chwili mój plan wciąż wydawał mi się doskonały. Upał, hałas i jaskrawość ulicy ekscytowały mnie i uspokajały jednocześnie.

Po latach spędzonych wśród białych nagle znalazłam się w otoczeniu ludzi o takim samym kolorze skóry, jak ja, co wydawało mi się dziwaczne i wspaniałe zarazem. Początkowo czułam się obco, nieswojo, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Ani jeden przechodzień nie zatrzymał na mnie dłużej wzroku, na żadnej twarzy nie pojawiło się pytanie: „Ciekawe skąd ona przyjechała? Co tutaj robi?”.

Z Google Earth wiedziałam, że przy wejściu do budynku policji znajduje się nieco jaśniejszy, prostokątny kawałek betonu, okolony przez ciemniejsze płyty chodnika. Półokrągłe drzwi zrobione były ze szkła. Mogłam dojrzeć przez nie kilka osób na ławce w korytarzu i dwóch policjantów za kontuarem.

Nikt nie spojrział na mnie dwa razy.

Czułam się tak niewidoczna, że odważyłam się pochylić i dotknąć ziemi. Biologiczna matka musiała mnie zostawić gdzieś w obrębie tego jaśniejszego prostokąta, prosto w przejściu, dzięki czemu łatwiej było mnie zauważyć. Wyobraziłam sobie pozostawiony koszyk z liścikiem. Dotykając betonu, myślałam: „Postawiła mnie w tym miejscu, a sama stała tu, gdzie teraz ja. Albo mnie postawiła tu, a sama stała tu... Albo może tu...I pochyliła się, o tak”.

Szklane drzwi otworzyły się, niemal uderzając mnie w głowę. Policjant krzyknął coś do mnie po koreańsku.

– Przepraszam, nie rozumiem – odpowiedziałam, wdzięczna, że jest to jedno z czterech zdań, którego nauczyłam się z płyt Rosetta Stone.

Oficer zamachał rękami.

– Sio! Sio!

Uciekłam przestraszona i zawstydzona. Pewność siebie, która towarzyszyła mi na rowerze i w samolocie, zaczynała topnieć. Byłam w tym kraju od godziny i już zdążyłam zrobić z siebie idiotkę. Może Magaluf było dopiero początkiem i odtąd całe moje życie będzie lawiną kolejnych kompromitacji. W uliczce obok uderzyłam się w głowę i powiedziałam na głos:

– Niniejszym przyrzekam, że nigdy więcej nie uderzę się w głowę.

Rozejrzałam się. W pobliżu nie było nikogo, kto by mnie usłyszał, albo zobaczył moje pierwsze objawy obłąkania.

Kupiłam sobie wspaniale wyglądające danie z ulicznej budki i gdy wbiłam w nie zęby, odkryłam, że to smażona kaszanka – żadna tam nowość dla rasowej Szkotki. Kupiłam sobie elegancki garnitur, buty, szorty, które mnie nie piły, bluzkę, nową baterię i kartę SIM do komórki, kosmetyki, i przybory toaletowe.

Zameldowałam się w hotelu. Czekałam godzinę, aż komórka się naładuje, kolejną godzinę, żeby ułożyć sobie w głowie swoją kwestię, całą noc, żeby się trochę zdrzemnąć, bo nie czułam się gotowa i liczyłam, że sen mi pomoże, i jeszcze kilka godzin następnego dnia, żeby spisać w hotelowym notesie to, co zamierzam powiedzieć rodzicom. Gdy wreszcie zrobiłam ten krok – wczoraj po południu – było za późno. Nie zdążyłabym do domu na czas.

W Szkocji jest teraz dziesiąta rano. Mój tata, Bernard Adam Brotheridge, leży w trumnie.

Oglądam filmik sprzed ośmiu lat, który przesłała mi Lea. Tata gra dla nas koncert w salonie. Jest cudowny, wygląda na tak szczęśliwego.

Jest dziesiąta osiemnaście. Jego ciało znika za kurtyną. Dziesiąta czterdzieści, płonie w piecu.

Płaczę tak mocno, jak mama i Lea. Czuję się tak samo smutna i pusta w środku, jak one. Ale mi jest bardziej przykro. Jest mi ogromnie, niewyobrażalnie przykro.

Od wczoraj nieustannie wiszę na telefonie, rozmawiając z mamą i siostrą – pewnie kosztuje to fortunę – a one powtarzają w kółko to samo. To nie moja wina. To była tykająca bomba. Czy chcę zobaczyć raport z sekcji zwłok? Tak, proszę. Mama przesyła mi go od razu. Okej, więc to serce, to stałoby się wkrótce niezależnie od wszystkiego. Wszystkie czytałyśmy raport i wszystkie powtarzamy to jak mantrę: to nie wina Su, to nie wina Su.

Żadna z nas w to nie wierzy.

Rozmawiałyśmy o ewentualnym przesunięciu pogrzebu – było miejsce w Falkirk, w poniedziałek, mogłabym złapać samolot do domu w niedzielę wieczorem. Ale ostatecznie przekonałam je, że nie powinnam przyjeżdżać. Jak by to było? Dziennikarze otoczyliby nasz dom. Założyłabym ciemne okulary, kapelusz, wymknęłabym się tylnymi drzwiami, zrobiłabym susa przez płot prosto do samochodu i położyłabym się płasko na tylnym siedzeniu, czając się przez całą drogę do Falkirk. Wchodząc do krematorium, słyszałabym krzyki: „Czy obwiniasz siebie za śmierć ojca?” „Czy to twoja wina?”, i wszyscy w myślach odpowiadałoby za mnie. W środku ukryłabym się za kotarą albo pod stołem. Tak, to moja wina. Umarł przeze mnie, a teraz jeszcze zepsułam mu pogrzeb. Przekonałam mamę i Leę, że tata nie chciałby stawiać mnie w takiej sytuacji. Wolałby, żebym została tu, gdzie jestem, w bezpiecznym, ładnym hotelu, i pożegnała się z nim w swoim czasie, na swój własny sposób.

– Złapię samolot następnego dnia – obiecałam. Stek bzdur. Powinnam tam być. Potrzebuję tam być.

Znów zaczynam się rozklejać, ale mama dzwoni w samą porę, żeby temu zapobiec.

– Jedziemy już do domu – mówi. – Było w porządku. Jakimś cudem wytropiło nas dwóch dziennikarzy, ale chyba byli bardzo rozczarowani, bo gdy wyszliśmy, już ich nie było. Su, to byłby jakiś koszmar, gdybyś przyjechała. A tak poszło okej. Tak jak mówiłyśmy, krematorium to tylko formalność, to nie miałoby dla taty żadnego znaczenia. Dla niego liczyłoby się tylko to, że jesteśmy bezpieczne i że się kochamy, i że zawsze będziemy go kochać i o nim pamiętać. Uczymy jego pamięć jak należy we właściwym czasie, wszystkie trzy. Pamiętasz, co ci mówiłam?

Mama od wczoraj mówiła mi dużo ważnych i mądrych rzeczy, ale wiem, co ma na myśli. Chodzi jej

o drugi powód mojego pozostania w Seulu.

– Zrobiłaś pierwszy krok – powiedziała. – Nie stchórz teraz.

Kto by przypuszczał, że rodzice chcieli tego dla mnie? Myślałam, że jestem taka przenikliwa.

– Powinnam może powiedzieć, żebyś się nie spieszyła, że dopiero co zmarł twój tata, że powinnaś się gdzieś zaszyć i płakać tygodniami jak normalni ludzie, ale pieprzyć to. Jesteś tam. To jest teraz twój czas. Tata chciałby, żebyś to zrobiła. – W tle słysząc głos Lei. – Lea też mówi, że powinnaś to zrobić. Weź całą swoją żalobę i złość, i swój strach, zrób z nich jedną wielką kulę energii i wykorzystaj ją, Su. Wykorzystaj ją, żeby zrobić to, co trzeba. Ja w każdym razie zamierzam.

Słowa mamy są dla mnie tak kojące, że nie przychodzi mi do głowy zapytać, co takiego ma do zrobienia. Coś jednak przeczuwam.

15.

Gdy dziewczynki poszły do szkoły, Ruth dostała pracę w kancelarii prawnej Gills & Skelton. Aby pogratulować i dodać jej otuchy, Bernie zatrudnił czterech robotników, żeby zaadaptowali ich poddasze na domowe biuro. Schody z hallu na pierwszym piętrze prowadziły do ogromnego, wyłożonego wykładziną pokoju z trzema masandrowymi oknami w skosach i drzwiami oddzielającymi gabinet od niewielkiego przedsionka. Gdy Ruth zamykała się w swoim biurze, rodzina dobrze wiedziała, że nie należy jej przeszkadzać. Rozumieli wagę jej pracy i potrzebę koncentracji. Gdy nazwisko Oliphant zostało dodane do Gills & Skelton, Bernie kupił jej to antyczne biurko z ciemnego drewna, przy którym siedziała teraz. Lustro w zdobionej ramie na ścianie naprzeciw biurka sprezentował jej, gdy została panią szeryf.

Od pogrzebu regularnie sprawdzała swoje odbicie w lustrze, podnosząc głowę znad biurka. *Odpowiedz szczerze, Ruth. Czy robisz coś, co może ci przysporzyć problemów? Czy zaczynasz wariować? Czy straciłaś nad sobą kontrolę?*

Kupiła bardzo drogie oprogramowanie i godzinami poznawała jego tajniki. Na ekranie komputera wnikliwie studiowała pierwszą, próbną scenę, którą udało jej się zmontować: zdjęcie uśmiechniętego mężczyzny z podłożonym prawdziwym śmiechem. To była króciusiańska scena, którą prawdopodobnie będzie musiała zmienić albo w ogóle wyciąć, ale przynajmniej ma dowód, że udało się jej czegoś nauczyć. Jakie to przyjemne! Wyciągnęła triumfalnie ramiona, gratulując sama sobie. Potem znów zerknęła w lustro. *Czy robisz coś, co może ci przysporzyć problemów? Czy zaczynasz wariować? Czy straciłaś nad sobą kontrolę?*

Nie.

Okej, może to trochę dziwne, że siedzi ubrana w swoją pamiątkową, pierwszą perukę i togę, które zachowała z sentymentu. Podeszła do lustra, zdjęła perukę i zsunęła z siebie togę. Kobieta, która stała przed nią, miała sto sześćdziesiąt pięć cm wzrostu. Jej ciało było smukłe, bez grama tłuszczu, nawet nieco wychudzone. Ubrana była w czarne spodnie do jogi, srebrny, sportowy podkoszulek i adidas. Jej ręce drżały. Niebieskie żyły rysowały się grubymi liniami pod skórą na nadgarstkach i knykciach. Pofarbowane na brązowo włosy straciły dawną sprężystość i formę, a odrostom przydałoby się malowanie. Od nosa na zewnątrz policzków biegły pajęczki naczynek. Jej oczy były czerwone, worki pod nimi głębokie i ciemne. W jednym kącie bladych, popękanych i suchych warg jątrzył się zajad.

Ruth pośpiesznie włożyła togę i perukę z powrotem na siebie. Usiadła na krześle i uderzyła pięścią w stół. *Nie. Nie.*

W rozmowie z Su Ruth była absolutnie szczerą. Pogrzeb był tylko formalnością. Gdy weszła do zarezerwowanego dla nich, dyskretnego pomieszczenia na tyłach domu pogrzebowego, zajęła honorowe miejsce na plastikowym, szarym krześle w pierwszym rzędzie i włączyła nagrywanie w telefonie, była pewna, że nieobecność Su była mądrym wyborem.

– Karawan spóźni się, stoi w korku – szepnął pastor chwilę później. – Ale niedługo powinien dotrzeć.

Jego oddech cuchnął żywą ropą. Dla poprawy atmosfery włączył płytę, którą przyniosła Lea, maksymalnie ścisząc głos. Na przenośnym odtwarzaczu skrzypce Berniego brzmiały skrzypliwie, a po około minucie nagranie się zacięło. Lea wyłączyła magnetofon, a potem wróciła na krzesło numer dwa, żeby dalej trzymać numer jeden za rękę.

– Po co to nagrywasz? – zapytała matkę.

– Właściwie nie wiem.

Trumna dojechała z dziesięciominutowym opóźnieniem, co oznaczało, że na ceremonię zostało im również dziesięć minut.

– Przykro mi, ale mamy rezerwację za rezerwacją przez cały dzień – rzekł pastor, jeszcze raz zionąc w ich stronę ohydny oddechem, zanim przeszedł do części oficjalnej.

Nie znał Berniego i czytał z kartki, którą wręczyła mu Lea, tak sztucznie ponurym głosem, że Ruth miała ochotę na niego splunąć.

Karawan się spóźnił, krzesła były plastikowe, dywan wytarty, tapeta obdarta, stary magnetofon zepsuty, a Su nieobecna. Na kremacji było jeszcze pięć osób – matka Ruth i jej siostra z mężem oraz druga siostra z partnerem. Obie z Leą postanowiły nie zapraszać przyjaciół Berniego, bojąc się, że będą nagabywani przez dziennikarzy, ale teraz Ruth żałowała tej decyzji. To był pogrzeb wyrzutka społeczeństwa: pedofila albo stulatka, który przeżył całą rodzinę, a przyjaciele nie powiadomili pracownicy domu opieki zniechęceni latami użerania się z alzheimerem denata.

Gdy trumna sunęła w stronę fioletowej kotary, Ruth usłyszała dźwięk powiadomienia w czyimś telefonie. Zastanawiała się, ilu ludzi na świecie w tej właśnie chwili ogląda filmik z Su. Dzieciaki w szkole, pracownicy call centre, japoński biznesmen w pociągu do Tokio, kuzynka Berniego Gemma w San Francisco. Może oglądał go nawet ktoś w tym budynku – na przykład znudzony nastolatek na pogrzebie babci w sali obok.

To była ich rodowa spuścizna.

Pamiętacie Berniego Brotheridge'a?

Jego córka była w seksfilmiku!

Mechanizm taśmy wyhamował ze zgrzytem, gdy tylko trumna zniknęła za kotarą, co było dla Ruth zaskoczeniem, bo myślała, że prowadzi prosto do pieca. Zza kotary dobiegły ją czyjeś szepty, głośny, głuchy brzęk, potem kolejny. Pewnie obsługa w roboczych kombinezonach przerzuciła ciało na wózek niczym bagaż lotniczy, żeby przewieźć je w głąb budynku i zdeponować za obskurnymi drzwiami zwykłego pieca niczym zapiekanekę.

Ktoś zaszlochał za jej plecami. Chyba jej młodsza siostra, Marie. Lea wzięła Ruth za rękę, ale ona, po raz pierwszy od kilku dni, nie miała na to ochoty. Pastor spojrział na zegarek, podniósł fotografię w ramce, która stała obok trumny, i wręczył ją Ruth z opanowanym do perfekcji uśmiechem szczerego współczucia. Ruth spojrzała na zdjęcie. Zrobiła je Su podczas urodzin Berniego w listopadzie zeszłego roku. Mąż siedzi na nim rozpromieniony przed gigantycznym tortem czekoladowym, który upiekła Lea. Na jego twarzy maluje się wyraz takiego szczęścia, że udzieliło się ono Ruth. Mimowolnie odwzajemniła uśmiech.

O którym Berniem mówisz?

O tym, co wychowywał tę koreańską dziwkę.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Czy mogę pójść zobaczyć się z Millie i Natashą? – zapytała Lea, gdy dojeżdżały do domu.

– Mogę u nich trochę posiedzieć? Dasz sobie radę?

– Jasne, to dobry pomysł.

Kretynki czy nie, Ruth chciała być teraz sama ze swoją wściekłością, która od czasu rozmowy z Su urosła do niepokojących rozmiarów. To oczywiste, że Su powinna zostać w Seulu i podjąć działania, na które Ruth i Bernie od dawna czekali. Każde słowo Ruth było wypowiedziane szczerze. Ale gdy tylko skończyła rozmawiać z córką, poczuła w sobie rosnącą agresję. W tej chwili miała ochotę złamać Millie

nogę cegłą. Mogłaby dźgnąć Natashę w szyję kuchennym nożem. Gdyby miała broń, postrzeliłaby tę dziewczynę na ulicy, która śmieje się z czegoś w swoim telefonie (Ruth dobrze wiedziała z czego). Potrzebowała czasu i przestrzeni, żeby ochłonąć.

W ich domu było sporo pokoi – cztery na parterze, pięć na pierwszym piętrze. Ruth obeszła każdy z nich dookoła po kilka razy. Ale zamiast ją uspokoić, pokoje jeszcze potęgowały jej złość. To tu jej szczęśliwa rodzina jadła urodzinowy tort, tu stoi zdjęcie Ruth w jej pierwszej w życiu peruce, a tu cała ich czwórka na plaży w Viareggio w zeszłym roku (ich najlepsze wakacje), tu koreańska flaga, tu wręczenie nagrody Su, a w tym miejscu Bernie próbował wyhodować sałatę w słoiku. Ruth zatrzymała się w salonie, porażona pewnym wspomnieniem. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, wchłaniając ten obraz. Kiedy dziewczynki były malutkie, Bernie często grał im na skrzypcach: kołysanki przed snem, wesołe melodie w ciągu dnia. Gdy Su miała osiemnaście miesięcy, a Lea dziewięć, Ruth nagrała, jak Bernie wykonuje dla nich „Caledonię” – współczesną szkocką balladę folkową. Obie były zmęczone i marudne po dłuższej jeździe samochodem. Ojciec postawił je obok siebie w fotelikach samochodowych na podłodze w dużym pokoju i zaczął grać. Osiemnastomiesięczna Su była niewiarygodnie śliczna i niemal dwukrotnie większa od swojej młodszej siostry. Na tamtym etapie różnica wieku między nimi wydawała się ogromna. Na dźwięk skrzypiec obie córki od razu się uspokoiły, zafascynowane pięknem melodii. W kulminacyjnym punkcie piosenki Bernie specjalnie zagrał fałszywą nutę, karcąc samego siebie szybkim „Oj!”, a następnie wrócił do gry – podpatrzył to u słynnego duetu komediowego, Morecambe’a i Wise’a. W odpowiedzi Su wybuchła śmiechem, machając histerycznie nogami i rękami. Ten niemowlęcy atak wesołości okazał się zaraźliwy i malutka Lea dołączyła do niej, również pomagając sobie wszystkimi czterema kończynami. Fałszywa nuta i „Oj!” taty rozśmieszało je przez całą piosenkę. Ruth zauważyła, że w którymś momencie siostry wzięły się za ręce. Przyjrzała im się uważniej. To była najzabawniejsza i najśladźniejsza scena, jaką kiedykolwiek widziała.

Lea wysłała ten filmik do niej i do Su przed pogrzebem. Ruth siedziała pogrążona w myślach z laptopem na kolanach. Mogłaby obejrzeć go teraz. Rozbawiłby ją. Poprawiłby jej humor. Ale nie mogła. Zamiast tego wyszła do ogrodu. To była jego ulubiona róża, tutaj robił żeberka na grillu. To drzewko wiśniowe, które posadził, teraz wysokie na sześć metrów, a pod nim ławka, którą zbudował, na której lubił czytać i rozmyślać. Jego najukochańsze miejsce na Ziemi.

Wróciła do środka i wbiegła na poddasze, przeskakując po dwa stopnie na raz. Wyjęła z szafy wnękowej swoją pamiątkową perukę i togę, założyła je na siebie i usiadła przy biurku. Włączyła na laptopie nagranie z Magaluf i zaczęła notować.

Jakie uczucia wzbudzało w niej to zdarzenie?

Pieprzona suka. Ssij, kurwo...

Agresję.

Po drugie, okoliczności sprawy. Jakie fakty ustalono do tej pory?

Su padła ofiarą napaści na tle seksualnym, której dopuściło się dwunastu mężczyzn w Magaluf. Jakiś mężczyzna nagrał ją bez jej zgody i udostępnił filmik całemu światu. W efekcie przyszłość Su legła w gruzach, co skłoniło ją do poszukiwania dla siebie innej, lepszej matki w Korei Południowej, kariera Ruth zawisła na włosku, Lea prawdopodobnie paliła teraz zioło z dwiema kretynkami, które miały udział w doprowadzeniu do całego zdarzenia, a Bernie nie żył.

Okej, jakie przepisy zostały naruszone? Żadne.

Ruth nie mogła przejść do trzeciego etapu przygotowawczego. („Jakie pytania nie zostały zadane? Które pozostawiono bez odpowiedzi?”), ponieważ było jasne, że nie złamano żadnego prawa, a więc nie

dojdzie do procesu.

Dostrzegła swoje odbicie w lustrze – wyglądała na obłąkaną. Dlaczego miała na sobie starą perukę i togę? Zerwała się z miejsca, zdjęła bezcenne lustro z haka i popchnęła je po dywanie w stronę szafy wnękowej. Bez lustra ściana naprzeciwko biurka była tylko przepastnym kawałkiem nagiej bieli.

Nie dojdzie do procesu?

O nie – proces będzie.

Na zmianę pauzując i powiększając obraz, czuła, że się uspokaja. Wybrała najlepsze ujęcia poszczególnych sprawców, wydrukowała je na kartkach A4, podzieliła na kupki i ułożyła na biurku.

Pobiegła na dół po młotek i pinezki, ciesząc się, że Lea nie wróciła jeszcze do domu i nie zastała jej w tym stroju. Zamknęła drzwi od poddasza na klucz i wzięła pierwszą kartkę z najgrubszego stosu. To było zdjęcie Lei, zrobione w tłumie gapiów otaczających Su, z których wszyscy byli tak samo winni bycia świadkami zbiorowego gwałtu, nakłaniania do niego i niezgłoszenia go na policję. Lea znajdowała się na samej górze listy, bo ona przede wszystkim powinna była powstrzymać całe zdarzenie. Następne w kolejce były Millie i Natasha. Ruth zatrzymała się nad zdjęciem Lei. Jej córka była pochylona i słała się na nogach. Jej źrenice były wielkości szpilek. Po brodzie ściekała jej ślina. Ale nawet gdyby nie była aż tak pijana, Ruth nie wymierzyłaby jej kary. Z typową dla siebie logiką i konsekwencją, w których nie było ani kropli szaleństwa. (A może powinna się upewnić? Gdzie lustro?), wrzuciła zdjęcia Lei, Millie, Natashy i innych niezidentyfikowanych gapiów do kosza.

Winni? Owszem, ale ułaskawieni. Zbrodnia pozostanie w ich aktach, ale nie będą podjęte dalsze środki.

Druga kupka była dużo mniejsza. Ruth podniosła pierwsze zdjęcie, przyłożyła je do ściany na samym dole i przybiła jednym, głośnym uderzeniem młotka. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę od pasa w dół. Miał białe, sportowe buty z białymi sznurówkami i czarnymi oczkami. Jego szorty także były białe, podwinęte u dołu i spuszczone do kostek. Bokserki były szare. Kawałek wiotkiego, różowego członka wystawał spomiędzy guzików. U góry zdjęcia Ruth napisała czarnym markerem: „Euan Grier”. Znow usiadła za biurkiem i oświadczyła głośno:

– Euanie Grierze, sąd uznaje cię winnym bycia mizoginistycznym dupkiem, co prawdopodobnie zostało spowodowane lub spotęgowane przez fakt, że twój penis pod względem rozmiaru plasuje się znacznie poniżej średniej krajowej i że ci nie staje. Ponadto sąd uznaje cię winnym głupoty i upojenia w stopniu, który skłonił cię do spuszczenia spodni w miejscu publicznym. Euanie Grierze, sąd uznaje cię winnym napaści na tle seksualnym.

W niespełną godzinę później ścianę zdobił trójkąt oskarżonych. Dwunastu mężczyzn, którzy wepchnęli swoje członki do ust Su, stanowiło obramowanie trójkąta. Poza Euanem żaden z nich nie miał żadnych przydatnych znaków charakterystycznych, poza chłopakiem z wyjątkowo długim i cienkim penisem, który wyróżnił się na nagraniu (ale trudno byłoby wszcząć poszukiwania w oparciu o taki profil). Pośrodku trójkąta wisały dwa zdjęcia w formacie A3 – naganiacza z gołą klatą i tatuażem w kształcie ptaka, i właściciela baru, Gary’ego Smythe’a. Znalazła je w którymś z ostatnich artykułów internetowego „Guardiana”.

– Wytatuowany naganiaczu, który oferujesz dziewczynom darmowe drinki, darmowe Jägerbomby, i Gary Smycie, który nie czujesz się w obowiązku przeproszać, sąd uznaje was winnymi bycia szowinistycznymi świniami, rozprowadzania twardych narkotyków, sprzedaży alkoholu nieletnim oraz zaaranżowania i podżegania do gwałtu na mojej córce i prawdopodobnie wielu innych dziewczynach przed nią.

Górna część ściany była cała dla Xano. Przed rozpoczęciem „procesu” Ruth przybiła tam kilka kartek z informacjami, które udało jej się dotąd wyszukać: zdjęcie ramienia Xano obejmującego kobietę

w białym podkoszulku w Coconut Lounge, zbliżenie na jego czerwoną bransoletkę i pierścień, transkrypcję jego wypowiedzi z nagrania („zachodnio-szkocki akcent” – podkreśliła w odrębnej notatce). Następnie dodała szczegóły, które dopiero co odkryła – nazwę jego własnego kanału na YouTube („The!Next!Stanley!”), jego profil („brytyjski reżyser filmowy”) oraz tytuły i początkowe sceny siedmiu innych filmików, które „wyreżyserował” i wgrał do sieci, wszystkie z udziałem kobiety w średnim wieku z wydatnym biustem ubranej niczym Dolly Parton. We wszystkich filmach – zatytułowanych „Utalentowana Marmie części 1 do 7” – kobieta stała na brzydkim, czarnym stoliku kawowym z mikrofonem w rękę i śpiewała łzawe piosenki Dolly (które w sumie blisko przypominały oryginał) do kamery. Wyglądało na to, że jest u siebie w domu, w depresyjnym, klaustrofobicznym salonie. Stolik, narożnik obity czerwoną skórą, wulgarnie wielki telewizor, paskudna niebieska tapeta z pasującym obramowaniem i małe okno z widokiem na niebo, typowym dla wielkomiejskich mrówkowców. Utalentowana Marmie, być może matka Xano, mieszkała w wysokim bloku gdzieś w pobliżu Glasgow.

– Xano, sąd uznaje cię winnym sfilmowania gwałtu na mojej córce, publikowania obraźliwych materiałów wideo, udostępniania obscenicznych treści bez zgody osób zaangażowanych. Winnym zniszczenia życia Su Brotheridge-Oliphant, jej poczucia własnej wartości, pewności siebie, przyjaźni, obecnych i przyszłych związków, jej seksualności, kariery i całej jej przyszłości. Winnym zrujnowania mojej kariery zawodowej, mojego życia, wszystkiego, na co pracowałam i co kochałam. Wreszcie, sąd uznaje cię winnym zabójstwa Bernarda Brotheridge’a.

Po skończonym procesie Ruth uspokoiła oddech, wyjęła z szafy lustro i oparła je o biurko. *Czy robisz coś, co przysporzy ci problemów? Czy zaczynasz wariować? Czy straciłaś nad sobą kontrolę?*

Po stwierdzeniu, że nadal jest na tyle opanowana, aby zadać sobie te pytania, i odpowiedzieć na nie trzykrotnym „nie”, ponownie schowała lustro do szafy i usiadła przy biurku, żeby przeanalizować swoje dalsze kroki i dostępne opcje.

Siedziała tak dobrych kilka godzin, gdy Lea zapukała do drzwi.

– Mamo, jesteś tam? Wszystko okej? Mamo!

Była pochłonięta pracą i chyba nie dała dość zadowolającej odpowiedzi, bo po kilku minutach córka wróciła.

– Może ci coś przynieść?

– Nie, dzięki kochanie. Pracuję.

Dziesięć minut później:

– Chodź na dół, zrobiłam supę.

Co najmniej godzinę potem:

– Otwórz, niosę supę!

Lea zaczynała działać Ruth na nerwy. Wybijała ją z rytmu.

– Super, dzięki skarbie, postaw po prostu przy drzwiach, wezmę za chwilę. Czeka, jesteś tam jeszcze? Jestem właśnie na Facebooku. Dodasz mnie do znajomych?

– Okej – odpowiedziała Lea, ale jej głos zabrzmiał niepewnie.

– Poprosisz o to Millie i Natashę?

– Dobrze, a po co? I dlaczego nie mogę do ciebie wejść? Wpuść mnie!

Ruth z ociąganiem oderwała się od komputera i uchyliła drzwi na kilka centymetrów.

– Wszystko w porządku. A ty co? Smutno ci samej na dole?

– Millie i Natasha są u nas.

Ruth zacisnęła mocniej szczęki. Jeszcze mogła wyciągnąć zdjęcia dziewczyn z kosza i przybić je do ściany.

– To możesz od razu poprosisz, żeby dodały mnie do znajomych?

Lea trzymała tacę z rosółem, chlebem z masłem i sokiem pomarańczowym. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

– Pod warunkiem, że pozwolisz mi wejść. – Popchnęła drzwi łokciem, weszła do środka i postawiła tacę na biurku. – Przecież nienawidzisz Facebooka. Co ty kombinujesz?

Dzięki bogatemu doświadczeniu w rozmowach z kłamcami Ruth wiedziała, że najlepiej jest trzymać się blisko prawdy, ale nie wyjawiać jej w całości.

– A nic, zrobiłam taki filmik. Kupiłam fantastyczny program. Dzięki za zupę.

Lea zauważyła kartki przybite do ściany.

– A to co? Chryste, mam, nie możesz już zapomnieć o Magaluf?

Zapomnieć o Magaluf? Nie, nie będzie się znów złościć się na Leę. Już nigdy więcej.

– Moja praca polega na tym, żeby weryfikować, czy prawo nadała za współczesnością.

– Od kiedy to sędziowie wgrywają filmiki na Facebooku?

– Zdecydowałam, że w tym przypadku będzie to najlepsza metoda.

– Ale co to za film?

– Viral.

Lea parsknęła śmiechem.

– Aaaa... *Viral*.

– Dobra, mądralo, to powiedz mi, jak zrobić viral.

– Nie powiem, dopóki ty mi nie powiesz, o czym on jest.

– No dobra. Jest o prawie i pornografii.

Lea odetchnęła z wyraźną ulgą, że nie jest to coś, co mogłoby ją skompromitować, i ruszyła w stronę drzwi.

– Jeśli ci to pomaga, to nie będę przeszkadzać.

– Moment, nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– To nie takie proste. Dużo zależy od szczęścia i momentu, w którym udostępnisz filmik. Może stać się viralem, jeśli jest obrzydliwy, kompromitujący, śmieszny – na przykład jak ten o słodkim dzieciaku półprzytomnym po wyjściu od dentysty. Albo przerażający, nie ma to jak efektowne ścięcie głowy. Generalnie powinien być o kimś, kto zrobił coś strasznego. I najlepiej zwerbować kogoś znanego, żeby go rozreklamował – mocne typy to Kim Kardashian albo Paris Hilton, wtedy masz virala na bank. Tulisa z X-Factora zrobiła filmik po tym, jak jej eks opublikował seks-taśmę z ich udziałem. Ale mało kto się nim zainteresował, bo brzmiał nudno – podobnie jak twój. Jeśli chcesz mieć więcej odsłon, powinnaś zatrudnić jakiegoś guru od mediów społecznościowych, choć pewnie nawet on by nie pomógł. Nikt nie będzie chciał oglądać wykładów o prawie, chyba że Keira Knightly czytałaby je nago.

Zamknąwszy ponownie drzwi na klucz, Ruth spojrzała na fragment filmiku, nad którym pracowała, króciutką scenę z podłożonym głosem lektora (wyszło genialnie!). Pomysł na idealną karę przyszedł jej do głowy w chwili, gdy skończyła przybijając zdjęcia do ściany. Zadzwoiła do MacDonalda ze świeżą listą zadań do wykonania, a potem skazała Euana Griera na to nagranie:

Głos lektora: Oto Euan Grier, absolwent Woodvale High School. Ma osiemnaście lat i postanowił zrobić sobie rok przerwy przed studiami. Euan jest bardzo zabawny...

Zdjęcie uśmiechniętego Euana (skopiowane z bogatego albumu na Facebooku, który został naiwnie ustawiony jako publiczny), z podłożonym odgłosem męskiego śmiechu: *ha, ha, ha*.

Lektor: Euan lubi sport...

Zdjęcie Euana podnoszącego ciężarki.

Lektor: ...wyrwać Hinduski, jamować z Andrew Ingisem i Willem Fredericksonem i pić wszystko,

co ma więcej niż 35%...

Pokaz slajdów z Coconut Lounge, migające w zawrotnym tempie zdjęcia Euana pijącego piwo, niebieski koktajl, czerwony koktajl, setkę wódki, i kolejną, i kolejną (serio, powinna zostać reżyserem, jak Xano).

Lektor: Może nie uwierzycie, ale Euan Grier jest singlem!

W tle odgłosy braw i zrzut ekranu ze statusem Euana z Facebooka.

Lektor: To jego buty...

Zdjęcie białych sportowych butów z białymi sznurowadłami i czarnymi oczkami i spuszczone do kostek szortów.

Lektor: A to jego fiutek...

Zbliżenie na penisa Euana.

Lektor: Przepraszamy, musimy powiększyć obraz...

Zbliżenie.

Lektor: Euan lubi grać na gitarze powietrznej...

Zdjęcie Euana grającego na gitarze powietrznej ze wspomnianymi wcześniej kolegami. Ich imiona są dopisane w dymkach. W tle podłożony śmiech jak z sitcomu, który stopniowo cichnie.

Lektor: I wykorzystywać seksualnie kobiety!

Zbliżenie na Euana, który chwytając kobiecą głowę za włosy i wpycha ją sobie w krocze.

Lektor: Tu właśnie widzimy przykład.

Zbliżenie na jego oklapły członek, który wpycha komuś do ust. (Nie można rozpoznać, że to Su).

Lektor: Jak widać, nie staje mu, co dla przestępcy seksualnego musi być niezmiernie frustrujące.

Euan pompuje zawzięcie z wyrazem wściekłości na twarzy, jakby próbował zatłuc Freddy'ego Krugera na śmierć.

Lektor: Drogie panie, Euan Grier jest do wzięcia!

Na ekranie znów pojawia się ujęcie penisa Euana drgającego w takt głośnego śmiechu: *ha, ha, ha!* Po chwili pojawiają się napisy końcowe:

EUAN GRIER

18

WOODVALE HIGH

CHEETHAM HILL

LUBI HINDUSKI

NIE MOŻECIE TEGO PRZEGAPIĆ!

NAPISZCIE DO NIEGO JUŻ DZIŚ:

FACEBOOK.COM/EUAN.GRIER

09738 285286

Nie było źle, jak na pierwszą z dwóch wprawek, które planowała przed swoim wielkim dziełem. Bardziej obrzydliwe niż szydercze, ale z całą pewnością kompromitujące. Ruth była pod dużym wrażeniem swojego debiutu, który udało jej się zrealizować bez łamania ani jednego przepisu. Nic a nic jej nie obchodziło, co pomyślą sobie ludzie, oglądając filmik na Twitterze albo słysząc o nim w radiu czy w głównym wydaniu wiadomości. Pogarda czy przestroch były małą ceną za skupienie na sobie uwagi świata. Wgrała filmik na utworzonym przez siebie kanale na YouTube, swoim koncju na Twitterze i swoim świeżo założonym profilu na Facebooku. Super, wszystkie trzy dziewczyny dodały ją do znajomych. Opublikowała nagranie na ich osiach czasu z podpisem: „Proszę udostępnić LOL”. Za bardzo się jej boją, żeby odmówić. Może nawet stwierdzą, że filmik jest śmieszny, i z chęcią podzielą się nim z przyjaciółmi. To był test, który miał pokazać jej, czy filmik się rozprzestrzeni, pozwoli jej

wyciągnąć wnioski i zrobić następny, jeszcze lepszy.

Czekając na kolejne odslony, zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby dotrzeć do „mocnych typów”, o których mówiła Lea, jakiejś Kim i kogo tam jeszcze? Nie, te osoby Ruth będzie musiała sobie odpuścić, nie miała pojęcia, kim są ani czym się zajmują. Potrzebowała jakiegoś megalozwiska, gwiazdy. Zbada sprawę i wybierze odpowiednią celebrytkę. Może nawet zatrudni specjalistę od mediów społecznościowych, jak radziła córka. Miała tyle do zrobienia! Na moment zapomniała nawet, że Berniego nie ma na dole, a Su jest dzieckiem innej kobiety.

Kilka godzin później Ruth była tak pochłonięta montowaniem drugiego filmiku, że zignorowała telefon, który dzwonił tuż przed jej nosem. Szukała odpowiedniego zdjęcia do jednej sceny. Dzwonienie ucichło. Drugi filmik miał dotyczyć właściciela Coconut Lounge, jedyne go sprawcy poza Euanem, którego udało jej się zidentyfikować. Znając jego nazwisko i miejsce pracy, udało jej się dotrzeć do paru przydatnych informacji. Gary Smythe miał 39 lat, żonę i dwójkę dzieci, pochodził z Yorkshire, niedawno pochował swoją siostrę-bliźniaczkę, Sally, i chorował na astmę. W sieci można było znaleźć trzy jego zdjęcia, wszystkie nudne, portretowe. Żadnego pikantnego. Ona potrzebowała pikantnego.

Gdy telefon ponownie zabrzączał, odebrała od razu. Dzwonił MacDonald.

– Co masz na Smythe’a?

– Cześć, Ruth. Właściwie to chciałem do ciebie wpaść.

– Nie, nie teraz. Mów szybko, co masz. Jestem w ciągu.

– Naprawdę ma 42 lata, jest w separacji. Jego eks ma dwójkę dzieci ze swoim byłym. Faktycznie pochodzi z Yorkshire, ale jest jedynakiem, ta historyjka ze zmarłą siostrą to jakaś bzdura, nie wiem, skąd się wzięła. W ciągu ostatnich trzech lat był trzykrotnie skazany, dwa razy za posiadanie... czekaj... diamorfiny i znów diamorfiny, i raz za zamiar rozprowadzenia amfetaminy. Żona wróciła do byłego dwa miesiące po tym, jak Gary dostał pięć lat, a jego ojciec zmarł trzy tygodnie później, zostawiając mu w spadku fortunę. Wyszedł w marcu i przeprowadził się na Majorcę, kupił bar. Leczy się na astmę. Gadałem z Leą o tych nagraniach monitoringu, które mi przesłała. Nie ukradła żadnych taśm. Przekonała jedną z pracownic baru, żeby je dla niej zgrała i przesłała e-mailem. Babka nienawidziła swojej pracy, właśnie się zwolniła i następnego dnia wracała do domu, do Amsterdamu. Z ogromną chęcią wyświadczyła jej tę przysługę, i to za darmo. Zrobiłaby wszystko, żeby udupić swojego szefuńcia. Tak czy inaczej, dzięki twojej sprytniej córce mamy nagrania, które potwierdzają, że Smythe i naganiacz sprzedają w barze narkotyki. A, i znalazłem Xano.

– Co powiedziałaś?! – Przebiegły MacDonald, żeby tak niepostrzeżenie przejść do sedna sprawy.

– Dzięki taśmom Lei namierzenie „reżysera” okazało się bardzo proste. Całość nagrania z dnia zdarzenia usunięto albo nadpisano, ale to nie miało znaczenia. Trzy dni wcześniej kamera uchwyciła mężczyznę siedzącego przy barze. Była godzina czternasta, w lokalu nie było innych klientów, a on siedział sam, sącząc powoli jedno piwo aż do godziny piętnastej. Na ręce miał gruby pierścień z błyszczącego, czarnego plastiku, na którym nie było bilardowej kuli, jedynie puste wybrzuszenie. Na lewym ręku miał cienką, czerwoną bransoletkę. Około piętnastej dwadzieścia zamówił drugie piwo i pogawędził z barmanem, który wydawał się zbyt przystojny i uprzejmy, żeby pracować w takim miejscu. MacDonald przesłał nagranie i zdjęcie twarzy Xano prywatnemu detektywowi na Majorce, który godzinę później zlokalizował barmana, a po kolejnej godzinie samego Xano.

– Tak naprawdę nazywa się John Martin. Ma trzydzieści dwa lata. Czarny pierścień kupił od Kevina Meechana z klubu bilardowego na Allison Street w listopadzie 2014 roku, ale nie chciał na nim numeru. Jedynek, synek mamusi. Matka mieszka w dużym bloku w Maryhill i lubuje się w karaoke. Martin nie sprawiał kłopotów w szkole, zdał maturę, choć ledwo, ledwo, skończył kurs na operatora wózka widłowego w Ibrox, potem trzyletnią praktykę ze spawalnictwa bez żadnych incydentów, i przez

trzydzieści lat pracował w KL Joinery w Glasgow, skąd dostał dobre, choć lakoniczne referencje. Nigdy nie był żonaty. Nie ma dzieci. Kawaler. Nie był wcześniej karany.

Ruth ogarnęło rozczarowanie. Xano nie był tym, kogo sobie wyobrażała – popapranym dzieciakiem, który wyrósł na totalnego dupka. Liczyła na rasowego skurwiela, kogoś w rodzaju Bilardzisty. Ukaranie takiego człowieka byłoby przyjemne i korzystne dla społeczeństwa. Ale ten John Martin, ze swoim pospolitym nazwiskiem i pospolitym życiem, bardzo ją zmartwił.

Już kilkakrotnie nachodziła ją myśl, że Xano mógłby być każdy. Czy jakiś miły chłopak, taki jak chłopak Su, James, mógłby sfilmować scenę w Coconut Lounge? Czy porządny facet, taki jak syn Friedy z domu obok, Eric, mógłby mówić: „pieprzona szmata, ssij kurwo”? Czy ich sąsiad, Barry, wgrałby nagranie do sieci? To była straszna myśl, ale być może to, co zrobił Xano, w żaden sposób nie wyróżniało go na tle innych mężczyzn.

– Jesteś tam jeszcze?

Zapomniała, że MacDonald jest wciąż przy telefonie.

– Najlepsze zostawiłem na koniec. Cztery lata temu pewna kobieta złożyła na niego skargę na policję w Maryhill. Martin składał u niej w domu regał. Nie byłem w stanie dotrzeć do szczegółów, ale generalnie nie zaszło to dalej niż rozmowa. Niedługo potem Martin poleciał na Majorkę, gdzie dostał fuchę w pięciogwiazdkowym Sol Adela. Od tamtej pory przenosi się z hotelu do hotelu. Na mieście słynie z rozwiązłego trybu życia i milczącego usposobienia. Częsty pacjent kliniki wenerologicznej. W czerwcu przesłuchiwany na okoliczność gwałtu po rohypnolu, ale ostatecznie nie postawiono mu zarzutów. Amator kokainy. Jedyne bar w Magaluf, który go wpuszcza, to Coconut Lounge, pewnie dlatego, że jest wiernym klientem Gary’ego, codziennie kupuje od niego towar za osiemdziesiąt funtów.

Ruth wstała z miejsca.

– John Martin – powiedziała głośno.

Teraz, gdy MacDonald ujawnił drugą część jego biografii, nazwisko mężczyzny nie wydawało jej się już ani trochę pospolite.

16.

– John tutaj mówi, że może cię przelecieć.

Nagły skurcz wszystkich mięśni sprawia, że otwieram oczy i czuję zalewającą mnie wściekłość. Musiałam na moment odpłynąć. Pomimo klimatyzacji w pokoju jest niemiłosiernie gorąco i jestem cała zlana potem. Na moim T-shircie odbijają się mokre plamy, tak jak tamtej nocy w Coconut Lounge, i chyba dlatego wróciły do mnie wspomnienia. Zdejmuję koszulkę, ścieram pot z ciała i otrząsam się, próbując pozbyć się tego obrazu. Ciii, ciii, śpij dalej. Ale to nie pomaga. Jezu, ten upał jest równie intensywny, jak moja złość.

– Nie chcę pamiętać.

– Ale pamiętam.

Czułam, że lada chwila kac prześcignie działanie alkoholu. Muzyka przyprawiała mnie o ból głowy i zaczynałam nienawidzić tego miejsca równie mocno, jak siebie samej. Przez cały wieczór dziewczyny przedstawiały mnie różnym facetom, ale ani jeden nie chciał się ze mną przespać. Nic dziwnego, myślę teraz, wyobrażając sobie plamy potu na moich piersiach i bijącą ode mnie złość. Stałam uwieszona baru, gdy Natasha przyholowała kolejnego chłopaka.

– Twoja kumpela mówiła, że chcesz się dziś koniecznie rozdziewiczyć?

– Zgadza się.

Tak naprawdę miałam już tylko ochotę iść do domu, ale wiedziałam, że dziewczyny nie pozwolą mi na to, jeśli nie wyjdę z jakimś facetem. Ten wydawał się w porządku.

– Jestem Su.

Uściskał mi dłoń, co w tym miejscu wydało mi się totalnie absurdalne.

– Nathan. Kupić ci coś do picia? Może wodę?

Z jego propozycji wywnioskowałam, że muszę wyglądać na zdrowo wstawioną. Ale jeśli TO ma się wydarzyć dzisiaj, kto wie, może z Nathanem, muszę pić dalej.

– Sama coś sobie kupię, dzięki.

– Masz rację. Nie pozwalaj, żeby ktoś ci kupował tutaj drinki. Słyszałem różne historie.

Zamówiłam Jägerbomba. Kosztował cztery euro – w którymś momencie nasz gratisowy alkohol przestał być gratisowy. Wręczyłam barmanowi ostatnie pięć euro, wypiałam drink jednym haustem i posłałam mojemu towarzyszowi uśmiech, który miał być seksowny, ale najwyraźniej nie wyszedł, bo Nathan także postanowił dać mi kosza.

– Nie sądzisz, że twój pierwszy raz powinien być wyjątkowy? Miło było cię poznać, Su. – Znów uściskał mi dłoń. – Powiedz koleżankom, żeby przestały o tobie rozpowiadać. To osobiste sprawy i nikogo poza tobą nie powinny obchodzić.

I tym akcentem pożegnał się i wyszedł, zapewne położyć się spać. Wyglądał na kogoś, kto docenia wagę solidnych ośmiu godzin.

W tym czasie Millie i Natasha były już mocno nakręcone pigułkami. Tańczyły jak szalone i całowały się ze sobą, kusząc przygodnych facetów, a potem całowały się również z nimi. W pewnym momencie Natasha zniknęła na kilka minut.

– Bzykała się z kimś w kiblu! – zdradziła mi później Lea. W trzy minuty? Fiu, fiu.

Dziewczyny ciągle pytały mnie, czy chcę ekstazy. Naganiacz miał tego całe mnóstwo, po dziesiątce od sztuki. Ale nie potrzebowałam pigułek, bo ostatni Jägerbomb postawił mnie na nogi. Poczułam się ogromnie seksowna. Co prawda, całkowicie się splukałam, ale Natasha i Millie zapewniały stały napływ alkoholu i kolejnych kandydatów.

– Azjatki mnie nie kręcą – powiedział jeden z nich.

Kilka minut później zobaczyłam, jak obcałowuje się z jakąś dziewczyną przy stoliku w rogu. Wybranka trzymała swoją ładną, białą dłoń w jego spodniach, a jej łokieć pracował rytmicznie.

– Która godzina? – zapytał inny.

Była druga trzydzieści. Chłopak przez chwilę rozważał ofertę w głowie, skanując wzrokiem bar, przy którym siedziało wciąż pełno niezajętych dziewczyn.

– Zatrzymam cię w rezerwie – zdecydował wreszcie, a potem skierował się w stronę babki z jedną piersią wystającą spod sukienki.

– No, fajna, fajna – przyznał kolejny w odpowiedzi na intro Natashy. – Ale nie powiedziałbym, że to największa laska tutaj.

– Nie?... – Natasha zerknęła na chłopaka spod uniesionej brwi. – A która?

I po chwili splekli głowy i języki w namiętym pocałunku milimetr przed moją twarzą. Co ze mną jest nie tak?

Poczułam, że muszę znów się napić. Uderzyłam dłonią w bar.

– Jednego Jägerbomba proszę!

Gdy chwilę później szklanka znalazła się w mojej dłoni, zdałam sobie sprawę, że w portmonetce zostało mi tylko pięćdziesiąt centów. Nie byłam nawet na tyle seksowna, żeby wytargować u barmana rabat, i w końcu sprzedał drinka komuś innemu. Myślę, że właśnie w tym momencie byłabym gotowa zawrócić do domu, gdyby Millie nie stuknęła mnie ramię.

– John tutaj mówi, że może cię przelecieć – i w podskokach wróciła na parkiet, żeby obejrzeć najnowszy konkurs. Pośrodku sali stał naganiacz z trzema kobietami i jednym mężczyzną. Tłumaczył im, na czym będzie polegać zabawa.

– Napijemy się? – zapytał John.

Nie był brzydki. Spoko, może kupić mi drinka.

Na potrzeby konkursu mężczyźni zawiązano oczy, a kobiety zdjęły staniki.

– Dzięki, John – powiedziałam, wypijając drinka, który przede mną postawił.

– Przesuwamy się, przesuwamy! – dał się naganiacz. – Chodzimy w kółeczko!

Następnie ustawił faceta z zasłoniętymi oczami przed uczestniczkami zabawy.

– Jeśli odgadniesz raz prawidłowo, dostajesz jednego darmowego drinka! Dwa razy, masz gratisowe drinki przez całą noc! Trzy razy i pijesz u nas za friko przez cały tydzień!

Mężczyzna zaczął obmacywać pierwszą parę piersi z wyrazem nabożnego skupienia na twarzy.

– Hmm... C! – Poklepał kobietę po plecach, ramionach i znów ścisnął jej biust. – 36C!

– 36C?! – emocjonował się naganiacz. – Czy twoja ostateczna odpowiedź to 36C?!

– 36C! – wrzasnął rozpromieniony facet. Tłum wiwatował radośnie, gdy przeszedł do numeru dwa, wychudzonej dziewczyny z parą sterczących silikonów.

John nie był rozmowny, aż do tej pory się nie odzywał. Teraz powiedział:

– Zmywajmy się stąd. – Obrócił mnie do siebie i wcisnął się między moje kolana. – Mam ochotę na twoją ciasną cipkę.

Powietrza, potrzebuję trochę powietrza. Położyłam ręce na jego piersi, żeby odsunąć go trochę od siebie.

– No weź!

Przysunął się jeszcze bliżej, ocierając się o mnie krocem.

– Dawaj, chodźmy stąd. – Objął mnie, zaczął ślinić mi szyję i wkładać mi język do ucha.

Wsunął mi dłoń między uda i zaczął szarpać za guziki przy moich szortach.

Wiruje, wszystko dookoła mnie wiruje. Tłum szaleje, bo zawodnik ma już dwie poprawne odpowiedzi i będzie przez cały wieczór pił za darmo.

– Masz dziś ochotę komuś obciągnąć, co? Tak? Spadajmy stąd, to ci go wsadzę w tą twoją ciasną cipkę!

Czułam zbyt wiele rzeczy naraz. Widziałam zbyt wiele rzeczy naraz. Pozwoliłam obcemu mężczyźnie kupić sobie drinka.

– Nie... Co? Czy ty mi dosypałeś coś do szklanki?

Zaśmiał mi się prosto w ucho i chwycił mnie za rękę tak mocno, że aż za bolało, a potem przycisnął moją dłoń do swojej erekcji.

– Za chwilę będzie cały twój.

– Ohyda, puść mnie! – odepchnęłam go, a on zachwiał się i upadł do tyłu na stół. Poleciały szklanki. Dłuższą chwilę zajęło mu pozbieranie się do pionu.

– Jebana oziębła skośnooka suka! – Chyba powiedział to głośniejszym głosem, niż planował. Hałas w barze przycichł nieco.

Rozmazany, cudowny, kolorowy bar! Cała sala wirowała wokół mnie. Jakimś cudem dowleklam się do parkietu, który wydał mi się wibrująca, tęczową mozaiką. Oto ja, Su Oliphant-Brotheridge z Doon, a wszyscy schodzą mi z drogi – mnie, właśnie mnie! Czułam się taka seksowna, byłam najseksowniejszą kobietą w całym klubie, a może i na całym świecie. Gdyby tylko Lea mogła mnie teraz zobaczyć... Właśnie, gdzie ona jest?

– Lea! Lea!

Gdyby tylko Millie i Natasha mogły mnie teraz zobaczyć – ojkk, prawie upadłam – dałabym wszystko za jeszcze jednego drinka.

O nie, John przylaźł za mną. Stał tuż przy mnie z bardzo poważnym zarzutem:

– Twoja kumpela mówiła, że mi obciągniesz.

Wszyscy w barze patrzyli teraz na mnie. Ze wszystkich stron otaczała mnie milcząca, pulsująca widownia.

– Za darmowego Jägerbomba – obwieściłam, obracając się wokół własnej osi, tak żeby wszyscy mogli mnie zobaczyć – obciągnę w tym barze każdemu!

Zakończyłam obrót, stając twarzą w twarz z Johnem, i wbiłam mu wskazujący palec w pierś:

– Poza tobą.

17.

W pokoju jest tak gorąco, że aż unosi się para. Pewnie od litrów łez, które wylałam. To była Su, wtedy, na parkiecie. Ja jestem kimś innym. Jeszcze nie wiem kim, ale zamawiając taksówkę, robię pierwszy krok w stronę prawdy.

Jestem zbyt stremowana, żeby zauważać cokolwiek oprócz ruchu ulicznego. Auta dokładnie takie, jak w domu, czteropasmowe autostrady takie, jak w domu. Gdy podjeżdżamy pod wysoki blok, równie przygnębiający jak te w Glasgow, i jadę rozklekotaną windą na czternaste piętro, cała dygoczę.

Moon Jihoo faktycznie wygląda tak dobrotliwie, jak opowiadał Woojin. Otwiera mi drzwi z przyjaznym uśmiechem na ustach.

– Nazywam się Su-Jin. – Jeszcze raz dziękuję w myślach płytom Rosetta Stone. Mężczyzna czeka, aż powiem coś więcej. Wskazuje palcem na siebie.

– Angielski – mówię i pokazuję mu ekran swojego telefonu, z przetłumaczonym w Google Translate wyjaśnieniem: *Mój przyjaciel Woojin był u pana kilka tygodni temu. Zostałam porzucona w wiklinowym koszyku przy posterunku w Myeong-dong osiemnaście lat temu. Widział pan moją matkę. Wie pan, kim ona jest. Proszę mi powiedzieć. Zapłacę 350 tysięcy wonów.*

To równowartość dwustu funtów i zacny punkt wyjściowy. Mam przy sobie dziewięćset funtów w wonach, które przez ostatnich kilka dni wypłacałam w kilku transzach po trzysta funtów.

Przeczytanie mojej wiadomości zajmuje mu całe wieki i zaczynam się zastanawiać, czy tłumaczenie choć w części pokrywa się z oryginałem.

Może powinnam napisać to jeszcze raz.

Moon Jihoo wygląda na zmieszanego. Od kilku minut spogląda raz na ekran, raz na mnie. Mogę stąd zajrzeć w głąb jego mieszkania. Jest naprawdę malutkie. Z dalszego pomieszczenia rozlega się wołanie jakiejś kobiety. Nie zamykając drzwi, Moon Jihoo wchodzi do środka i znika w pokoju. Stoję bez ruchu. Ma mój telefon Ri, który jest bardzo drogi. Zresztą gdyby chciał, żebym sobie poszła, zatrzasnąłby drzwi. Chwilę później mężczyzna przewozi przez przedpokój starszą, chudą kobietę na wózku inwalidzkim. Rozmawiają po koreańsku. Potem wraca do mnie, potrząsa głową i oddaje mi telefon. Wzdycham. Mój jedyny trop przepadł za jednym potrząśnięciem głowy? Zastanawiam się, co teraz napisać, jak go przekonać, aż zdaję sobie sprawę, że on nigdzie się nie wybiera. Nie zamknął drzwi. Patrzę na swój telefon. Jest na nim przetłumaczona wiadomość od niego: „3 500 000”.

Dwa tysiące funtów, cwaniaczek. Wpatruje się we mnie, czekając. „1 000 000”, odpowiadam. I znów jego wpis: „3 000 000”. Telefon przechodzi z rąk do rąk jeszcze siedem razy, zanim dobijamy targu. Mam zapłacić 2.100.000 wonów, czyli tysiąc dwieście funtów.

Piszę, że pójdę do banku i zaraz wrócę, ale on chce iść ze mną, więc udajemy się razem dwie przecznicę dalej. Czeka przy bankomacie, gdy wypłacam resztę pieniędzy. Chcę wiedzieć od razu, tu, na ulicy, przed bankiem, ale on nerwowo zagania mnie z powrotem do mieszkania. Wnioskuje, że to transakcja, którą chce sfinalizować na osobności.

Kim ona jest? Dlaczego ją rozpoznał? Musiała się sporo nakraść po okolicznych sklepach, że znano ją w miejscowym komisariacie. Kim ona jest? Kim ja jestem?

Moon Jihoo nie chce, żebym wchodziła do środka. Daje znak, żebym została w progu, i zagląda do starszej kobiety, która ogląda telewizję. Gdy wraca, wyciąga przed siebie rękę, a ja się waham. Nie chcę

oddać pieniędzy, zanim nie poznam jej imienia. Potrząsam głową i pokazuję ręką – najpierw ty. Potrząsa głową i powtarza mój gest. Nie, ty.

„Najpierw imię potem pieniądze”, wpisuję w translatora i wręczam mu telefon. Dziabie w ekran paznokciem, wpisując: „Pozwać mnie”. Nie rozumiem. Czy on ma zamiar mnie pozwać?

Znów dziabie, sfrustrowany. „Pozwać mnie. Pozwać mnie”. Trzyma telefon tuż przy mojej twarzy i wskazuje palcem na górę ekranu. Wreszcie wzdycha, wpisuje coś w Google Translate i oddaje mi telefon. Napisał: „Twoja matka Su-Mi²”.

Moja matka nazywa się Su-Mi. A więc dała mi kawałek siebie, marną Su. Mam ochotę się rozplakać. Mężczyzna znów pisze coś w moim telefonie i na ekranie ukazuje się strona Wikipedii poświęcona Koreance imieniem Su-Mi.

Jest piękna. Ma 35 lat. Jest warta 1,3 miliarda dolarów. To trzecia najbogatsza kobieta w Korei.

Staruszek chyba widzi, że muszę usiąść, i wskazuje na schody. Obserwuje mnie, gdy przetwarzam tę informację. Teraz rozumiem, czemu tak zacięcie stukał palcem w mój telefon. Rodzina mojej matki jest właścicielem marki Ri, największego koncernu w Korei Południowej i jednej z największych globalnych korporacji, działającej we wszystkich możliwych branżach, od handlu, przez hotelarstwo, medycynę i technologię po budownictwo.

Moon Jihoo stuka w logo Ri, jeden z najbardziej rozpoznawalnych znaków na świecie. Wygląda na zadowolonego. Moja rodzina to arystokracja. Ja jestem arystokracją. Pytam, czy mówił komuś. „Błagała, żebym nie mówił”, pisze. (Dobry człowiek). „I zapłaciła mi 500.000 wonów”. (Chciwy człowiek). Ale on i tak nie zdradziłby jej sekretu, po co rujnować komuś życie? Ale teraz pomyślał o mnie, czuł, że mam prawo wiedzieć. (Jednak dobry).

Staruszka wrzeszczy coś ze środka. Moon Jihoo musi iść. Wręczam mu pieniądze.

Zostaję na schodach z moim telefonem marki Ri7, jednym z dwustu milionów wyeksportowanych przez moją rodzinę w tym roku. Drzewo genealogiczne naszego rodu można znaleźć w Forbesie, wraz ze zdjęciami moich najbliższych. Moja matka ukończyła matematykę i zarządzanie na kobiecym uniwersytecie w Seulu. Jest żoną człowieka, który i tak znalazłby się na liście najbogatszych ludzi świata, ale ożenek zapewnił mu miejsce bliżej szczytu. Mają dwie córki w wieku sześć i osiem lat. Młodsza ma moje oczy i usta. Starsza nos, który odrobinę przypomina mój. Moja matka wygląda zupełnie jak ja. Jest moim sobowtórem, co mnie dziwi, bo ona jest nieziemsko piękna, a ja jestem odrażająca. Do tego stopnia, że nie potrafię nawet wyrwać faceta w Magaluf.

18.

Mamy to! Ruth była zadowolona ze swojego drugiego filmiku, ale nie czuła aż takiego uniesienia jak przy pierwszym. Pewnie dlatego, że podświadomie obawiała się kolejnego etapu – zajęcia się Johnem Martinem. Wpisała tytuł: „Reklama Coconut Lounge” i jeszcze raz obejrzała swoje dzieło.

Bazowała na innych filmach promujących kluby nocne, kopiując ich format. Wszystkie potrzebne materiały znalazła w internecie i w taśmach monitoringu zdobytych przez Leę. Tym razem nie wstawiła głosu lektora, tylko podpisy. Na podkład wybrała energiczną muzykę, która stopniowo rozkręcała się aż do szalonego crescendo przy napisach końcowych.

Film zaczyna się od świateł i dźwięków głównej ulicy w Magaluf. Następuje zbliżenie na pulsujący neon: „The Coconut Lounge”. W środku na eleganckim kontuarze stoi rząd jaskrawych, kolorowych drinków.

Koktajle!

Niezwykle przystojny barman wręcza oszłamiająco pięknej dziewczynie czerwonego drinka z parasolką.

Taniec!

Zbliżenie na stanowisko DJ-a. Muzyka robi się coraz głośniejsza. Parkiet pełen jest skaczących, tańczących, śmiejących się i gawędzących ludzi.

Zabawa!

Zbliżenie na naganiacza, który dowodzi jednym z konkursów. Młody mężczyzna obrzuca farbą roznegliżowaną kobietę. Tłum wiwatuje.

Alkohol!

Cztery dziewczyny przy barze strzelają szybkie shoty, potem kolejne, i kolejne. Dwaj faceci z lejkami w ustach dławią się w piwie wlewany im do gardeł przez kolegów. Pijana nastolatka upada na kolana i wsadza głowę w wiadro zielonego alkoholu. Na wprost zamroczony chłopak pije łąpczywie wódkę z gwinta.

Seks!

Obraz z kamery jest trochę rozmazany, ale nie jest trudno się domyślić, że widzimy parę uprawiającą seks w damskiej toalecie. Goły tyłek mężczyzny pompuje chwiejącą się na nogach kobietę, która nie przewraca się tylko dlatego, że jest przygwożdżona do ściany.

Narkotyki!

Twarz naganiacza widać wyraźnie, jest nie do pomylenia. Mężczyzna wręcza jakiejś dziewczynie dwie pigułki i bierze od niej dwadzieścia euro. Dziewczyna wkłada sobie pigułki do ust.

Bójki!

Przy barze jedna kobieta szarpie drugą za włosy. Ta odwzajemnia się ciosem w brodę. Pierwsza upada na podłogę, ale nie puszcza włosów rywalki i pociąga ją za sobą. Okładają się na lepkiej od brudu podłodze. „Bij, bij, bij!”, skanduje tłum.

Seks!

Urywek filmu Su. Mężczyzna wpycha widocznej od tyłu dziewczynie do ust długiego, cienkiego członka.

Jeszcze narkotyki!

Naganiacz wręcza właścicielowi baru plik banknotów w zamian za garść pigulek.

The Coconut Lounge.

Film kończy się obrazem kobiety leżącej w kałuży własnego moczu przed drzwiami wejściowymi. Jest ranek, ulica opustoszała. Właściciel baru kopniakiem przesuwając nogę dziewczyny z przejścia i zatrząskuje drzwiami. Dziewczyna jest nieprzytomna albo prawie nieprzytomna. Leży całkiem wyeksponowana, ale Ruth zamazała szczegóły. Chyba robiła sikę, gdy zemdląca.

Twoje miejsce w Magaluf.

Ruth czuła satysfakcję. Film był na tyle dobry, aby przynajmniej dwóm facetom można było postawić zarzut rozprowadzania narkotyków. Udostępniła go na YouTube, jednocześnie przypominając sobie, że miała najpierw sprawdzić, jak sobie radzi sobie jej pierwsze wideo. Była tak pochłonięta pracą, że zupełnie o nim zapomniała.

Ile odsłon? Trzyście. Cholera, serio?

Zajrzała na Twittera. Żadnych odpowiedzi. Żadnych followersów. Żadnych retweetów. Żadnych ulubionych. Może powinna była się poradzić kogoś w tej sprawie. Może powinna najpierw sama kogoś poobserwować? Jak działa ten durny portal?

Napisała e-maile do agentów kilku celebrytek, od Angeliny Jolie i Jennifer Lawrence po Germaine Greer i Glendę, największą szkocką gwiazdę oper mydlanych, która mieszkała za rogiem. Jediną odpowiedź dostała właśnie od Glendy, znanej bliżej jako Jenny z „Clyde Street”. *Rozumiem twoje rozżalenie, napisała aktorka, ale chyba nie czułabym się komfortowo, angażując się w tę sprawę. Dzwoniłaś do linii zaufania dla ofiar przestępstw? Szczerze polecam: 0141 735 975.*

Jej profil na Facebooku świecił pustkami. Chyba Millie i Natasha usunęły ją ze znajomych. Nikt nie udostępnił jej filmiku. Jediną aktywnością na stronie były wiadomości od Lei: *Mamo! Pukam i dzwonię do ciebie non stop. Otwórz drzwi. Odbierz. Ten filmik! Przerażasz mnie.*

Ruth poczuła nagły przyptyk żalu. Dziś skremowano ciało Berniego. Montowanie filmików na jakiś czas zajęło jej uwagę, ale jak na razie nic nie osiągnęła. Może powinna zarzucić plan? Pogodzić się z faktem, że jej rodzina jest skończona, i zacząć żyć swoim nowym, zrujnowanym życiem?

Nie. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby wypromować te filmiki. Co ważniejsze, musi popracować nad finałem, thrillerem z udziałem Johna Martina.

Jakąś godzinę później, dzięki MacDonaldowi i swojej sekretarce Anne, Ruth miała wszystkie potrzebne informacje. Wymagało to odrobiny perswazji – i lekkiego naginania prawdy – ale ostatecznie Anne przesłała jej protokoły i raporty, o które prosiła. Szukała akurat w Google’u nazwisk ekspertów od mediów społecznościowych, gdy usłyszała, jak Lea puka do drzwi.

– Dzięki Bogu! Już zaczynałam myśleć, że tu umarłaś. Nie zamykaj się więcej na klucz! Ja go wezmę. Mamo, przyszła policja.

Lea zdjęła z Ruth perukę i togę i położyła je na biurku.

– Campbell i ta druga. Ci sami, co ostatnio. Chodź. – Wzięła ją za rękę i pociągnęła na dół.

Gdy Campbell i Brown byli u nich ostatnim razem, usiedli w fotelach naprzeciwko Berniego, który trzymał Ruth za rękę. Dziś wybrali kuchenny stół, tak jak pracownicy opieki społecznej po incydencie w barze Saskia’s. Ruth miała kłopoty.

Campbell nawet się nie przywitał ani nie złożył kondolencji.

– Dostaliśmy na panią skargę.

Postanowiła nie siadać. Wstawiła wodę, nasypała Lavazzy do kawiarki.

– Może lepiej, żeby pani usiadła?

– To miłe, że oferuje mi pan jedno z moich krzesel, ale dziękuję, stoję. Chyba że ma pan sądowy nakaz utrzymania mnie w pozycji siedzącej.

– Niejaka pani Grier z Cheetham wniosła skargę w związku z nagraniem, które udostępniła pani na YouTube. Oskarża w nim pani jej syna o wykorzystywanie seksualne kobiet.

Ruth uśmiechnęła się pod nosem. A więc ktoś to jednak widział. To jasne, że pani Grier złożyła skargę na policję – każda matka by tak zrobiła – ale pewnie też sprząła synalkowi tyłek. Ruth wlała wrzącą wodę do kawiarki i wstawiła mleko do mikrofalówki.

– Jest w błędzie.

Campbell skinął na swoją koleżankę – Brown, zdaje się – która wyszukała coś w swoim służbowym iPadzie i pokazała ekran Ruth.

Lektor: Euan lubi grać na gitarze powietrznej...

Zdjęcie Euana grającego na gitarze powietrznej ze wspomnianymi wcześniej kolegami. Ich imiona są dopisane w dymkach. W tle podłożony śmiech jak z sitcomu, który stopniowo cichnie.

Lektor: I wykorzystywać seksualnie kobiety!

Ruth uśmiechnęła się do swojego dzieła – było naprawdę niezłe. Skończyła szykować kawę, oparła się o kuchenny blat i pociągnęła łyček. Brown spojrzała na Campbella pytająco, ale posterunkowy był zbyt ważny i profesjonalny, aby odwzajemnić spojrzenie. Siedział jednak niespokojnie, ruszając kolaniem.

Brown ściszyła głos w iPadzie i odłożyła go na stół, ale filmik leciał dalej. Ruth zerknęła na ekran i wzięła kolejny łyk kawy.

– Może pani zapauzować? Dziękuję. A teraz proszę włączyć głos i wcisnąć znowu play.

Lektor: Tu właśnie widzimy przykład.

Zbliżenie na jego oklapły członek, który wpycha komuś do ust.

– O, proszę zatrzymać. Dziękuję. Jak pani na imię? Chyba że woli pani, żeby mówić pani po nazwisku?

– E... Mary.

– Dziękuję, Mary. – Kawa smakowała wybornie. – Nie oskarżyłam Euana Griera o wykorzystywanie seksualne kobiet. Po prostu pokazałam publicznie dostępne nagranie, na którym widać, jak to robi.

Ruth nie rozumiała, dlaczego to ona jest tutaj wrogiem. Campbell jej nienawidził. Pod stołem wbijał sobie paznokcie w uda.

– Pani Grier chce wnieść oskarżenie.

Kolejny, powolny łyk.

– Naprawdę? A na jakiej konkretnie podstawie?

Brown niezbyt radziła sobie w swojej roli. Najwyraźniej ją zatkało. Nie wiedziała, co powiedzieć ani gdzie podziąć wzrok. Milczała i wpatrywała się w swoje dłonie.

– Proszę to uznać za ostrzeżenie, pani Oliphant – powiedział Campbell.

Ruth opłukała pusty kubek po kawie i zajęła się podgrzewaniem mleka na kolejny.

– Jeśli to wszystko, to chętnie zajęłabym się parzeniem kawy.

Lea odprowadziła policjantów do wyjścia. Gdy wróciła, oparła się o kuchenny blat i głośno westchnęła:

– Jezus Maria!

– Pewnego dnia, gdy sama będziesz matką, przypomnisz sobie to wszystko i stwierdzisz, że jestem bohaterką.

– Mamo, jego ojciec ma raka.

– Czyj ojciec?

– Euana.

– Cóż, bardzo mi przykro, ale co to ma do rzeczy? Znam wiele osób chorujących na raka i jestem pewna, że ich dzieci z tego powodu nie wykorzystują seksualnie kobiet.

– Ale on nawet nie...

– Ależ tak, Lea, właśnie, że to zrobił, tak samo jak pozostali. W ogólnym obrazie są pomniejszych sprawcami, ale ich też trzeba ukarać. Przyjęłam system oddolny. Aha, nie martw się, postanowiłam darować gapiom.

Lea znów westchnęła i opadła na krzesło.

– Euan nie jest zły. Po prostu tam był. Oni wszyscy po prostu tam byli.

– Więc każdy chłopak zrobiłby to, co Euan?

– Pewnie tak.

– I każdy by to sfilmował, jak Xano?

– Pewnie tak.

– I mówił takie słowa jak „kurwa”, „pieprzona szmata”?

– Pewnie tak! Sama nie wiem, po prostu się wstydzę i martwię, i jestem zmęczona. Zawsze rozpętujesz burzę. Wolałabym, żebyś inaczej przeżywała żalobę po tacie. Pogrzeb był wczoraj! A Su jest tysiące mil stąd i właśnie spotyka się ze swoją rodzoną matką.

– Rozmawiałaś z nią?

– Dzwoniła do mnie przed przyjściem gliniarzy. Gdybyś odebrała telefon albo otworzyła mi drzwi, dałabym ci ją do telefonu.

– Widziała się z matką?

– Jeszcze nie, przynajmniej tak mi się wydaje. Ale powiedziała, że wie już, jak się nazywa, gdzie mieszka i pracuje. Być może uda jej się z nią porozmawiać jeszcze dzisiaj.

– Masz papierosa? Muszę zapalić.

– Co? Nie! Nie mam. Ja nie... Ty nie palisz.

– To pójdę kupić.

– Dobra, czekaj. Zostań, zroluję ci.

Już pierwszy mach pomógł. Teraz była w stanie sformułować pytanie:

– I kim ona jest? – Drugi raz zaciągnęła się dłużej, głębiej wciągając dym.

– Nie wiem, Su nie chciała mi nic powiedzieć. Powiedziała, że musi porozmawiać najpierw z nią. Ruth zgasła papierosa w opróżnionym do połowy kubku kawy.

– Wyjdę na trochę, dasz sobie radę? Muszę się stąd wyrwać.

– Jasne, idź się przewietrzyć. Dobry pomysł. Ale weź telefon. I nie odchodź daleko.

– Dobrze.

Ruth złapała kluczyki i popędziła do samochodu, a potem pojechała prosto do domu Bilardzisty.

19.

Jadąc szosą M77 w kierunku Glasgow, Ruth nie odrywała oczu od prędkościomierza. Przy prędkości sześćdziesięciu trzech na godzinę przekraczała dozwolony limit o trzy mile. Za mało, żeby mogła zarobić mandat, ale wystarczająco, żeby poczuć, że łamie przepisy. Podobało jej się to uczucie. Całe jej dotychczasowe życie poświęcone było niełamaniu prawa. Weźmy dowolny dzień – na przykład poniedziałek trzy tygodnie temu. Wypełniając różne obowiązki tego dnia, Ruth nie zasztyletowała listonosza, nie oblała córki wrzącym mlekiem podczas śniadania, nie kupiła heroiny po drodze do pracy i nie wypaliła jej na plaży, nie zastrzeliła uprzedzonego do rowerzystów kierowcy na A89, nie stłukła ziewającej protokolantki sędziowskim młotkiem, nie przekupiła świadka, nie obrabowała banku, nie zaśmieciła chodnika i nie przebiegła w niedozwolonym miejscu przez ulicę do samochodu, który nie był kradziony i którym jechała, nie przekraczając dozwolonej prędkości i nie będąc pod wpływem alkoholu.

Jak większość ludzi, żyła zgodnie z niewyobrażalnie grubą księgą zasad i przepisów. Przychodziło jej to bez większego trudu, samoistnie. Niezwykle, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

Sześćdziesiąt trzy mile na godzinę. To było jej pierwsze umyślne wykroczenie w życiu, ale gdy zjeżdżała z autostrady na Castlemilk, wiedziała, że nie będzie ono ostatnim.

Zdawała sobie sprawę, że tu nie chodzi już o Su. Su miała teraz nową matkę – czy raczej starą. Taką oryginalną. Autentyczną. Po osiemnastu latach Ruth ostatecznie przegrała. Nie było już sensu walczyć, ale ona tego chciała, i to bardziej niż kiedykolwiek. „Dlaczego?”, zastanawiała się, skręcając w A726 na Castlemilk. A potem ją oświeciło. Dla siebie. „Dla mnie!”. Być może wszystkie swoje wojny toczyła tylko dla siebie. To ona padła ofiarą kuratorów z opieki społecznej. To ona padła ofiarą nagrania z Magaluf. Po raz drugi w życiu czuła się bezsilna, ale wiedziała już, że bezsilność jest czymś wewnątrznie sprzecznym, bo ma też w sobie siłę. Rodzi wściekłość, która musi znaleźć ujście. Chciała pruć osiemdziesiąt pięć mil na godzinę. Chciała zabić Johna Martina. Nie zamierzała jednak zrobić żadnej z tych rzeczy, bo nadal myślała trzeźwo. Nie może iść do więzienia. Ma jeszcze Leę, która jej potrzebuje. Ma pracę, do której musi wrócić. A jej próby wyprodukowania wirala spełzły na niczym. Wymierzy więc sprawiedliwość naprawczą. W tym celu musi złamać prawo, ale tylko odrobinę. Nikogo nie skrzywdzi i wszystko ujdzie jej na sucho, tak jak teraz, gdy jedzie trzy mile powyżej limitu prędkości.

Tym razem drzwi otworzył Bilardzista. Tak jak wtedy ubrany był tylko w kwieciste szorty, a fiki i torebki z marihuaną zalegały znów na kuchennym stole. Już w progu Ruth pstryknęła mu zdjęcie na tle wielkiej szklanej misy wypełnionej zieloną cieczą, zanim zdążył ją zasłonić.

– No co, kurwa! To tylko zioło!

– Wystarczy, żebyś znów trafił do paki. Wpuść mnie, Jim. Usunę to zdjęcie i to, które zrobiłam ostatnio, jeśli wyświadczysz mi pewną przysługę.

Weszła do środka i usiadła przy stole. Bawiąc się torebką marihuany, zapytała:

– Bethany nie ma w domu?

– E, ona miała pojebane w głowie. – Zdjął ze stołu miskę i schował ją do lodówki. – Pani skasuje zdjęcia, to pogadamy.

– Załatw mi dwie tabletki rohypnolu – nie, trzy – to pogadamy.

– Rohypnolu? Co pani, do cholery, planuje? Jak ja miałbym je niby załatwić?

– Myślę, że masz swoje sposoby. Poczekam tutaj. Potem skasuję zdjęcia i nie będziesz musiał wracać

do więzienia.

*

Ruth wysypała rzeczy z reklamówki na fotel pasażera. Wiedziała, że za pierwszym razem, gdy przywdziała swój sędziowski strój, mogła być trochę niestabilna, co czasem odrobinę ją martwiło. Zdjęła różowego boba, którego kupiła w Puerto Pollensa, zastąpiła go swoją poważną, siwą peruką i przejrzała się w lusterku kierowcy. *Czy robisz coś, co przysporzy ci problemów?* Na razie wszystko idzie zgodnie z planem.

Przebrała się i starannie omijała kamery monitoringu w Coconut Lounge, więc nikt nie mógł zauważyć, jak wrzuca mu pigułki do piwa.

Jesteś szalona?

Nie, tylko wściekła.

Straciłaś nad sobą kontrolę?

Ruth Oliphant? Nigdy.

Odwróciła od siebie lusterko.

Willa, którą wynajęła, była prawdziwym rarytasem na tłocznej wyspie: oddalona od głównej szosy i niewidoczna z najbliższej położonej drogi, na szczycie wzgórza, z panoramicznym widokiem na całą okolicę, dzięki czemu z wyprzedzeniem można było wypatrzeć nieproszonych gości. Ruth otworzyła frontowe drzwi, sprawdziła, czy dom jest w takim stanie, w jakim go zostawiła, a potem nalała szklankę wody i wróciła do samochodu.

– Hej! – Woda wylądowała na głowie mężczyzny. – Pobudka! Przysnęło ci się, kolego. Możesz wstać? O tak, bardzo dobrze. Idziemy do środka.

Zanim pojechała do baru, odpowiednio przygotowała salon. Pośrodku, ustawione w kole, czekały dwa fotele, podwójna sofa i trójnożny statyw. Fotel Johna stał naprzeciwko trójnoga. Za fotelom widać było tylko gołą, białą ścianę bez żadnych znaków rozpoznawczych. Zanim jednak mężczyzna usiądzie w fotelu, trzeba go doprowadzić do porządku.

Z jej pomocą udało mu się przykuśtykać do łazienki, ale nie był w stanie ustać samodzielnie w kabinie. Ruth polewała go prysznicem tak długo, aż ostatnie kawałki kału zniknęły w odpływie. Zimna woda trochę go ocuciła.

– Co, to kurwa! Kim ty jesteś?

– Wyrwałeś mnie w barze, nie pamiętasz? Ale po drodze do mnie miałeś mały wypadek. Może za dużo prochów?

Wcześniej Ruth wysypała zawartość jego saszetki na szafkę w łazience – telefon, klucze, czterysta trzydzieści euro, siedemdziesiąt centów, mała plastikowa torebka wypełniona białym proszkiem, pięć zawiniętych w sreberko tabletek, takich samych jak te, które kupił dla niej Bilardzista od sąsiada z góry, zdjęcie mamy, tubka kremu leczniczego.

John poślizgnął się dwa razy, zanim udało mu się stanąć o własnych siłach. Przekręcił kran z zimnej na ciepłą, oparł się dłońmi o kafelki dla równowagi, i chwilę stał pod parującym strumieniem wody.

– Co ty masz, kurwa, na sobie?

– Mała zamiana peruk. Wszystko niedługo ci wyjaśnię. Masz, wytrzymaj się.

Ruth zakręciła kran i podała mu świeży ręcznik.

– Dżinsy i bokserki wrzuciłam do pralki, okej? Koszulce też się dostało, lepiej dorzucimy ją do reszty ubrań. Zdążą się wyprać, zanim skończymy.

Gdy Ruth wstawiła pranie, zastała Xano siedzącego na sofie. Jego kolana i krocze zasłaniał ręcznik,

saszetka była znów pełna i zapięta na biodrach, a na stoliku kawowym czekała porcja kokainy.

– Więc o co chodzi z tymi perukami?

– Lubię się przebierać. Dziś jestem sędzią.

– Jeśli cię kręci sado-maso, to wiedz, że zamierzam być sado, nie maso. Masz coś do picia?

– Pewnie, a na co masz ochotę? Mam wódkę, tonik, lemoniadę, jedno piwo – chyba Heinekena.

– Piwo.

Otworzyła butelkę, podała mu i włączyła jego telefon.

– A co ciebie kręci, Xano?

– Co? Dlaczego tak do mnie mówisz? To mój telefon? – Odsunął suwak saszetki, żeby sprawdzić. – Oddaj!

– Pracujesz teraz nad czymś nowym? – Otworzyła folder w filmikami i kliknęła obraz kobiet opalającej się topless na plaży, wyraźnie nieświadomej, że ktoś ją nagrywa.

– Ymmm! Niezła!

– Ciebie nigdy bym nie wybrał, jesteś za stara. Oddaj mi telefon.

– Ale to ja wybrałam ciebie, Xano.

– Xano? Skąd ty...?

– Daj spokój, jesteś wielkim talentem! Rozpoznałam cię od razu, jak tylko zobaczyłam cię w barze.

Śledzę twoją karierę. Z pewnością nie jestem twoją jedyną fanką? Sfilmujesz nas? Bardzo bym chciała, żebyś nakręcił coś o mnie. Sama lubię robić filmy. Już nawet nagrałam dla nas wstęp.

Chodziło jej o materiał, który zgromadziła do tej pory – martwą twarz Berniego w szpitalnej izolatce, wycinki z gazet na temat zaginięcia Su, jej przymusowego urlopu w sądzie i skreślenia Su z listy studentów akademii medycznej, Xano w brudnych spodniach na tylnym siedzeniu jej samochodu. Ustawiała telefon na stojaku.

– Widzę, że nawet masz tu apkę do streamingu na żywo. Bomba. Niezła podnietka, co? My, na żywo?

– Nie jestem w nastroju, babciu. – Wyżłopał do końca piwo i wciągnął nosem kolejną kreskę kokainy.

– Okej, dobra. Ale musimy poczekać na twoje ubrania. Odwiozę cię do domu, jak tylko się wypiorą.

Ruth nalala dwie wódki z tonikiem i dodała do nich lodu. Przełamała ostatnią z trzech tabletek rohypnolu na pół, wrzuciła jedną połówkę do drinka mężczyzny i wymieszała.

Siedział rozkraczony na sofie. Sięgnął po pilota i włączył telewizor. Ruth pochyliła się i poprawiła mu ręcznik, żeby zasłonić krocze. Nie chciała widzieć niczego obrzydliwego. Siedziała naprzeciwko niego i patrzyła, jak sączy drinka.

– Twoja mama jest niesamowita. Co za utalentowana rodzina!

Działy tylko dwa kanały i obydwaj byli po hiszpańsku. Xano wyłączył telewizor.

– Ile potrwa to pranie?

– Pół godziny, i kolejne pół na wirowanie. Wyluzuj. Dokąd się śpieszysz? Dlaczego mama nigdy nie zgłosiła się do X-Factora? Myślę, że mogłaby wygrać.

Jego dotąd otępiełe oczy rozbłysły.

– No wiem! Też jej to mówiłem! Nigdy nie jest za późno, ale ona mówi, że jest za stara.

Weź mi zrób mi jeszcze jednego drinka. Zaczynasz mi się wydawać atrakcyjniejsza.

– Jasne. – Ruth przygotowała jeszcze jedną wódkę z tonikiem dla Xano i uważnie wsunęła mu szklankę w dłoń, która już zaczynała drżeć.

– Opowiedz mi o swojej mamie.

Rozkręcił się dopiero po trzeciej kresce koki, połączonej z połówką rohypnolu. Mówił bez skrępowania, był nadzwyczaj ożywiony.

– Wychowywała mnie całkiem sama. Jak miała dziewięć lat występowała w teatrze Maryhill Youth,

no wiesz. Wypatrzył ją szef agencji z Londynu, chyba Neville czy Newmark, czy New Productions.

Chciał, żeby zagrała Annie na West Endzie. Dostałaby się na Broadway i nagrała płytę, gdyby nie ciążyła.

Szklanka wysunęła mu się z ręki, a jego kolana rozchyliły się szerzej. Ups, Ruth niemal dostrzegła za dużo, więc szybko poprawiła mu ręcznik.

– Ale chyba nie zaszła w ciążę w wieku dziewięciu lat?

– Ha! Nie, kurna, nie Annie, to była Maria z „Dźwięków muzyki”. Piętnaście. Facet był z Newmains. Newmains Productions. Byłaby drugą pieprzoną Kylie albo Madonną i miałaby dom w USA na własnej wyspie czy coś, i wyszłaby za Brada Pitta, ale urodziła mnie.

Warga mu zadrzała i strużka śliny pociekła mu po brodzie.

– Nie powinna cię za to obwiniać. To nie była twoja wina. Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

– Śmieszne, zwykle niewiele mówię, a tu nawijam jak najęty, bla, bla, bla... – Wyjął z saszetki paczuszkę kokainy, wysypał trochę na stół i uformował dwie kreski. – Jezu, ten gościu z terapii mówił, że powinienem mówić więcej, że to będzie dla mnie dobre, lecznicze... Zawsze myślałem, że to jakieś zasrane pieprzenie, ale... Chcesz się sztachnąć? Dobrze trzepie. Na pewno? – Wciągnął obydwie porcje.

– Ahhh... Petarda. Nie znam ojca, matka mówiła, że to lepiej, ona też żałuje, że go poznała. W sumie go nie poznała, wpadła na niego, wracając z próby. On też ćpał kokainę, to pewnie dziedziczna, ta, no, przypadłość. Wykitował w więzieniu w Shotts, jak miałem trzynaście miesięcy. Słodki był ze mnie bachor, blond włoski, takie kędziorki, pulchne policzki. Lubię sobie pogadać, ale może tylko z tobą, bo jesteś stara, znaczy dojrzała – bez obrazy – albo ta peruka coś w sobie ma! Co jest, kurwa, grane z tą peruką? Nie, nie zdejmuj jej, coś w niej takiego jest, że chcę się otworzyć, muszę się otworzyć, tak mówił ten popapraniec, do którego wysłał mnie szef albo nici z referencji, po tym jak tyrałem u niego przez wszystkie te lata jak pies. Nie zdejmuj peruki ani tej kiecki, jest w niej coś takiego, że – juhu! – czuję się dobrze, chcę mówić i mówić, a przecież nigdy się nie odzywam, nawet do mamy, ale jej to nie przeszkadza, chyba, bo mówiła, że zawsze tylko pieprzę głupoty i jak mnie raz jeszcze przyłapie na prochach, to mnie zajebie. Jak mówiłaś, że ci na imię?

– Nie mówiłam. – Ruth podłożyła mu poduszkę pod głowę. – Dlaczego twój ojciec trafił za kratki?

– Mmmm. – Jego wargi zaczęły drżeć. – Biedna mama, byłaby pierwsza na świątecznej liście przebojów, a on podszedł do niej od tyłu na parkingu supermarketu, Sainsbury's, chociaż wtedy się nazywał jeszcze Safeways, i się zamykał o piątej, to było tuż przed Świętami, a ona miała przełomową rolę jako elf numer dwanaście w Citizens Theatre. Było ciemno, więc nikt nie widział jego twarzy, poza nią, i wciąż ją widzi, tę pieprzoną twarz – zabierz tę pieprzoną twarz – bo to moja, moja twarz. Nie wierzę, że się zabił. Nie można się zabić, zjadając Biblię.

Choć Ruth spodziewała się, że relacja Xano i jego matki może być dysfunkcyjna, stopień dysfunkcji ją zszokował. John Martin został odrzucony przez własną matkę z bardzo realnego i ważnego powodu. Fakt, że samotne macierzyństwo pozbawiło ją szansy na zakup prywatnej wyspy z domem do spółki z Bradem Pittem, bladł w porównaniu z prawdziwą przyczyną. Ruth nie chciała współczuć Jimowi, ale powtarzała sobie, że sprawiedliwość naprawcza wymaga zrozumienia przeszłości sprawcy, jego trudności i komplikacji życiowych. Jak inaczej, nie znając tych kwestii i nie pomagając sprawcy zmierzyć się z nimi, można skłonić go do zmiany zachowania?

– Kto skierował cię do psychiatry, John? Mówiłeś, że szef kazał ci iść, bo inaczej nie dałby ci referencji? To było w KL Joinery w Glasgow? Dlaczego ci kazał?

– O... Hej, mogę przymierzyć perukę?

– Nie.

– A togę?

– Nie. Co się stało, że musiałeś zwolnić się z pracy w Glasgow? Dlaczego szef wysłał cię do

psychiatry?

– Ale to nie fair. Jak się bawimy w przebieranki, to ja też chcę coś do przebrania. Może tę drugą perukę? Różową? Mogę?

Ruth odmówiłaby i tym razem, gdyby ręcznik przykrywający Johna Martina nie zsunął się całkiem, odsłaniając jego krocze. Starła się opanować grymas obrzydzenia, jakie wzbudził w niej przeciętnej wielkości członek pokryty od koniuszka do podstawy ponadprzeciętnej wielkości brodawkami wenerycznymi.

– Jasne, zaraz ci założę.

Różowy bob idealnie dopełnił jego nagą sylwetkę (jeśli nie liczyć saszetki) i porośniętego brodawkami ptaka.

– Co wydarzyło się w Glasgow?

– A, durna rzecz. Jakaś suka oskarżyła mnie, że się do niej dobierałem, a to ona mi ciągle przynosiła kawę i domowe ciastka, i brownie, i jednego dnia zapiekanekę z mięsem w jedwabnej koszulce, która była prześwitująca, słowo daję, i się tak pochylała nad tym stołem: „Mmm, John, czy ci smakuje”. I to mnie wypierdalała z pracy, i to ja nie dostanę pieprzonych referencji ani w ogóle żadnej innej pracy, jeśli nie pójdę do tych czubków w Billsworth i nie będę siedział godzinami z jakimś popieprzonym specjalistą, który nie odzywa się do mnie ani słowem. Chętnie bym się teraz kimnął.

– Za dużo wciągasz koki, John. To niezdrowe. Twoja mama wie, że wciąż ćpasz? – Nie chciała, żeby stracił przytomność. Zmartwiła się, że pół tabletki w połączeniu z narkotykami i alkoholem było złym pomysłem. – Co zrobiłeś, gdy straciłeś pracę przez tę kobietę w prześwitującej koszuli nocnej?

– Przeniosłem się do Hiszpanii. Czilał mam teraz niezły, a ty?

– Ja też. Cieszę się, że ty również.

Powieki mu opadały. Ruth nalała mu kolejną szklankę wody.

– Hej, mój panie, żadnych drzemek. Rozmawiamy tutaj! Szkoda marnować taki czilał na spanie. Co tam, wszystko gra? – Opryskała mu twarz odrobiną wody i poklepała go delikatnie po policzkach. – Nie zasypiaj. Jak tam, okej?

Oprzytomniał gwałtownie.

– Okej, okej, wszystko gra, wszystko pięknie na tym świecie.

– Lubisz samego siebie, John? Lubisz Johna Martina?

– Ja jestem John Martin! – zawołał na wzór Rambo.

Dobra, był w stanie mówić. Był w stanie myśleć, pewnie i tak było to maksimum jego możliwości. Wyglądał na spokojnego, nie zamierzał uciekać, a ona skutecznie nawiązała z nim nić porozumienia. Czas przejść do rzeczy. Usiadła na fotelu naprzeciwko niego.

– Johnie Martinie, znany również jako Xano, niniejszym uznaję cię winnym zniszczenia wszystkiego, co jest mi w życiu drogie. Rozumiesz?

– Ja? Ale ja cię lubię. Czilałujemy sobie, gadamy, kobieto! Niczego bym ci nie zniszczył. Wszystko masz super. Super masz peruki!

– Film twojego autorstwa, który osiągnął jak dotąd największy sukces, to nagranie mojej córki w Coconut Lounge.

– Nie. Co? Który? Nie, nie, ona była żółta! – Roześmiał się.

– Chodzi ci o Su Oliphant-Brotheridge? To moja córka.

– Kurwa mać, ale ty nie jesteś skośna, ha, ha. Dziwne, kobieto! Straszne. Kurna, uwielbiam z tobą gadać. Chcę tu już zostać na zawsze. Nie każ mi stąd nigdy iść.

– Cieszę się, że dobrze ci się ze mną rozmawia, bo tak się składa, że chciałabym, abyśmy

porozmawiali trochę dłużej. Jeśli się rozejrzysz, zobaczysz, że ustawiłam fotele i trójnog w koło. To koło wykorzystywane podczas konferencji sprawiedliwości naprawczej.

– Zajebicie!

– Tak. Sprawiedliwość naprawcza to kreatywna reakcja na szkodę, jaka została wyrządzona wskutek przestępstwa. Polega na uznaniu, że ofiary mają pewne potrzeby, których nie można zaspokoić w ramach systemu karnego; poszukiwaniu rozwiązań, których nie można uzyskać z przepisów prawa i w sądach. Uczestniczą w niej: sprawca, czyli ty, John Martin, znany także jako Xano; ofiara, czyli ja, szeryf Ruth Oliphant, i społeczeństwo. – Ruth wskazała na telefon doczepiony do statywu. – Za chwilę włączę nagrywanie w twoim telefonie i będziemy nadawać na żywo w internecie.

Martin zarechotał.

– Kurde, co ty pieprzysz, zajebicie! Coraz bardziej przypominasz mi matkę! Ona też mnie ciągle o coś obwinia. Sorry, ale chyba nie będę cię mógł jednak przelecieć. To by było jak kazirodztwo. I nie najlepiej się czuję.

– Chcę, żebyś zrozumiał krzywdę, jaką wyrzuciłaś. Ten proces pozwoli nam obojgu zaleczyć ranę i zapomnieć, o tym, co się stało. Kapujesz?

– Eee... Tak, skarbie. Pokaż cycki.

– Nie zamierzam pokazywać cycków, John. Skup się teraz. – Ruth powtórzyła instrukcję, a on wbił wzrok w jej usta niczym przerażony uczeń. – Teraz kapujesz?

– Tak, psze pani.

– Tak, wysoki sędzie.

– Tak, wysoki sędzie. Hej, ale skoro ty jesteś panią szeryf w peruce i w ogóle, i muszę do ciebie mówić „wysoki sędzie”, to to jest jak sąd, a nie ten jakaś tam konferencja.

– Masz rację, Johnie Martinie. Faktycznie masz rację. – Ruth zdjęła perukę i togę, i położyła je na oparciu sofy. – Naprawdę słuchałeś, co? Rozumiesz. Dziękuję. Doceniam twoje skupienie na szczegółach i cenne spostrzeżenia.

– Mogę jeszcze drinka?

– Jasne.

Ruth poszła do kuchni, żeby nalać mu dużą szklankę wody. Chciała, żeby choć odrobinę się wyprostował. Przejrzała szufladę ze sztućcami, szukając odpowiedniego gadżetu do następnego etapu interwencji. Metalowa trzepaczka do jajek wydała jej się zbyt śmieszna, a wałek zbyt falliczny. Pod zlewem stała skrzynka z narzędziami. Wyjęła z niej młotek i przyglądała mu się przez chwilę. John Martin był smutnym, zagubionym, małym chłopcem, który widział w niej łagodniejszą, lepszą wersję swojej matki. Nie czuła się w żadnym stopniu zagrożona i wręczenie mu młotka świadczyłoby o dużym zaufaniu, które dodatkowo umocniłoby więź, jaka się między nimi wytworzyła. Wzięła młotek ze sobą do łazienki

– musiała się wysiusiać – i ucieszyła się z tej nieplanowanej przerwy. Olśniło ją. Wręczenie temu człowiekowi do ręki młotka było naiwnym i niebezpiecznym pomysłem. Gdy umyła ręce, wyjęła z szafki pod umywalką szczotkę do włosów, młotek położyła na szafce, i wróciła do salonu ze szczotką i szklanką wody.

– Wypij całą, no dalej, o tak, greczny chłopiec. Ta szczotka będzie naszym mikrofonem. Głos może zabrać tylko osoba, która ma mikrofon w ręku.

– Dałaś mi wodę! Ja chciałem drinka!

– Okej, okej. – Wydawał się już na tyle przytomny na umyśle, że Ruth nalała mu kolejną wódkę z tonikiem. – Ja zaczynam.

Wzięła do ręki szczotkę i rozpoczęła przemówienie, które przećwiczyła wcześniej.

– Nagrywając moją córkę i udostępniając film na swoim kanale na YouTube, skrzywdziłaś mnie

w następujący sposób: przez ciebie straciłam szacunek kolegów i być może pracę. Przez ciebie straciłam córkę i wszystkie plany i marzenia, które z nią wiązałam. I przez ciebie mój mąż doznał tak silnego stresu, że dostał ataku serca i zmarł. Teraz włączę nagrywanie w twoim telefonie. Dam ci do ręki szczotkę, a ty powiesz mi i społeczeństwu, co uważasz na temat swojego czynu. Będziemy nagrywać na żywo tak długo, aż stwierdzę, że twoje przeprosiny są szczerze. Muszę wiedzieć, i społeczeństwo musi wiedzieć, że jest ci przykro, że odczuwasz skruchę, i że już nigdy nie zrobisz czegoś podobnego. Rozumiesz mnie, John?

– Jesteś zupełnie taka jak ona! Taka jak matka! Tylko mnie tym nie uderz!

– Nie uderzę cię. Dam ci szczotkę do ręki – proszę – to twój mikrofon, a ty opowiedz, dlaczego nagrałeś wtedy moją córkę, dlaczego nazwałeś ją dziwką i szmatą, i dlaczego udostępniłeś film na YouTube. Potem przeprosisz, szczerze, i wytłumaczysz, w jaki sposób zmienisz swoje postępowanie. Okej? Nie powiem już nic więcej. Zrobisz to, a ja zabiorę cię do domu. Na tych kartkach rozpisałam tematy, które musisz poruszyć. Będę je podnosić po kolei, więc skoncentruj się.

– Nie mogę iść najpierw do łazienki? Zaraz się porzygam.

– Mogę przynieść ci wiadro.

– Nie, muszę się odlać. Potem będę gadać do szczotki, słowo.

– Będziesz gadać teraz, John, albo zadzwonię do twojej matki i opowiem jej o kokainie za osiemdziesiąt funtów dziennie od Gary’ego Smythe’a, rozumiemy się?

Ruth wręczyła Johnowi szczotkę i włączyła nagrywanie. Stała za statywem i podniosła pierwszą kartkę A4, na której napisała czarnym flamastrem: „Wyjaśnij, co zrobiłeś w Coconut Lounge tej nocy, gdy była tam moja córka”.

Mężczyzna był dość spokojny, choć zaczął się trochę wiercić na kanapie. Chyba nie całkiem zdawał sobie sprawę, że obraz jego zdeformowanego penisa idzie właśnie w świat, a jeśli tak, to się tym nie przejmował. Ruth zrozumiała, że to pęcherz nie daje mu spokoju. Chciał skończyć jak najszybciej, żeby iść do toalety.

– Żółtka była narabana i obciągnęła facetom w barze, a ja to nagrałem.

Ruth zagryzła wargę. Opanuj się. Nie trać kontroli. Podniosła drugą kartkę. „Dlaczego wgrałeś film do sieci?”

– Wgrałem, bo był śmieszny, to było śmieszne, kurwa, tak jednego po drugim! – Roześmiał się, ale potem spojrzał na Ruth i umilkł. – Ale to nie było śmieszne? – W jego głosie słychać było autentyczne pytanie.

Ruth zazgrzytała zębami. Od czasu incydentu zadręczała się potencjalnymi motywami Xano: chciał zemścić się na Ruth; był psychopatą; seryjnym gwałcicielem; seryjnym mordercą. A on to zrobił dla zabawy. Uniosła trzecią kartkę. „Jak czujesz się teraz, wiedząc, jaką krzywdę wyrządziłeś?”

Skrzyżował nogi, skrzywił się i zaczął kołysać w przód i w tył. Zaraz nie wytrzyma.

– Bardzo źle. Przepraszam.

Ruth napisała coś szybkim ruchem na kartce i podniosła ją: „Za co?”

Nie przestając się kołysać, mężczyzna przez chwilę wyęczał umysł, a potem powiedział:

– Zniszczyłem pracę i nadzieje, i przyszłość, i wywołałem atak serca.

Ruth napisała kolejne pytanie. „Czy jest ci przykro? Czy jest ci naprawdę przykro, John? Czy mam zadzwonić do matki?”

Mówił tak szybko, jak szybko kołysał się jego tułów.

– Czuję się podle. Nigdy sobie nie wybaczę. Nigdy przenigdy już nikogo nie skrzywdzę.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, cisnął szczotkę na podłogę, zerwał się z sofy i pobiegł do łazienki.

Ruth wcisnęła „stop” w telefonie. Stojąc przed drzwiami łazienki, czuła pustkę. Jak dotąd spotkanie z Johnem nie przyniosło jej nic poza ogromnym przygnębieniem. Martin był żaloszny, godny politowania,

a wizja skatowania go na śmierć przestała być dla niej kojąca. Jego przeprosiny były jeszcze bardziej żałosne niż jego życie.

Zdała sobie sprawę, że gdy John wyjdzie z łazienki, będzie musiała go wypuścić. Wysuszy mu ubranie, pomoże mu się ubrać i odwiezie go do jego mieszkania w Magaluf. Nie udało się nic naprawić. A jeśli chodzi o sprawiedliwość – to co to właściwie takiego? Ruth miała ochotę się rozpłakać. Chciała się schować pod kołdrę Lei i wypłakać.

– John, otwórz! – Przez drzwi łazienki słyszała, jak mężczyzna wymiotuje. – Wszystko w porządku? Otwórz drzwi.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi od prysznica i szum odkręcanej wody. Głośne uderzenie i kolejna głośna torsja.

– John! John! – Zaczęła łomotać drzwi i wołać coraz głośniej. – Hej, hej, John! Wpuść mnie! Wszystko okej?

Żadnej odpowiedzi. Słyszała tylko szum wody. Umarł? Zabiła go?

– John!

Pobiegła do kuchni, chwyciła z szuflady dłuto i wróciła pod drzwi łazienki.

– John, spróbuję wyważyć drzwi!

Wsunęła płaski koniec dłuta w otwór przy zamku, ale zanim zdążyła nacisnąć, drzwi się otworzyły. Nagi i ociekający wodą John Martin nie wyglądał już na smutnego, zagubionego ani żałosnego.

– Co ty mi, kurwa, zrobiłaś? Ty pieprzona suko!

Wybór szczotki na atrapę mikrofonu był dobrym pomysłem, ale złym pomysłem było pozostawienie młotka na szafce pod umywalką. Usłyszała chrupnięcie własnej żuchwy, gdy młotek dotknął jej twarzy, i kolejne, gdy uderzyła głową o posadzkę.

20.

Gdy wreszcie żegnając się z Moonem Jihoo, znam już adres domowy mojej matki, siedzibę jej głównego biura, jej ulubioną restaurację oraz nazwisko i adres e-mail jej osobistej asystentki. Wiem wszystko, co muszę wiedzieć, dzięki zaradności Woojina i popularności rodziny Kim, która (podobnie jak ja) obstawia najważniejsze portale w internecie. Wiem, że moja matka wraz z mężem kieruje działem technologii Ri, i że ów mąż nie jest moim ojcem (poznali się, gdy była na studiach). Wiem, że po śmierci nestora rodu oboje są pierwszymi w kolejce do objęcia wartego dwieście miliardów dolarów rodzinnego biznesu. Wiem, że po szkole średniej „podróżowała”, co należy rozumieć jako „zaszyła się gdzieś i urodziła dziecko, które następnie porzuciła”. Wiem, że jest inteligentna i ambitna, i zdaniem niektórych niebezpieczna. Aktywnie pływa i biega. Niezbyt dobrze gotuje. Jej podstawowe lokum w mieście to penthouse w kompleksie Falleria Foret, obejmującym dwa czterdziestopięciopiętrowe wieżowce niedaleko parku w Seulu. To tam postanawiam się udać w pierwszej kolejności.

Teraz siedzę na ławce przed budynkiem i udaję, że czytam coś w swoim – jej – telefonie. Przez szybę widzę marmurowe wnętrze hallu wejściowego. Zastanawiam się, czy concierge pozwoli mi tak po prostu minąć recepcję i wsiąść do windy, czy każe mnie zatrzymać. „Stop, zatrzymać tę kobietę!” – Ta wizja mnie przeraża. Muszę to zaplanować. Nie mogę się spieszyć.

Przede wszystkim muszę zmodyfikować scenariusz naszego spotkania. Odkąd skończyłam sześć lat, wielokrotnie układałam go sobie w głowie. We wszystkich wersjach rodzona matka była ode mnie niższa, wyglądała żałośnie i żyła w ubóstwie. Moje słowa wstrząsały nią, wzruszały ją, a moje przebaczenie było dla niej zaskoczeniem i wybawieniem. Miałam nad nią władzę.

W rzeczywistości moja matka ma sto siedemdziesiąt cm wzrostu, czyli jest jakieś trzy centymetry wyższa ode mnie. Mój ojciec musiał być jakimś niedożywionym konusem z biednej części miasta, co tłumaczyłoby równocześnie jej decyzję w sprawie koszyka. Jest porażająco piękna. I mieszka tutaj, na czterdziestym piątym piętrze, z ogrodem na dachu i basenem z przeciwprądami, w którym pływa się w miejscu.

Siedzę przed jej domem już trzy godziny, starając się możliwie dyskretnie przyglądać twarzom osób wchodzących i wychodzących z budynku, i samochodom mijającym się w bramie podziemnego garażu. Jest późny poranek i zaczynam zastanawiać się, czy nie powinnam jednak poszukać jej w biurze. Zamawiam taksówkę do siedziby Ri, ale po chwili zmieniam zdanie i proszę kierowcę, żeby wysadził mnie przed sierocińcem Jusaran. W telefonie przeczytałam najnowsze wiadomości na temat „okna życia” pastora Lee Jong-raka. Rząd Korei chce je zlikwidować, tłumacząc, że tylko ułatwia sprawę i zachęca do seksu przedmałżeńskiego. Państwo odmawia objęcia pozostawionych w pudełku dzieci opieką, przez co niewielki sierociniec pęka w szwach od niemowląt, które nie otrzymują żadnej pomocy finansowej. Wsiadam z taksówki na końcu uliczki. W obskurnej ścianie widnieją metalowe drzwiczki, jak od sejfu. Zastanawiam się, czy teraz też leży za nimi jakieś dziecko. Stoję za koszem na śmieci na końcu uliczki i czekam. Chcę zobaczyć kobietę, która idzie ulicą z tobołkiem ukrytym w torebce lub w koszyku. Chcę zobaczyć, jak ta kobieta z drżeniem rozgląda się, sprawdzając, czy nikt jej nie widzi, całuje niemowlę w czoło, otwiera drzwiczki i wkłada tobolek do środka. A przede wszystkim chcę zobaczyć, jak płacze, przygnieciona żalem tak wielkim, że prawie nie jest w stanie ruszyć się z miejsca. Jak wraca do drzwiczek i próbuje je otworzyć, ale nie może, więc upada przed nimi bezsilnie. Chcę zobaczyć, jak

znika, by prowadzić życie przepełnione poczuciem winy. Chcę poczuć dla niej współczucie. Nikt nie przychodzi. Jest środek dnia. Nikt nie przyjdzie.

Jadę taksówką do międzynarodowej dzielnicy biznesowej. Wieżowiec należący do mojej rodziny nie jest najwyższym w skupisku błyszczących drapaczy chmur, ale zdecydowanie najbardziej opasłym. Z ulgą stwierdzam, że ochroniarze nie zamierzają nawet mrugnąć okiem, gdy kieruję się w stronę windy. To pewnie ten nowy garnitur. Przepuszczam dwa kursy, bo chcę być w windzie sama. Drzwi otwierają się przede mną trzykrotnie, zanim wreszcie winda przyjeżdża pusta. Wchodzę do środka i wciskam numer 67, ostatnie piętro. Ale ku mojemu rozczarowaniu winda zatrzymuje się na 50. i dołącza do mnie na oko czterdziestoletni mężczyzna w garniturze. Widząc wciśnięte 67. piętro, patrzy na mnie podejrzliwie i mówi coś po koreańsku.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Angielka? – Cholera, jego angielski jest perfekcyjny. – Gdzie twoje ID?

– Jestem umówiona z panią Kim Su-Mi.

– Nieprawda.

– Prawda. Właściwie to jestem już trochę spóźniona.

– Nieprawda. Pani Kim dzisiaj nie ma. Gdzie twoje ID?

– No tak! Jest dzisiaj w domu. To tam byłyśmy umówione! – To niepewny strzał, ale warto zaryzykować.

– Pani Kim nie umawia spotkań, kiedy pracuje z domu.

– Ze mną tak. Jestem jej siostrzenicą.

Mężczyzna przygląda mi się bacznie i chyba dostrzega rodzinne podobieństwo.

– Ona nie ma siostrzenicy. Kurde.

– No tak, wiem, ale ja mówię do niej ciociu, bo moja mama i jej mama są...

– Dość.

Mój współpasażer wciska guzik parteru. Na jego twarzy maluje się mieszanina wściekłości i niedowierzania. Przez całą drogę na górę i z powrotem w dół nie spuszcza mnie z oczu.

– Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, to zadzwonię po policję!

Czeka, aż wyjdę z holu, a potem mówi coś do ochroniarzy po koreańsku.

Dzisiaj dowiedziałam się, że nie zostałam stworzona do bycia szpiegiem. Że Kim Su-Mi jest chroniona niczym sama królowa angielska. I że z mamą nie najlepiej.

– Chyba zaczyna świrować – wyznała Lea, gdy zadzwoniłam do niej sprzed domu Moona Jihoo. – Od dwudziestu czterech godzin siedzi zamknięta na strychu.

Nie mogę marnować czasu. Muszę wracać do domu, a to oznacza, że muszę być bezczelna.

Jest wpół do ósmej. Od kilku godzin kręcę się przed jej apartamentowcem. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, setki razy zmieniałam pozycje i zajęcia: oto siedzę na ławce pogrążona w lekturze książki na swoim telefonie; oto oddalam się pięćdziesiąt metrów parkową alejką i wracam; oto ćwiczę tai-chi, piszę esemesa, gapię się na kogoś, nie gapię się na nikogo, bo ktoś obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, oddalam się dziesięć metrów parkową alejką, czekam, wracam, siadam na ławce i udaję, że czytam coś w telefonie. Próbuje ją wypatrzyć – ją albo odpowiednich ludzi, za którymi będę mogła przemknąć się do środka. Ale nie widać ani Su-Mi, ani jej męża, ani ich dwóch uroczych córeczek. I nie zauważam nikogo, za kim mogłabym wejść do budynku. Może ta kobieta? Wydaje się rozkojarzona. Nie, potrzebuję co najmniej trzech osób. Tymczasem wszyscy mieszkańcy wydają się chodzić pojedynczo. Niemal wszystkie z kilkunastu osób, które weszły do hallu i wsiadły do windy, były same, poza dwiema parami. Nie mogę się poddać. Ona gdzieś tam jest. Siedzi przy stole i pracuje nad nowym modelem Ri8 albo zegarkiem na

rękę, albo je kolację przygotowaną przez prywatnego kucharza, albo pływa w miejscu na swoim balkonie.

Dwudziesta trzydzieści. Właśnie kładzie dziewczynki spać albo jedna z niań informuje ją, że dzieci śpią. Sący kieliszek wina po tysiąc funtów za butelkę ze swoim stosownym mężem.

Nareszcie – czterech mężczyzn w garniturach. Gdy zbliżają się do wejścia, podchodzę szybkim krokiem i podłączam się do nich, licząc, że concierge uzna mnie za część ich grupy.

Sukces. Jestem w windzie. Gdy tylko zamykają się drzwi, mężczyźni przerywają głośną, poważną rozmowę i jeden z nich wciska numer 12. Ja wciskam 23 i milczę razem z nimi, mając nadzieję, że tym razem nie czeka mnie przesłuchanie. Okazuje się, że na pytania i tak nie byłoby czasu – winda jest tak szybka, że po niecałych pięciu sekundach drzwi otwierają się na 12. piętrze.

Drzwi zamykają się. Głęboki oddech. Wciskam 45.

Winda jest strasznie mała. Ściany i sufit są wyłożone lustrami. Nie mogę uciec przed samą sobą. Już trzeci raz przemierzam się między piętrami 44. a 45., zbyt przerażona, aby wysiąść i zadzwonić do drzwi. Jest mi gorąco i niedobrze. Za każdym razem, gdy winda się otwiera, widzę ten sam, pusty hall z marmurową podłogą i ścianami obitymi drewnem. Jestem zdziwiona, że przed apartamentem nie stoi żaden ochroniarz. Za pierwszym razem aż wstrzymałam oddech, spodziewając się, że za chwilę powita mnie facet ze spluwą. Teraz żałuję, że go tu nie ma. Przynajmniej nie miotałabym się tak w górę i w dół w tym szklanym pudle.

Kto wie, może gdy winda otworzy się kolejny raz, zobaczę ją. Może wsiądzie ze mną do windy. Będziemy sam na sam. Wtedy bez wahania powiem: „Nazywam się Su-Jin. Mam 18 lat. Miałam dobrą opiekę”. I choć moja matka nie jest bezdomną alkoholiczką cierpiącą na trąd, zareaguje tak samo, jak matka z mojej wyobraźni, jak zareagowałaby każda matka. Skuli się w sobie. Będzie błagać o wybaczenie. Powie, że nie miała innego wyboru („Jesteś taka piękna!”), bo ojciec groził, że ją zabije, jeśli nie ukryje się na trzy ostatnie miesiące ciąży i nie urodzi w mieszkaniu, które wynajęto specjalnie do tego celu, w asyście lekarza, któremu zapłacono za milczenie. Upadnie na kolana, składając ręce jak do modlitwy, i będzie mnie przeproszać. Teraz nie dba już wstyd ani o honor. Nie boi się ojca, jest dorosła. Tak bardzo wszystkiego żałuje i chce naprawić swój błąd. Tak długo cierpiała! Będzie błagać, a ja spojrzę na nią ze spokojem Dalajlamy i powiem: „Wybaczam ci”.

Być może gdybym zjadła dziś cokolwiek, nie byłoby mi teraz tak niedobrze. Skromna zawartość mojego żołądka wywraca się do góry nogami wraz z każdym kursem w górę i w dół. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Następnym razem powinnam wysiąść. Powinnam przejść przez marmurowy hall i zapukać do dębowych drzwi. Jeśli otworzy ochroniarz, lokaj, kucharz, niania, mąż albo któraś z córek, powiem: „Chcę się widzieć z Kim Su-Mi”. Jeśli napotkam opór – a napotkam na pewno – powiem: „Przyszłam zwrócić wiklinowy koszyk, który zgubiła dawno temu w Myeong-dong”. Powiem to głośno, żeby Su-Mi mogła mnie usłyszeć ze swojego gabinetu albo z jadalni.

Ding. Ten dźwięk. Czy kiedykolwiek zniknie? Czy mój błąd już zawsze będzie zalewał świat deszczem pikania, dzwonienia i bzyczenia? Ale to nie dźwięk telefonu ani tabletu. To winda. Następnym razem. Wysiądę następnym razem.

Znów jadę w dół na 44. piętro. Uch, chyba się pochoruję. I w górę. Dłużej nie wytrzymam. Winda otwiera się znów na 45., a ja ponownie tchórzę. Myślę o tym, żeby wrócić do hotelu, opłacić rachunek i złapać taksówkę na lotnisko.

Przycisk zamykania nie działa – drzwi zacinają się w połowie, bo od zewnątrz moja rodzona matka wciska przycisk otwierania, stojąc dokładnie naprzeciw mnie na marmurowej posadzce. Szybko wciskam swój guzik, ale ona jest jeszcze szybsza i skuteczniejsza. Drzwi otwierają się na oścież i Kim Su-Mi wchodzi do środka.

Jest ubrana w strój do joggingu, w uchu ma słuchawkę. Zerka na mnie z wyrazem zdziwienia na twarzy. Pewnie zastanawia się, dlaczego wcisnęłam numer 45, co robię na jej piętrze. Wcisnęła parter. Na żywo jest jeszcze bardziej podobna do mnie niż na zdjęciach. Takie same włosy, oczy, usta, taki sam nos, identyczna sylwetka. Jej zdziwienie nie trwa długo, nie zatrzymuje na mnie wzroku. Stoi z przodu windy plecami do mnie i wkłada drugą słuchawkę do ucha. Słyszę „Budapest” George’a Ezry, jedną z moich ulubionych piosenek, i dziwię się, że ona też ją lubi. Winda sunie w dół, a ja zaczynam panikować. Mam tylko kilka sekund.

– Przepraszam – mówię i pochylam się, żeby wcisnąć jakikolwiek guzik. Trafiam w numer 17.

Posyła mi uśmiech, jakim obdarza się każdą obcą osobę, którą spotyka się w windzie, i ścisza muzykę w telefonie.

Teraz jest ten moment. Powiedz jej. Powiedz to, Su.

Na jej twarzy znów pojawia się znak zapytania, odwraca się w moją stronę i przygląda mi się uważnie. Tym razem pytanie jest znacznie większe. Na tyle duże, że wyciąga z uszu słuchawkę, jej twarz blednie, a usta i oczy otwierają się szerzej. Zanim jestem w stanie wykrztusić z siebie cokolwiek, wcisnęła przycisk awaryjny i winda z ostrym szarpnięciem hamuje pomiędzy piętrami.

Przez chwilę trwamy w ciszy. Su-Mi stoi spokojnie z opuszczonymi ramionami, jakby szykowała się do pojedynku.

– Nazywam się Su-Jin. – Mój głos drży, nie ma w nim żadnej władzy. Ale ona nie daje mi skończyć, bo dobrze wie, kim jestem.

– Czego chcesz?

Wyobrażałam to sobie tysiąc razy. Ani razu ta rozmowa nie rozpoczynała się w ten sposób. Jestem speszona. Zapomniałam wszystko, co miałam powiedzieć.

– Miałam dobrą opiekę. Mam osiemnaście... Yyy... Co? Nie chcę niczego.

Jej twarz ma znów normalny kolor. Jest całkowicie nieruchoma.

– To po co przyszłaś?

Zastanawiam się, co powiedzieć. Przyszłam, żebyś mogła się mną zachwycić? Przyszłam, żebyś wiedziała, co straciłaś? Przyszłam, żeby zobaczyć twój żal i poczucie winy? Przyszłam ci wybaczyć, żebyś mogła odzyskać spokój? Przyszłam ci wybaczyć, żeby sama mogła odzyskać spokój?

Widzę, że ona albo nie czuje nic, albo doskonale się maskuje.

– Nie wiem – odpowiadam.

Przez głośnik odzywa się męski koreański głos. Su-Mi odpowiada. Zakładam, że go uspokoja, mówi, że nic się nie dzieje, nie ma żadnego powodu do alarmu. Jej posągowa poza i twarz mówią mi, że go okłamała.

– Wiesz, wiesz – odpowiada. Jej chłód przyprawia mnie o dreszcz. Nie chcę być z nią w jednym pomieszczeniu.

Ale kto wie, może ona boi się jeszcze bardziej niż ja. Może defensywna postawa i zamknięcie w sobie to jedyny sposób, w jaki potrafi sobie poradzić z poczuciem winy. Nie wiem, jak twarda jest skorupa, w której się zamknęła, nie wiem, czy trudno ją przebić. Ostatecznie podeszłam ją z zaskoczenia. Ma prawo wątpić w moje intencje. Powinnam wyjaśnić jej to szczerze, dać jej czas na oswojenie się z sytuacją.

– Chciałam cię poznać. Chciałam, żebyś wiedziała, że dobrze mi się ułożyło w życiu.

Albo miała robiony botoks, albo od urodzenia nie umie poruszać mięśniami twarzy. Przyglądałam się jej uważnie, ale nie jestem w stanie odgadnąć, o czym myśli albo co czuje. Bardzo długo namyślała się (tak mi się przynajmniej wydaje), aż wreszcie mówi:

– Jesteś bardzo ładna.

Trochę mnie to rozczarowuje, ale okej, jest pewien postęp. Chyba zmierzamy we właściwym kierunku.

– Chciałam cię po prostu zobaczyć na żywo. Jesteś piękna. Kamienna twarz.

– Dziękuję.

– Od tak dawna wyobrażałam sobie tę chwilę. A ty? Myślałaś o mnie?

– Oczywiście.

Kamienna twarz.

– Naprawdę? Próbowałaś mnie odnaleźć? Pisałaś do mnie listy? Kartki urodzinowe?

– Na miłość boską, mów, ile chcesz?

Zamurowało mnie do tego stopnia, że w pierwszej chwili się roześmiałam. Su-Mi potrząsa głową. Jestem dla niej jak ufoludek z zerowym obyciem na salonach.

– Zakładam, że umiesz dodać dwa do dwóch, więc nie będę marnować czasu. Dwieście tysięcy. Funtów, sądząc po twoim akcencie.

I nagle nie wydaje mi się już ani odrobinę taka jak ja. Jest agresywna, pełna pogardy, bezlitosna. Brodę ma uniesioną tak wysoko, że musi to sprawiać jej ból. Jest przyzwyczajona mówić i patrzeć na ludzi z góry. Jej oczy nie zdradzają nic: nie są ani załamane, ani zwężone, ani nie mrugają gwałtownie. Założę się, że gdy biegnie, jej perfekcyjny, jedwabisty bob nie podskakuje nawet o milimetr. Ma na sobie makijaż, jaskrawoczerwoną szminkę – do biegania! Pachnie drogimi perfumami. Idealnie dopasowany strój dumnie prezentuje logo Prady, ma błyszczące wstawki i wszystko pod kolor. Nie wiem, czy powinnam to mówić na głos:

– Czy to naprawdę ty? Czy taka właśnie jesteś?

Mówię do kobiety z innego pokolenia, innego kraju, innej klasy i innej kultury, której pierwszym językiem nie jest angielski i którą poznałam zaledwie kilka minut temu. Głupotą było myśleć, że będzie między nami natychmiastowa chemia, porozumienie. Jest mi kompletnie obca. A to, czego udało mi się dowiedzieć o niej w ciągu tych kilku minut, nie bardzo mi się podoba.

– Trzysta.

– Nie wierzę, że taka naprawdę jesteś.

– A co myślisz, Su-Jin? Czteryście tysięcy i mój mąż i dzieci nigdy nie dowiedzą się prawdy o mnie? Pięćset i nie dowie się cały świat?

Czuję, jakby ktoś zdjął ze mnie ogromny ciężar. Po raz pierwszy w życiu czuję się niezwykle lekka, wolna. Moja biologiczna matka jest okropna! Jest najokropniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam! Jakie szczęście, że oszczędzone było mi życie pod jej skrzydłami! Jakie niesamowite, cudowne szczęście, że zajęli się mną Ruth i Bernie, moi rodzice! Dopada mnie nagła, bolesna tęsknota za domem. Chcę przytulić mamę i Leę. Chcę płakać razem z nimi. Musimy razem pożegnać tatę.

– Więcej nie dam – mówi Su-Mi.

A co tam, pogram z nią jeszcze. Czuję jednak władzę, choć nie taką, jakiej się spodziewałam. Udaję, że rozważam ofertę. Ciekawi mnie, ile jestem warta.

– Pięćset tysięcy, to moje ostatnie słowo.

Sądzę, że jest w stanie dać więcej.

– Ale jesteś przerażona. Co za wstyd. Co to by było, gdyby ludzie się dowiedzieli, że zaszłaś w ciążę jako siedemnastolatka? A właściwie, kto był moim ojcem?

Władza jest cudowna. Nie wyobrażałam sobie, że to spotkanie wprawi mnie w tak dobry nastrój.

– Nikim. Nawet nie pamiętam, jak miał na imię.

– Nie wierzę.

– Spotkałam go na zabawie szkolnej. Uprawialiśmy seks w szatni. Był głupi. Jego ojciec miał sklep.

Jeśli tamtego wieczoru poznałam jego imię, to musiałam od razu je zapomnieć. Potem nigdy więcej o nim nie myślałam. Śpieszę się, Su-Jin, i nie bardzo widzę sens w dzieleniu się biografiami i próbach ekspresowego budowania więzi. Jaka suma zapewni mi twoje milczenie?

Hmmm. Kładę palec na brodzie.

– Śpieszysz się, mówisz? Jakie masz plany na dziś wieczór?

Su-Mi mówi coś do domofonu, wciska piętro 45. i winda zabiera nas znów na górę.

– Czeka tu, nigdzie się nie ruszaj. Trzymaj drzwi.

– Nie boisz się, co powiem, jeśli ktoś mnie zobaczy?

– Są za granicą. Nie ruszaj się.

Otwiera mieszkanie. Drzwi zostawia uchylone. Wbiega do gigantycznej, otwartej przestrzeni mieszkalnej. Przez jedną ze ścian, całą ze szkła, roztacza się widok na oświetloną panoramę miasta. Su-Mi wraca i staje tuż przed drzwiami windy.

– Sześćset pięćdziesiąt tysięcy, ale potrzebuję gwarancji, że nigdy nie powiesz nikomu o incydencie ani nie będziesz się ze mną więcej kontaktować.

– „Incydent”! A to dobre!

Puszczam drzwi, które zaczynają się zamykać. Su-Mi przytrzymuje je na siłę i kładzie palec na przycisku widny od zewnątrz.

– Milion funtów.

Uśmiecham się i potrząsam głową.

– Nikt ci chyba nie powiedział, jak kosztowne bywają „incydenty”.

Widzę, że jest wzburzona, zaczyna tracić panowanie nad sobą. Zakładam, że wraz z mężusiem będą w pokaźnych tarapatach, jeśli prawda wyjdzie na jaw, a z całą pewnością zostaną wykreśleni z listy dziedziców fortuny. Juhu, jestem warta bańkę.

– Jeśli podasz mi swój numer konta, to za kilka minut pieniądze będą twoje.

– Ja też się spieszę, Su-Mi. Nie chcę twoich pieniędzy. Zabierz rękę z przycisku. Muszę wracać do domu, do mamy.

– Czeka. Czeka!

Podaje mi wizytówkę. Na odwrocie zapisuje długopisem numer telefonu.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz miała ochotę to upublicznić, najpierw do mnie zadzwoń. Uwierz mi, bycie bogatym jest dużo przyjemniejsze od roztrząsania przeszłości. Zadzwoń do mnie, nie bądź autodestrukcyjna ani nielogiczna. To moja prywatna komórka. Nie dzwoń do mnie na żaden inny numer. A jeśli nie potrzebujesz pieniędzy, tylko czegoś innego...

– Tak? Na przykład czego?

Czy to typ, który przetnie konia na pół? Czy wywodzę się z koreańskiej mafii? Nie biorę wizytówki, spycham jej rękę z przycisku. Wrzuca wizytówkę do środka windy przez zasuwające się drzwi. Łąduje u moich stóp. Gdy docieram na parter, zerkam na nią raz, a potem ją podnoszę. W drodze do hotelu wysyłam z taksówki esemesa do Su-Mi. *Biedactwo, ukrywanie hańby cię zniszczyło. Tak bardzo się boisz, jesteś tak podejrzliwa. A ja tylko chciałam, żebyś wiedziała, jaka jestem wspaniała. Co powiesz na to? Kliknij i zobacz – jaką wspaniałą masz córkę.*

Ciekawe, czy otwiera link? Czy już wcisnęła play? Czy ogląda? Czy kolejne, triumfalne „ding”, które słyszę, jest właśnie od niej? Czy o takim „incydencie” myślała?

Zzzz, mam wiadomość. Tylko jedno słowo, ale na tyle, na ile zdołałam ją poznać, jest starannie przemyślane i precyzyjne w znaczeniu.

Cokolwiek.

21.

Przeplakuję co najmniej połowę dziesięciogodzinnego lotu do Dubaju. Chyba robię to dość głośno, bo młoda matka z niemowlęciem po mojej lewej tylko raz patrzy mi prosto w oczy i jest to spojrzenie pełne nienawiści. W kieszeni fotelu przede mną tkwią paczki chusteczek, które dostarczyła mi stewardesa, i zgnieciona rolka papieru toaletowego, na którą przerzuciłam się po wyczerpaniu chusteczek. Gdy przyjadę do domu, tata nie wyjdzie mi na spotkanie. Gdy wrócę z joggingu, nie zapyta mnie, czy pobiłam swój rekord i nie pogratuluje mi, gdy odpowiem, że tak. Po wyjściu z prysznicza nie usłyszę, jak woła mnie na kolację. Szykując się do snu, nie usłyszę dźwięku jego skrzypiec z salonu.

Dwugodzinną przerwę w Dubaju spędzam, wałęsając się po centrum handlowym przy lotnisku, trójkątnym placyku pełnym złotych bransoletek i zmęczonych ludzi, którzy kupują je, bo i tak nie ma gdzie usiąść. Wreszcie staję w kolejce do swojego ostatniego samolotu. Na tablicy odlotów dostrzegam napis „Glasgow” i ogarnia mnie mieszanina ulgi i rozpacz. Dom, ale bez Berniego B.

Liczyłam, że uda mi się przespać całą drogę, ale nie jestem w stanie zmrużyć oka. Próbuję wyobrazić sobie mamę bez taty – i nie mogę. Jest silną kobietą, ale potrzebuje ojca, polega na nim, i nie jestem nawet pewna, czy bez niego potrafiłaby być tak silna do tej pory. Nie wiem, czy będzie umiała wstać rano z łóżka, nie czując świeżego zapachu kawy, którą dla nie zaparzył; co będzie jadła wieczorami bez jego gotowania; jak poradzi sobie ze stresem w pracy bez ich codziennych, wieczornych dyskusji, na które tata zawsze, zawsze miał czas. Moi rodzice się kochali. Po wszystkich tych latach nadal byli w sobie zakochani. Próbuję oglądać filmy, ale słuchawki cisną mnie w uszy, dźwięk przyprawia mnie o ból głowy, a filmy są głupawe. Znów zaczynam płakać i stwierdzam, że powinnam popracować nad techniką, bo naprawdę robię to za głośno. Piegowaty chłopiec obok mnie właśnie spytał, dlaczego płaczę i czy mogłabym przestać, bo ogląda „Krajinę lodu” i nie słyszy, co mówi Olaf. Kilka razy przemierzam alejkę w górę i w dół, a potem siadam i zastanawiam się, czy ktoś mnie rozpoznał. Byłam tak głęboko pogrążona w żałobie, że nie zauważałam innych pasażerów. Zresztą kogo to obchodzi? Tata nie żyje.

Samolot schodzi poniżej chmur i widać ziemię. Trawa jest tak zielona, że aż wydaje się sztuczna. Widzę Loch Lomond i podnóże gór na północy. Pod nami rozciągają się schludne, zadbane pola; duże domy i małe betonowe bloki. Po wylądowaniu kilka osób bije brawo. Przyłączyłabym się do nich, gdyby nie tata. Gdy silniki nareszcie milkną słychać klikanie odpinanych pasów oraz brzęczenie i bzyczenie włączanych telefonów. *Przyszedł esemes. Masz wiadomość głosową. Gemma udostępniła link na twojej osi czasu. Widziałeś ten filmik? (Pewnie, że widziałeś!)*

Kontrola paszportowa przebiega błyskawicznie. Wychodzę ze strefy odbioru bagażu z małym plecakiem, który kupiłam na lotnisku w Incheon i zatrzymuję się przed drzwiami, które oddzielają mnie od rzeczywistości. Nikt nie wie, że wróciłam. Nie przywita mnie blada mama ani Lea ze złamanym nosem, ani flesze aparatów. Obracam się i patrzę na ludzi mijających mnie w drzwiach. Chcę, żeby na mnie spojrzeli przed wyjściem. Chcę sprawdzić, jak będę się czuła tam, na zewnątrz. Para z piegowatym wielbicielem „Krainy lodu” idzie w moim kierunku, pchając wózek wypełniony eleganckimi, czarnymi walizkami. Mężczyzna na sekundę łapie moje spojrzenie, ale nie – nie reaguje, nie szepcze do żony: „Hej, czy to nie ta dziwka z Magaluf, nie wierzę, że siedzieliśmy obok niej w samolocie, nie mogę się doczekać, aż powiem kumplom, że w zasadzie ją znamy”. Na oko osiemdziesięcioletnia kobieta w kolorowym, luźnym, hippisowskim ubraniu mija mnie z przyjaznym uśmiechem na ustach. Żadnej

reakcji. Dwaj biznesmeni w garniturach gawędzą, potrącając mnie w przejściu, ale nawet na mnie nie patrzą. Biorę głęboki oddech. To koniec. Najwidoczniej ktoś popełnił jakiś gorszy albo przynajmniej świeższy skandal ode mnie. Nie muszę się zadręczać. Nie muszę szukać winnych. Nie muszę się mścić. Odwracam się przodem do drzwi i wychodzę na zewnątrz. Wszystko będzie dobrze. Czy raczej byłoby dobrze, gdyby nie tata.

I gdyby Lea nie stała w hali przylotów z dwiema podręcznymi torbami i wyrazem desperacji na poblądłej twarzy. Podbiega do mnie, obejmuje mnie i obie wybuchamy płaczem. Wokół nas roją się szczęśliwi podróżni witani przez uradowanych bliskich.

– Skąd wiedziałaś, że przylecę tym samolotem? Lea wypuszcza mnie z uścisku.

– Ten zaprzyjaźniony prawnik mamy, Michael MacDonald, to jakiś szemrany Sherlock Holmes, mówię ci. Chyba mama mu się podoba, a on chyba podoba się mnie.

– Widzę, że nos w porządku, nie skrzywiłam ci go. Przepraszam.

– E, nawet mi go nie złamałaś, cieniasie. I co, widziałaś się z nią? Kim ona jest? Jaka jest?

Nie wiem, czy zachowam sekret Kim Su-Mi na zawsze. Ale wiem, że w tej chwili nie mam ochoty o niej opowiadać ani nawet myśleć. Żałuję, że nie pozbyłam się ze swojego imienia Su zamiast Jin, ale jest już za późno, żeby zmienić to, kim jestem. Jestem Su, bez kreseczki i bez Jin, i bez zdjęcia w Forbesie.

– Ostatecznie zrezygnowałam.

– No co ty! Powinnaś była się z nią spotkać!

– Mam już mamę. Po co ci te torby?

Lea spogląda na tablicę odlotów, chwytą mnie za rękę i pociąga do stolika w Costa Coffee.

– Flat White?

– Nooo... Tak, ale mów, wszystko okej?

– Tak, tak, tylko przyda mi się kofeina. Od dwóch nocy nie spałam.

Wraca z dwoma kubkami kawy, pociąga łyka swojej latte, a potem rozgląda się dookoła.

– Widzisz tamtą kobietę?

– Którą?

– Przy księgarni, udaje, że przegląda gazety na stojaku przed wejściem. Cienkie brązowe włosy, z rozdwojonymi końcówkami, przedziałkiem po środku, w przepoconym, przyciasnym T-shircie, z twarzą topielicy?

– Yhy...

– Dziennikarka. Nie daje nam spokoju. Przyjechała tutaj za mną. Chodź, napijemy się po drodze. Za godzinę mamy samolot.

– Jaki samolot?

Lea puszcza się biegiem, bo okazuje się, że zaczęto wpuszczać pasażerów na pokład. Próbuje za nią nadążyć, ciągnąc za sobą torbę na kółkach, którą wręczyła mi bez słowa wyjaśnienia, i zaczynam zauważać spojrzenia ludzi dookoła. Jakiś facet poczerwieniał na twarzy i usilnie stara się schować wzrok. Jakaś stewardesa posyła mi kpiący uśmiešek. Gruba dziennikarka spod księgarni rzuca się za nami biegiem, wołając:

– Su! Su! Jakie to uczucie, wrócić do domu? Su!

Lea wręcza mi kartę pokładową i stajemy w kolejce do skanera.

– Su! Poczekaj! – Dziennikarka nie ustępuje. Puka mnie kilka razy w ramię z natrętną determinacją. Jakim prawem mnie dotyka?

– Czy obwiniasz się za śmierć ojca, Su? Czy myślisz, że to była twoja wina?

Lea macha paszportem przed skanerem i rzuca się w stronę najkrótszej kolejki do kontroli bezpieczeństwa.

– Chodź! Szybko! – pospiesza mnie.

Ale ja chcę odpowiedzieć na pytanie dziennikarki.

– Oczywiście, że czasami mam poczucie, że to moja wina, bo przeze mnie tata doznał silnego stresu, ale dużo, dużo więcej stresu przysporzyło to, co zrobili inni ludzie. Mój ojciec umarł, bo pewien mężczyzna sfilmował jego córkę w barze i wgrał film do sieci, a inni postanowili go udostępnić. Umarł, bo chorował na serce, a dziennikarze napastowali jego i jego rodzinę. Fakt, że uprawiałam seks oralny z więcej niż jednym nieznanym w Magaluf, miał w tym z pewnością swój udział, i to niemały, i owszem, czuję się winna – dziękuję, że pani pyta. Ale w ogólnym obrazie był to tylko jeden czynnik z wielu. Ostatecznie w zwykłych przypadkach czynności seksualne w innych krajach rzadko prowadzą do zawałów serca ze skutkiem śmiertelnym na gruncie brytyjskim.

Skanuję paszport i dołączam do Lei w kolejce. Wyjmując pasek ze spodni, czuję się jak celebrytka, i mam wrażenie, że jestem zadziwiająco dobra w tej roli.

Gdy nasze bagaże przesuwają się po taśmie, siostra nareszcie wyjaśnia mi sytuację.

– Matka pytała, co zrobić, żeby nakręcić virala, a ja jej powiedziałam, co wiem, nie zastanawiając się dwa razy. No wiesz, że musi być oburzający, śmieszny, słodki albo przerażający, jak ten z piłą mechaniczną. Że trzeba zainteresować nim celebrytów i takie tam. Ale nigdy nie sądziłam... Cholera, Su-Jin, tak mi wstyd. Zobacz. – Lea włącza swój telefon i pokazuje mi ekran z zapauzowanym nagraniem. – Narobiła sobie problemów z policją. Niby nic wielkiego, tylko pogrozili jej palcem, ale tak się wkurzyła! Jak gliniarze wyszli, przepadła na kilka godzin. Po powrocie do domu zastałam od niej karteczkę, że wyjeżdża na parę dni do Magaluf. MacDonaldowi udało się zdobyć adres willi, którą wynajęła, i tam właśnie jedziemy. Naprawdę się martwię. Myślę, że próbuje dorwać faceta, który cię sfilmował.

– Johna? – Ogarnia mnie fala gorąca. Więc mama chciała tego, co ja. Powinnam była posłuchać siebie, zaufać swojej intuicji.

– Wiesz, jak ma na imię?

– Przypomniałam sobie zniecka, nawet nie wiem kiedy. Nagle wszystko do mnie wróciło. Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewna, że dosypał mi narkotyków do picia. Idiotka, pozwoliłam mu postawić sobie drinka, i potem wszystko zrobiło się takie dziwne, nie jak po pigułkach czy alkoholu, ale totalny odlot. On jest odrażający, ohydny, i niezbyt dobrze reaguje na kosza, tyle ci mogę powiedzieć. Ale co mama knuje?

Choć martwię się, czy mama przypadkiem nie oszalała i nie naraża się na niebezpieczeństwo, czuję lekkie podekscytowanie, oglądając jej filmiki. Jeśli mam być szczerą, myślę, że odniosła spory sukces, skoro obejrzały je więcej niż trzy osoby. I uważam, że John powinien zostać ukarany za dosypywanie dziewczynom narkotyków do alkoholu i nagrywanie ich, gdy nie są w stanie ustać na nogach, a co dopiero wyrazić na to zgodę.

Samolot do Magaluf jest pełen maturzystów, z których większość jest już pijana, i pewnie dlatego nikt nie zauważa mnie ani nie rozpoznaje. Czterech chłopacy w pierwszym rzędzie wołają, że skończyli Kelvinside Academy i każdy z nich ma dużego. Kilka dziewczyn za mną odpowiada, że są z Williamwood High i potrzebują czegoś twardego. Chłopcy odpowiadają, że mają coś twardego i mogą im pokazać. Po pół godzinie jedna z dziewczyn chyba decyduje się na oględziny. Czuję się od nich jakiegoś sto lat starsza. Mam ochotę wstać i zawołać: „Dziś szydzicie ze mnie, ale wkrótce możecie być mną! Strzeżcie się, nuggetsy, strzeżcie się Jägerbomba!”.

Ale nie robię tego. I tak by nie posłuchali.

Zasypiam z głową na ramieniu Lei. Budzi mnie dźwięk włączanych telefonów. Trzy kwadranse później absolwenci Kelvinside Academy i Williamwood High są już nagabywani przez klubowych naganiaczy w autobusie, a Lea i ja jedziemy taksówką do wynajętej przez mamę willi.

– Dlaczego mama taka jest? – pyta Lea.

– Jaka?

– No wiesz, że zawsze musi walczyć, jak samica alfa czy coś. To nie przez pracę. Zawsze taka była.

Ta zawziętość nie jest cechą rodzinną. Babcia to ostoja spokoju i dobroci, dziadek ciągle się śmiał, ciocia Marie jest miękka i ckliwa, a ciocia Louise prowadzi zrelaksowane życie kury domowej. Nic szczególnego nie przydarzyło się mamie w dzieciństwie. Nie molestował jej żaden sąsiad ani nauczyciel wuefu, nikt jej nie bił ani nie straciła nikogo bliskiego. Jej młodość była idylliczna. Chciała, żeby nasza też taka była, z grillowaniem, muzyką w domu i rodzicami, którzy szanują siebie nawzajem i swoje dzieci.

Ale nawet, gdy wszystko jest idealnie, Bóg (czy inna siła) daje ci urodę i talent, kochającą rodzinę, oddanych przyjaciół i mądrych nauczycieli, nawet jeśli masz potencjał osiągnąć szczęście i spokój, coś może się wydarzyć, zachodzi jakiś dramat – i bum, cały ten stabilny fundament rozpada się w drobny mak, a ty jesteś kimś zupełnie innym. Nie chciałam mówić Lei o tym wprost, ale wiedziałam, co było takim zdarzeniem w życiu mamy. Odkryłam to, gdy miałam dwanaście lat. Zanim zdecydowałam się zapytać rodziców o ewentualność odszukania mojej rodzonej matki, postanowiłam przeszukać strych, w nadziei, że dotrę do jakiś sekretnych dokumentów. Wyobrażałam sobie na przykład list od agencji adopcyjnej z nazwiskiem i/lub adresem mojej biologicznej matki, jej wzrostem, zainteresowaniami albo innymi informacjami. Niczego takiego nie znalazłam, ale za to natrafiłam na wielki stos papierów dokumentujących walkę mamy o zatrzymanie mnie po tym, jak zaszła w ciążę z Leą: sprawy i przepisy, które przestudiowała, wycinki z gazet, raporty kuratorów, skargi, które składała (w sumie ponad siedemdziesiąt). Obie z Leą znałyśmy zarys sytuacji: niespodziewana ciąża i decyzja opieki społecznej, żeby odebrać mnie rodzicom. Ale żadna z nas nie przypuszczała, jak wielką batalię mama musiała stoczyć.

Odkąd pamiętam, mama zawsze określała pracowników opieki społecznej mianem imbecyli i szkodników. Ciągle narzekała na ich kompromitujące błędy językowe i żargon w raportach składanych do sądu. Gdy miałam jakieś siedem lat, należałam do zuchów. Jedna z naszych drużynowych, pani McSweeney, poskarżyła się mamie, że Lea użyła brzydkiego słowa, gdy kazała jej się uciszyć, więc zaniepokoiła się, czy u nas w domu wszystko w porządku.

– Wszystko zajebicie – odparła mama, a potem wyciągnęła nas ze zbiórki i nigdy więcej tam nie zaprowadziła.

Tego wieczora, gdy skończyliśmy słuchanie z tatą płyt Rosetta Stone, zapytałam go, dlaczego mama użyła przekleństwa w rozmowie z panią McSweeney.

– Pani McSweeney jest pracownikiem opieki społecznej – powiedział tata, jakby to było wystarczające wyjaśnienie.

– Więc wolno przy niej przeklinać?

– Nie, mama się po prostu zdenerwowała. Opieka społeczna dała jej w kość, gdy była w ciąży z Leą.

Przez całą drogę w taksówce Lea trzymała mnie za rękę i głaskała moją dłoń kciukiem. To było wspanialsze niż nurkowanie w krystalicznej wodzie. Teraz puszcza mnie, mam nadzieję, że nie na długo.

– Myślę, że mama zmieniła się po pewnym traumatycznym i ogromnie stresującym przeżyciu: adoptowaniu mnie.

Siostra nawet nie patrzy w moją stronę, mówiąc:

- Nie, po zajściu w ciążę ze mną. To było jej traumatyczne przeżycie. To przeze mnie straciła ciebie.
- Nie! To była wina sytuacji. Wiesz, że ona cię uwielbia, prawda?
- Ty jesteś łatwiejsza, jej relacja z tobą jest łatwiejsza.
- Bo nigdy jej nie zawiodłam.

Nigdy nie plułam kalafiosem, nie przeklinałam na zbiórkach zuchów, nie paliłam zioła, nie chodziłam na wagary, nie wracałam do domu pijana o drugiej nad ranem, mówiąc: „I ile za to dostanę, wysoki sędzie, osiemnaście miesięcy?”. Miałam z nią najłatwiejszą i najbardziej nienaturalną relację, jaką córka może mieć z matką, bo aż do zeszłego tygodnia nigdy jej nie zawiodłam.

Lea nie widziała mnie takiej od lat. Moja usta są wykrzywione, cieknie mi z nosa.

– Nigdy jej nie zawiodłam. No cóż, teraz to nadrobiłam. Zawsze o mnie walczyła. Dlaczego miałyby to robić teraz? Jak będzie mogła mnie po tym kochać?

– Będzie cię kochać tak, jak zawsze: najbardziej na świecie!

Odpowiedź Lei jest tak krzepiąca, że zaczynam kwilić.

– O mnie też zawsze walczyła, tylko inaczej. Wiesz, że poukrywałam zioło w jakichś dwudziestu miejscach w całym domu, a ona po kolei znajdowała kolejne skrytki i wyrzucała zawartość? Nawet jak okleiłam paczuszkę taśmą klejącą, potem zapakowałam w folię, potem w dwie plastikowe torebki i przykleiłam taśmą maskującą od spodu grilla. Podejrzewam, że ukrywa w komórce psa tropiącego. A nigdy nie mogłam powiedzieć: „Hej, gdzie mój towar, suko?”. Wiesz co – przestanę siebie obwiniać, jeśli ty przestaniesz. Widziałas raport. Tatę powinno było trafić już kilka miesięcy albo nawet lat temu. Tak sobie myślałam o nim, jak to było. Siedzi sobie w taksówce. Udał się na misję – on kochał misję – z miłości do nas trzech. Przecież kochał nas jak nie wiem co. I wtedy – bum, nie żyje. W jednej chwili owładnięty miłością i celem, w drugiej – martwy. Ja bym chciała tak umrzeć.

– Dzięki, że to mówisz! Wróciłaś. Po wszystkich tych latach.

– Ale ja nigdzie nie odeszłam, głupolu. Tyle że przez długi czas miałaś zbyt wysoko zadarty nos, żeby to zauważyć.

Lea powtarza coś, co powiedziałam do niej, gdy pokłóciłyśmy się o wieszaki w przedpokoju (ona znów powiesiła kurtkę na moim):

– Może kiedyś dostanę Nobla za uleczenie Lei z jej osobowości.

Muszę się roześmiać. To była dobra kwestia.

– Wiesz, ja się troszeczkę cieszę, że to się wydarzyło. Potrzebowałaś takiego zimnego prysznic. Witamy w realnym świecie, Su-Jin, gdzie członkowie atomowej rodziny wieszają kurtki na dowolnym z czterech dostępnych wieszaków.

Kusi mnie, żeby zauważyć, że gdy kilkanaście różnych kurtek i płaszczy do najróżniejszych stylizacji przysłania jedną moją, sytuacja nie jest całkiem równa. Ale milczę.

– Czy Magaluf było moim traumatycznym przeżyciem? Czy jestem teraz inną osobą? – Mam taką nadzieję. Moje wieszakowe dylematy uświadamiają mi, że może faktycznie jestem nieco zbyt sztywna, zbyt surowa dla siebie.

– Nie wyglądasz ani nie mówisz inaczej. Czujesz się inaczej?

– Parę razy naszła mnie chęć użycia przekleństwa.

– Dawaj!

– Cholera!

– Uuu!

– Dupa!

– Myśl w kontekście! Pomyśl o Xano!

Jego imię sprawia, że ogarnia mnie strach o mamę.

– Ej, ale ona nie zrobi niczego, co naraziłoby ją na utratę pracy, co?

– Chyba nie, jest na to za mądra. Bardzo uważała przy tych filmikach. Powiedz: pieprzyć

Xano. Powiedz to!

– Do diabła z Xano.

– Kocham cię, Su-Jin, moja genialna, dobra, szczerza, piękna siostró... Zachwycająco piękna, tak że czasem mam ochotę uszczyplić cię w te twoje cudnie zarysowane kości policzkowe... Ale miałaś właśnie idealną okazję, żeby użyć wulgaryzmu w zdaniu i wzmocnić jego przekaz, i ci się nie udało.

– To tak jakbym ci kazała czytać „Financial Times”.

– A kto wie. Może spodobałoby mi się czytanie o rynkach wschodzących i FTSE. Czy życie nie jest nudne, kiedy wiesz dokładnie, kim jesteś?

Taksówka mija główną ulicę Magaluf. Gdzieś w głębi jest bar Coconut Lounge, a ja myślę: „A czy życie nie jest przerażające, kiedy tego nie wiesz?”.

22.

Przeanalizowawszy błyskawicznie sytuację, Ruth stwierdziła, że skoro uderzenie głową w kafelki nie pozbawiło jej przytomności, musi udawać. Xano... John... nie wiedziała już jak go nazywać, bo nienawidziła go teraz tak bardzo, że nie miał już dla niej imienia. Po tym, jak zadał jej cios, zamarł na chwilę, jakby zszokowany swoim czynem, i delikatnie kopnął ją stopą w ramię. Pochylił się i poklepał ją po policzkach. Przycisnął jej palec do szyi, szukając tętna. Słyszała, jak wychodzi do kuchni, odkręca kran, trzaska drzwiczkami szafek. Słyszała, jak wyjmuje pranie i wkłada je do wirówki. Potem doszło ją kliknięcie metalu – prawdopodobnie wyjął telefon ze statywu. Znowu zajrzał do łazienki, sprawdził jej tętno, podłożył jej ręcznik pod krwawiącą żuchwę. Usłyszała głos telewizora – wiadomości po hiszpańsku. Gdy newsy zaczęły się powtarzać, wyjął ubrania z wirówki i ubrał się (domyśliła się po odgłosie zapinanych suwaków). Zgrzyt długopisu na papierze. Mężczyzna wrócił jeszcze raz, zmierzył jej puls i położył obok niej karteczkę.

Trzaśnięcie frontowych drzwi. Kałuża krwi wokół jej twarzy była gęsta i coraz większa, ale wiedziała, że powinna poczekać jeszcze minutę, na wszelki wypadek. Sześćdziesiąt sekund później uniosła głowę. Z uchylonych ust ściekała krew. Wykonała kilka ruchów, żeby sprawdzić skalę obrażeń (głowa o centymetr w prawo, w lewo, w górę i w dół, potem ramię, drugie ramię, stopy i tak dalej). Prawdopodobnie miała złamaną żuchwę, straciła dużo krwi, ale krwawienie praktycznie ustało, nie kręciło jej się w głowie, myślała jasno, nie czuła bólu w klatce piersiowej ani kołatania serca. Pomijając żuchwę, nic jej nie było. Dźwignęła się na kolana i podniosła liścik, który mężczyzna zostawił na podłodze. *Coś mi się zdaje, że była pani bardziej niegrzeczna niż ja, wysoki sądzie, ale nic nikomu nie powiem, jeśli i ty nic nie powiesz. PS Nie ma sensu robić streamingu na przypadkową stronę bez strategii ffs. 15 odślon, durna cipo.*

Już miała wstać, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Cholera. Szybko znowu ułożyła się na podłodze w bezładnej pozycji i starała się zetrzeć ślady krwi rozmazane na podłodze, które świadczyły o jej próbie ucieczki. Kolejne pukanie. Jak to było z kluczami do tego domu? Czy potrzebny był klucz, żeby zamknąć drzwi po wyjściu (nie słyszała przekręcania zamka)? A może był zatrzask? Czy drzwi mogły zatrzaskać się automatycznie po wyjściu mężczyzny?

Nie, nie były zamknięte. Usłyszała, jak się otwierają i znowu zamykają. Zobaczy mnie stamtąd, pomyślała (nie ruszać się!). Usłyszała kroki. Szedł do niej.

– Mamo! – Głos kobiety. To nie

on. Kolejny kobiecy głos:

– Mamo! Żyjesz?! Mamo!

23.

Okazuje się, że mama i ja podążałyśmy tym samym torem. Ona chciała dorwać Xano jeszcze bardziej niż ja. Zawsze powtarzała mi, że mam dobrą intuicję i powinnam jej ufać. („A ja?”, miauknęła kiedyś Lea. „Powinnaś posłuchać swojej intuicji, a potem postąpić dokładnie odwrotnie”, zażartowała mama.) Gdybym wyruszyła na poszukiwanie Johna Martina zamiast Kim Su-Mi, mama nie leżałaby teraz w kałuży krwi ze złamaną żuchwą, twarzą i szyją pokrytą paskudną wysypką, z liścikiem, w którym została nazwana durną c***.

Spokój, który ogarnął mnie po rozmowie z Leą w taksówce, wyparował. Mam ochotę chwycić za młotek leżący na podłodze i rzucić się w pogoń za Xano, ale najpierw muszę się zająć mamą. Mówienie sprawia jej ból, ale pokazuje nam na migi, jak bardzo cieszy się, że nas widzi i że ja nareszcie wróciłam. Przepraszam ją za wszystko, a ona szlochając, przytula mnie do siebie.

Podtrzymuję kłamstwo, które wcisnęłam Lei – nie chcę i nie potrzebuję spotykać się z jakąś obcą kobietą w Korei. Spogląda na mnie pytająco.

– Naprawdę. Serio – mówię.

Nie możemy zadzwonić na policję, bo z liściku, który zostawił John Martin, dość jasno wynika, że mama złamała prawo. Konsultacja z Doktorem Googlem upewnia mnie, że nie musimy też wzywać karetki. Krwawienie ustało, żuchwa nie jest skrzywiona ani przestawiona, wszystkie zęby są na miejscu, a przez skórę nie przebijają żadne odłamki kości. Oczyszczam i bandażuję ranę, daję mamie garść leków przeciwbólowych, które znajduję w bogato wyposażonej apteczce, którą zabrała ze sobą z domu, i razem z Leą zaprowadzamy ją do łóżka. Zasypia niemal od razu. Myjemy cały dom i samochód (fu) wybielaczem, zacierając wszystkie ślady obecności Johna Martina. Sprawdzamy odloty na następny dzień. Bilety zarezerwujemy, gdy mama się obudzi i będzie czuła się na siłach podróżować.

Po skończonej robocie zaglądamy do mamy, która śpi spokojnie. Myślę, że odpłynęła na dłuższą chwilę. Lea kładzie się obok niej na łóżku i bierze ją za rękę. Ja siadam na krześle z drugiej strony i biorę ją za drugą. Powinnam ufać swojej intuicji. Tak powiedziała mama, dodając: „Co nie znaczy, że powinnaś reagować od razu”. Próbuję się uspokoić. Muszę to przemyśleć, ułożyć plan.

Zakładam słuchawki i puszczam film dokumentujący sprawiedliwość naprawczą w wydaniu mojej mamy. Nikt nie usunął go jeszcze z sieci, chyba dlatego, że jest po prostu nudny. (Dwadzieścia pięć odsłon, żadnych udostępnień na Twitterze ani Facebooku, bo mama nie wymyśliła chwytliwego tytułu ani nie użyła odpowiednich tagów, linków czy innych tricków. To świadczy o jej naiwności, ale nie głupocie). John Martin ma na głowie różową perukę, a jego członek jest pokryty brodawkami. Wydaje się całkowicie bezbronny. Cała scena w ogóle nie wygląda jak konferencja sprawiedliwości naprawczej. Mama nie udostępniła nagrania, na którym John leży ubrudzony własnym moczem i kałem w jej samochodzie. Podczas filmu nie odzywa się ani słowem i ani razu nie pojawia się w kadrze. Nikt nie podejrzewałby, że w ogóle brała w nim udział. Dociera do mnie, że zrobiła to celowo. Spryciara! Ma się wrażenie, że Xano nagrywa sam siebie. Mówi: *Zniszczyłem pracę i nadzieje, i przyszłość, i wywołałem atak serca. Czuję się podle. Nigdy sobie nie wybaczę. Nigdy przenigdy już nikogo nie skrzywdzę.*

– Widziałaś to? – szepczę do Lei. – Wydaje mi się, że to brzmi jak pożegnanie samobójcy. Lea zabiera mi telefon i od razu go wyłącza.

– A ty widziałaś to? – pyta, wskazując na siebie i mamę. – Wydaje mi się, że to twoja rodzina.

Wystarczy, Su-Jin. To koniec.

Wzdycham, udając, że przyznaję jej rację, i wychodzę. W salonie robię kilka przysiadów, próbując zdusić w sobie gniew, ale on tylko rośnie. Układam w głowie szybką listę plusów i minusów zamordowania człowieka, który uczynił z mojej matki owdowiałą kryminalistkę ze złamaną zuchwą i skompromitowaną córką, i plusów jest tak wiele, że całkowicie przytłaczają minusy. Wyobrażam sobie, co powie mama, gdy się obudzi. *Dorwałaś go? Skończyłaś to, co zaczęłam? Powiedz, że o mnie walczyłaś Su, tak jak ja zawsze walczyłam o ciebie.*

Nagle uświadamiam sobie, że nie powinnam słuchać dobrych rad Lei. Przecież nie mogła z dnia na dzień przeistoczyć się w geniusza. Okej, ma rację, że ona i mama są moją rodziną (zaglądam do sypialni – obie śpią twardo), ale na tym kończą się jej życiowe mądrości.

Biorę wypożyczony przez mamę samochód i jadę do miasta. Na głównej ulicy jest sklep, w którym sprzedają różne dziwne rzeczy. Na szczęście jest wciąż otwarty. Zakładam kapelusz i ciemne okulary, i wchodzę do środka. O tej porze ludzie kupują głównie czekoladę i alkohol. Pamiętam, jak podczas wakacji o trzeciej nad ranem nabyłam tu bandażę i krem na ukąszenia komarów. Kupuję kilka zwyczajnych artykułów (banany, chipsy, wodę, dużą tabliczkę mlecznej czekolady), żeby odciągnąć uwagę sprzedawcy od tych mniej typowych (paracetamol, nóż kuchenny, rękawiczki, rolka zielonego drutu, ścierka).

Gdy wychodzę ze sklepu, widzę Oglądacza. Mimowolnie podążam w jego kierunku, a potem wchodzę do Coconut Lounge. To nie przypadek ani fart, że John Martin siedzi przy barze. Gdy Lea opowiadała mi o ich śledztwie, wspomniała, że Xano spędza tu większość swojego czasu. Naganiacz – inny niż wtedy – instruuje jakiegoś mężczyznę, jak ma wciągnąć alkohol do długiej słomki. Następnie mężczyzna próbuje trafić płynem w pierwszy z ośmiu obnażonych przed nim sutków. Twardy zawodnik – udaje mu się już za pierwszym razem. Wygrywa darmowe drinki do rana. Tłum wiwatuje radośnie.

Siedzę przy stoliku z parą, która całuje się namiętnie. Kątem oka widzę rękę chłopaka, która miota się jak szalona w majtkach dziewczyny. Ta wydaje się zbyt zalana, żeby mogło ją to podniecać, choć wątpię, by tą techniką dało się cokolwiek zdziałać nawet u trzeźwej kobiety. Nawet patrzenie na to jest bolesne, więc odwracam wzrok.

Tymczasem John Martin wręcza właścicielowi baru plik banknotów i wkłada coś do saszetki na biodrach. Rozgląda się po barze, łowiąc potencjalne zdobycze, namierza tańczącą samotnie dziewczynę. Podłącza się do niej, obejmuje ją rękami w pasie i próbuje zsynchronizować się z ruchami jej pośladków. Wytatuowany gość spycha go z parkietu.

– Hej, to moja cizia, kutasie!

John – mój John, który chciał mnie przelecieć – przeprasza, unosząc w obronnym geście ramiona, i zmywa się do wyjścia.

W barze jest tak gorąco. Zdrętwiała mi szczęka. Pod moimi pachami tworzą się dwie plamy potu.

Wychodzę za nim. Z drugiej strony ulicy obserwuję, jak pali w drzwiach papierosa. Wygląda na półprzytomnego. Wysyłam esemesa do Lei: *Poszłam kupić coś do jedzenia. Zaraz wracam. Obudziła się?.* Czekam kilka minut, ale nie dostaję żadnej odpowiedzi, a John Martin powolnym krokiem znów kieruje się do środka. Facet, który go popychał, wychodzi z baru i kontynuuje sprzeczkę.

– Jest cała twoja, wyluzuj – słyszę Johna Martina, gdy gość naciera na niego z zaciśniętymi pięściami. Martin robi krok w tył, gasi papierosa butem i uderza przeciwnika w nos. Ten zamachuje się i wymierza mu cios prosto w oko i w brodę. Martin jest doświadczony i ma dość siły i techniki, aby odpowiedzieć uderzeniem, po którym wytatuowany napastnik ląduje na ziemi. Zwycięzca odchodzi.

Idę za nim główną ulicą, potem skręcamy w boczną. Sprawdzam telefon, ale Lea wciąż nie odpowiada. Pewnie obie z mamą nadal śpią.

John Martin oddala się od plaży i centrum miasteczka i dociera do hotelu na przedmieściach. Chowam się za murem, gdy przechodzi przez parking na tyłach obiektu. W hotelowej kuchni ktoś jest. Słyszę muzykę. Za parkingiem biegnie piaszczysta droga. Mężczyzna zatrzymuje się przy zdezelowanym fiacie, który, jak zakładam, należy do niego.

Wsiada. Niedobrze. Swój samochód zostawiłam daleko stąd. Jeśli odjedzie, nigdy go nie złapię. Wyjmuję coś z saszetki na biodrach. Uf.

Przy ciemnej drodze rośnie kilka grubych drzew. Gdybym tylko mogła przewlec go tam i powiesić na jednym z nich na zielonym drucie. Ale powieszenie nie jest wystarczająco obrzydliwe, a zresztą nie udałoby mi się go tam zaciągnąć.

Przekradam się przez parking i chowam za drzewem znajdującym się dokładnie za tylnym siedzeniem samochodu. Martin przygotowuje trzy kreski kokainy na gazecie. Czuję się trochę zagubiona. Chciałabym zapytać mamę, jak planowała to zrobić. Niełatwo jest upozorować samobójstwo, nie w tej sytuacji. Mama przynajmniej miała kontrolowane otoczenie. Ale mam szczęście, bo zauważam, że mężczyzna chyba właśnie zasnął albo stracił przytomność. Jego głowa opadła w tył, a oczy są zamknięte.

Podbiegam do samochodu. Zaglądam przez okno, żeby sprawdzić, czy mam rację. Tak, odpłynął. Sprawdzam drugi, trzeci, czwarty raz – otwieram drzwi auta, mówię jego imię, klepię go po twarzy, zabieram mu saszetkę z pieniędzmi.

Moja szybkość i pomysłowość zaskakują mnie. Samobójstwo Xano musi być absolutnie niezwykle, jeśli ma pobić mój filmik. Przypominam sobie hit, który ja sama wyprzedziłam w rankingach: małżeństwo, drzewo, drabinę i piłę. Wybieram grube drzewo, za którym się wcześniej ukryłam. Owijając pień zielonym drutem, wykonuję w głowie kilka obliczeń. Zostawiam odpowiednio długi kawałek drutu pomiędzy drzewem a samochodem. Otwieram okno, wsuwam końcówkę drutu do środka i przekładam go wokół szyi mężczyzny pod białym, sztywnym kołnierzykiem. Potem zawijam go jeszcze dwa razy wokół drzewa i związuję w węzeł, którego nauczyłam się od Grega Jamiesona podczas wyprawy po nagrodę Księcia Edynburga. Sprawdzam, czy luźny kawałek drutu leży równo na ziemi i czy z łatwością się rozwinie, gdy pociągnie go ruszający samochód. Nie mam stuprocentowej pewności, czy mój plan zadziała. Szanse szacuję na niskie osiemdziesiąt procent. Uchylam tylne okno na mniej więcej dwadzieścia centymetrów. Wybieram szyld restauracji znajdujący się około pięćdziesięciu metrów ode mnie i wykonuję kolejne obliczenia. Jeśli auto przyspieszy z prędkością X , do znaku w odległości tyłu a tyłu metrów minus trzy metry dotrze w czasie Z sekund (to długość drutu zwiniętego pomiędzy samochodem a drzewem). Jeśli pobiegnę z prędkością X , do znaku dotrę w czasie Y sekund. Ha, a Lea twierdzi, że matematyka nie przydaje się w codziennym życiu!

Włączam telefon, wstawiam go w uchwyt przy desce rozdzielczej, nakierowuję na głowę Martina i wciskam nagrywanie.

Jego saszetka jest pełna skarbów: plastikowa torebka z białym proszkiem, podejrzenie wyglądające pigułki, trzysta euro, zdjęcie kobiety wyglądającej jak Dolly Parton i OxIn, maść na brodawki weneryczne (no, między nami koniec, maść przelała czarę).

I... akcja! John Martin jest na żywo w sieci. Na razie na żywo. Biorę saszetkę do ręki i zajmuję pozycję przed maską samochodu. Staję na sztywnych, szeroko rozstawionych nogach, z jedną ręką na biodrze, jak wyluzowana kowbojka. Pochylam się i delikatnie pukam w przednią szybę, ale mężczyzna nie budzi się.

Nie pukam drugi raz. Poczekam. Dziesięć minut później poza wyluzowanej kowbojki robi się okropnie niewygodna, ale nie męczy mnie tak bardzo, jak jego twarz, z którą zaczynam się zaznajamiać. Na lewym policzku ma dołeczek. Założę się, że jak był mały, dorośli odruchowo głaskali go po głowie w sklepowych kolejkach.

Czy on się kiedyś obudzi?

Docierają do mnie dźwięki muzyki. Nie pasują do tego miejsca ani do mojej misji. Odwracam głowę – samą głowę, nie wolno mi się zdekoncentrować! – i widzę czapkę hotelowego kucharza, podskakującą w oknie piwnicznej restauracji. Kucharz unosi ręce i zaczyna dyrygować muzyką, której wolałabym nie rozpoznawać. Jestem pokiereszowanym psychicznie adoptowanym dzieckiem odmiennej rasy, tak jak przewidzieli kuratorzy. Potrzebuję zemsty. Moja mama potrzebuje jej jeszcze bardziej. Nie dam się od tego odwieść muzyce klasycznej, nawet jeśli pięknie brzmi. Przenoszę znów wzrok na Johna Martina. Gdy się obudzi, przetrze oczy, zobaczy mnie, stojącą niczym kowbojka z jedną ręką na biodrze. Jego twarz zrobi się żółto-zielona z wściekłości, gdy pomacham mu przed nosem jego cenną saszetką, jego workiem złota.

To skrzypce.

I co z tego?

Gdy mnie zobaczy, pobiegnę w kierunku szyldu. Ryk akceleratora będzie jego okrzykiem bojowym. Z szaleńczą szybkością wrzuci bieg i ruszy za mną z impetem. Wściekłość będzie towarzyszyć mu przez całą drogę aż do szyldu, gdy samochód nagle wpadnie w poślizg lub wyhamuje gwałtownie na trzy metry przed metą. Zielony drut napnie się sztywno od drzewa aż do karku mężczyzny, a potem znów się poluzuje, gdy siła hamowania oderwie jego głowę od ciała. To będzie czysta, schludna dekapitacja. Głowa jest, głowy nie ma.

Będę gotowa w porę odskoczyć w bok. Głowa Xano poleci na tylną szybę, odbije się od niej raz czy dwa, a potem wyląduje na tylnym siedzeniu z szeroko otwartymi oczami. Wszyscy zapomną o moim filmie – będą mieć nowy megahit, bo nie ma to jak efektowne ścięcie głowy.

Jego głowa poleci w tył, odbije się od szyby. Chyba nigdy się nie obudzi.

Coś mu się teraz śni, jakiś zły albo smutny sen. Ma popękane wargi.

Moja złość opada. Zastanawiam się, czy on też miał swoje traumatyczne przeżycie, po którym zmienił się w żalostnego popaprańca, na którego patrzę teraz.

Dlaczego się nie budzi?

Czuję wibrowanie telefonu i spoglądam na ekran, na wiadomość od Lei: *Gdzie jesteś?* Znów przenoszę wzrok na wychudzoną, zmartwioną twarz mojej ofiary.

Gdzie jestem? Kim jestem? I nagle wyobrażam sobie, że jestem nim, a on mną. Jesteśmy w Coconut Lounge.

Jestem Johnem Martinem, chudym, niewykształconym nieudacznikiem z brodawkami wenerycznymi, problemem narkotykowym i telefonem. Podrywam skośnooką laskę, której nikt inny nie chce. Jest zdesperowana, tak mówią. Cała napalona, ale spięta, więc dorzucam jej coś od siebie na rozluźnienie hamulców. Wydaje się chętna, podoba mi się to. I nagle niespodziewanie odpycha mnie tak mocno, że przewracam się do tyłu, na stół, i wszyscy w barze odwracają się w moją stronę, i wybuchają śmiechem. Dziewczyna potraktowała mnie jak śmiecia i wszyscy w barze patrzą teraz na mnie jak na śmiecia. Próbuje się tłumaczyć, ale wychodzi to marnie. A potem wszyscy patrzą na dziewczynę, której chyba odbiło. Klęczy pośrodku parkietu i za chwilę zrobi coś, czego będzie żałować przez resztę życia, a ja mam w ręku telefon.

Co robię?

Moją fantazję przerywa kolejny esemes od Lei: *GDZIE JESTEŚ?? ODEZWIJ SIĘ!!!*

Gdybym chciała powiedzieć jej prawdę, brzmiałaby ona następująco: *Stoję przed maską samochodu Johna Martina i czekam, aż się obudzi, żeby pozbawić go głowy za pomocą drzewa, zielonego drutu,*

akceleratora i podstaw matematyki. Niezbyt podoba mi się wydzźwięk tej odpowiedzi, więc zamiast tego piszę: Jak mama? Wstała? Lea odpowiada: Wstała kilka minut temu. Wracaj. Martwię się o ciebie. Co robisz?

John Martin płacze przez sen, bez łez. Jego głowa opada w dół i drut dość mocno zaciska się wokół jego szyi. Cholera, lada moment się ocknie. Ale nie, śpi dalej, mimo że pętla wbija mu się w skórę. Kowbojka znużyła mnie i stoję w normalnej pozycji. Ignoruję ostatniego esemesa od Lei i piszę: *Co powiedziała, jak się obudziła? Odpowiedź przychodzi błyskawicznie: Mówiła o tacie, jak zrobić mu porządne pożegnanie. Potem zdała sobie sprawę, że ciebie nie ma, i się przeraziła. Aha, mama nie... Czeka, sama do ciebie napisze.*

Czekając na esemesa od mamy, czuję ogarniającą mnie panikę. Jadąc do miasta, byłam pewna, że planowała zrobić to, co ja. Co chciała napisać mi Lea? *Mama nie... co? Nie planowała go zabić? Nie skończyła i chciała prosić, żebyś zamordowała go za nią?*

Nie wiem, co tutaj robię! Niczego nie jestem już pewna! Obwiniam za to dołeczek w policzku i popękane wargi, i serenadę G-dur Mozarta dochodzącą z hotelowej kuchni – wyłączcie to! Jesteśmy w Magaluf!

Odpowiedź zajmuje mamie całe wieki. A może to sygnał dla mnie? Nie, to żaden sygnał. Mama po prostu tak długo pisze.

Czy mam realizować plan? Co jeśli John Martin obudzi się, zanim dostanę od niej potwierdzenie? Może po prostu powinnam to zrobić. Godzinę temu byłam pewna, że mama chciałaby właśnie tego. Co się zmieniło? Może powinnam zapukać głośno w szybę, obudzić go, mieć to za sobą. Tak, chyba powinnam tak zrobić. Dam mamie jeszcze tylko dziesięć sekund.

Mój telefon wibruje minutę później, gdy mężczyzna nadal śpi. Esemes jest tak bardzo w mamy stylu, nie wiem, dlaczego napisanie go zajęło jej tyle czasu: *Nie pozwól, aby właśnie to określiło, kim jesteś.*

Idę główną ulicą w kierunku swojego samochodu. Nie wiem, która godzina, chyba jest późno, bo oglądacze rozeszli się do domów, a naganiacze są już w ciemnych klubowych salach, przekonując dziewczyny, że miło jest być opluwaną przez facetów, i przekonując facetów, że opluwanie dziewczyn jest seksowne, a w dodatku opłacalne, jeśli robi się to celnie. Na chodniku leży kobieta – albo śpi, albo nie żyje, ale nikt się przy niej nie zatrzymał. Zwalniam kroku i przyglądam się jej. Wymiotuje, żyje.

– Udanych wakacji – mówię, ale ona nie słyszy. Tak jak wszyscy w tym miejscu rozum zostawiła w domu razem z ciepłym płaszczem.

Samochód stoi dokładnie tam, gdzie go zaparkowałam, ale jakaś artystyczna dusza namalowała mi na masce parę piersi pianką do golenia albo bitą śmietaną w sprayu. Choć intryguje mnie, która to opcja, decyduję się powstrzymać od degustacji. Wsiadam do auta i zamykam drzwi. Słyszę własny oddech. Nie wiem, czy byłam w stanie oddychać normalnie, odkąd to wszystko się zaczęło, i jest to wyborne uczucie, podobne do zaciągnięcia się fajkiem, według Lei (tylko raz w życiu wzięłam bucha, nigdy więcej – brrr!). Przez chwilę oddycham głęboko, wdech, wydech, znów wdech. Gdy wykręcę numer, który muszę wykręcić, czuję się większa i silniejsza, i to nie tylko dzięki dotlenieniu organizmu.

Kim Su-Mi odbiera swój sekretny telefon od razu – musi być do niego niezwykle przywiązana. Przyznaję – to, co mam jej do powiedzenia, brzmiałoby znacznie lepiej, gdyby towarzyszył temu kłęb wydychanego dymu:

– Witaj, matko! Wiem już, co mogłabyś dla mnie zrobić.

24.

Tak mi dobrze w tym pokoju. Lea, mama i ja spałyśmy razem w ogromnym łóżku. Obudziło nas pikanie komórek. Nasze Ri7 to tylko trzy z dwustu milionów telefonów tej marki, które zabręczały minutę temu. Dwieście milionów osób właśnie otrzymało do swojego folderu Ri-Play filmik, którego nie zamawiały. To od razu plasuje go na szczycie listy internetowych hitów, dzięki pracowitej Kim Su-Mi.

To oznacza, że Euan Grier i Brodacz mogą go oglądać w tej właśnie chwili. Nigdy nie widziałam, żeby Millie albo Natasha zignorowały jakieś powiadomienie – na pewno już go włączyły. Ashleigh z drużyny netballowej i Jen z kółka debatowego też go w końcu obejrzą, ale obie marnują zbyt wiele czasu na interakcje z autentycznymi ludźmi, od których można złapać grypę albo inne paskudztwo. Ciocia Louise, ciocia Marie, Bud, Cherry i babcia na pewno go zobaczą i udostępnią dalej. Lea sprawdza telefon i pokazuje mamie. Są zdezorientowane, siadają w łóżku, drżą. Miliony osób oglądają to nagranie. Nawet jeśli nikt go nie udostępni, to aktualny numer jeden. Ale ludzie je udostępniają, choć nie jest odrażające, oburzające ani kompromitujące. Nie przyprawia cię o mdłości, panikę ani rumieńce wstydu na twarzy.

Sprawia, że zaczynasz się śmiać. Nie można się nie roześmiać, widząc, jak tata gra Caledonię swoim córeczkom. Na dźwięk fałszywej nuty starsza wybucha zaraźliwym, nieopanowanym śmiechem, młodsza dołącza do niej, choć nie całkiem rozumie dlaczego. Niemowlęce nóżki i rączki machają w powietrzu do kochanego, dobrego, śmiesznego taty. A potem obraz zaczyna się trząść, bo mama też nie może dłużej opanować śmiechu.

Jeśli John Martin się obudził, być może zamiast płakać, uśmiecha się teraz.

Mama i Lea śmieją się i płaczą jednocześnie, i jest to boleśnie cudowny widok.

Być może „ta kretynka” z opieki społecznej chichocze w tej właśnie sekundzie, a potem myśli: „Moment. Czy to...? Nie! Niemożliwe! Czy to Su-Jin?”.

A tak, to ja.

I jestem zajebista.

-
1. Zbitek angielskiego słowa „shag” (bzykać się) i Magaluf; ulubione określenie Brytyjczyków dla tego miasteczka (przyp. tłum.).
 2. Su-Mi to także fonetyczny zapis angielskiego wyrażenia „sue me”, co znaczy „pozwać mnie”, stąd błąd tłumacza.